

**Sekrety ptaków
małych i dużych → 24**

**Skarpeta pewniejsza
od banku → 36**

**Harmony Korine
chce być nikim → 64**

PRZE KROJ

nr 13 (3532), 2 kwietnia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

NDKS
71424

ISSN 0033-2488

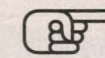
13
>

„Przekroj” ukazuje się od 1945 roku

Nerwica XXI w.

Choroba psychiczna w serialu „Girls” → 12

Raport o polskich szpitalach psychiatrycznych → 6



OFF plus camera
INTERNATIONAL FESTIVAL
OF INDEPENDENT CINEMA
12-21.04.2013
KRAKÓW



znajdź nas na: Available on the App Store Google play

www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny:



Sponsorzy główni:



Mecenas:

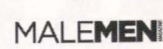


Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

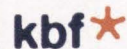
Partnerzy:



Patroni medialni:



Współorganizatorzy:



Stowarzyszenie Sztuki Niezależnej i Nie Tylko OFF CAMERA



ZUZANNA ZIOMECKA

Za każdym razem, gdy czytam o ciekawej inicjatywie typu slow lub działalności na pograniczu sztuki i biznesu (str. 28, 74), okazuje się, że twórcy właśnie rzucili pracę w korporacji, by teraz wreszcie realizować swoje marzenia. Ja doskonale rozumiem, że korpo to współczesny wróg społeczny numer jeden, czarna wołga młodych dorosłych i druga strona hipsterskiej barykady. Ale. Ale być może gdyby nie praca w ustrukturyzowanej firmie, gdzie złożone działania wielkich zespołów składają się pod koniec na rentowny biznes, ci dzielni mali przedsiębiorcy nie wiedzieliby, jak się zabrać za budowę własnej firmy. Chce- my czy nie, korporacje są szczytem organizacyjnych osiągnięć naszego systemu gospodarczego. Praca w nich to sposób na poznanie natury bestii, jaką jest komórka pozyskująca z rynku pieniądze w ilości większej, niż je pożera. Zazwyczaj nie myślimy o tym, chwalać się, że rzuciliśmy w cholerę tę stagnację za biur- kiem w bezdusznej maszynie, by zasmakować wolności i spełnienia w swoim własnym działaniu, z którego ledwo (ale jednak!) się utrzymujemy. Uważam wręcz, że powinniśmy masowo szturmować korporacje, by wysać z nich wzór współpracy i organizacji, zanim – co, obawiam się, wkrótce nastąpi – korpo jako gatunek gospodarczy zdechnie. Wiem, że wielkie firmy kojarzą się z uprzed- niotwinieniem pracowników i zasad etycznych w celu maksymalizacji zysków. Tak często jest, ale nie zawsze. Jak z każdym niebezpiecznym przedmiotem lub pomysłem wszystko zależy od tego, czyją łapą jest sterowany. Jest więc szansa, że te małe firmy prowadzone przez wrażliwych absolwentów korporacji rozwiną się na kompoście zrujnowanego systemu gospodarczego (str. 36) w coś nowego, sprawnego jak korpo, ale lepszego dla ludzi.



MARCIN PROKOP

Dawno już minęły czasy, kiedy pobyt w szpitalu psychiatrycznym przypominał sceny z „Lotu nad kukułczym gniazdem”, gdzie upokarzonym pacjentom odbierano podmiotowość, a sadystyczny personel serwował im leczenie przypominające tortury. Wyposażeni w językowy oręż politycznej poprawności i oświeceni przez genialnych neurotyków, w rodzaju Woody’ego Allena, którzy ze swoich nerwic uczynili niewyczerpane źródło artystycznych inspiracji, nauczaliśmy się traktować wszystkich „czujących bardziej” jako kreatywnych outsiderów, a nie dziwacznych świrów. Zarywając noce na oglądaniu kolejnych odcinków seriali w rodzaju „In Treatment” albo „Dziewczyny”, których bohaterowie budzą fascynację, bo mają inaczej poukładane pod czapką niż statystyczny Kowalski, przestaliśmy wytykać palcami tych, którzy odstają od poprawnej średniej, zmagają się ze sobą, szukają pomocy u psychoanalityków. Ba, zorientowaliśmy się, że w niektórych środowiskach bywanie u terapeuty jest wręcz towarzyskim snobizmem, czymś bardzo glamour, a nie powodem do wstydu. Brzmi pięknie. Ale to niestety nieprawda. Polska rzeczywistość osób korzystających z pomocy psychiatrycznej oraz społeczny stosunek do nich to zupełnie inna bajka (str. 6). Niestety, znacznie mniej kolorowa. I często bez happy endu.

W tym tygodniu nie piszemy...

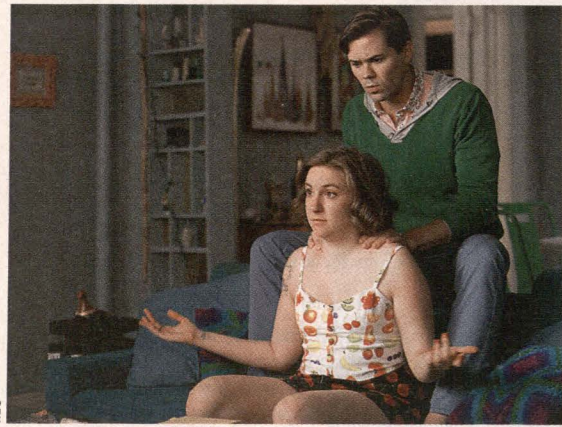
- ...o wielkim zwycięstwie polskiej reprezentacji w piłce nożnej. Strzelić pięć bramek drużynie San Marino, w której gra tylko dwóch profesjonalnych piłkarzy? To nasi chłopcy jeszcze potrafią.
- ...o Justinie Bieberze, na którego widok piszczą polskie dziełatki. Boski Justin pomylił je z koleżankami ze wschodu. Tuż przed koncertem w Łodzi napisał na Twitterze, że cieszy się z wizyty w Rosji. Zdaje się, że geografii mógłby go uczyć nawet George W. Bush.
- ...o bunga bunga w indyjskiej reklamie Forda. Niezwykle przestronny bagażnik modelu Figo autorzy kampanii wypełnili ofiarami fantazji seksualnych Silvia Berlusconi (on również znalazł się w wo- zie, ale na przednim siedzeniu). Szef agencji reklamowej tłumaczy teraz, że był to niekontrolowany wyciek. Nie pytamy o szczegóły.
- ...o Kwaterze Głównej Gestapo, która nadal mieści się przy alei Szu- cha w Warszawie. Tak przynajmniej wynika z mapy Warszawy przy- gotowanej przez Google. A wystarczyło to... wygooglować.
- ...o Joannie Szczepkowskiej. Już pisaliśmy o niej w poprzednim numerze i jednak wolimy, kiedy pani Joanna wypowiada się o teatrze i literaturze. Tropienie tajemnych Grup Trzymających Władzę zostawmy posłance Krystynie Pawłowicz.
- ...o Ewie Kuryłowicz. Znana architektka pozwala stolicę. Powód? Hałas panujący w dzielnicy Powiśle, której jest mieszkań- ką. W kontekście dyskusji o tym, że warto ożywić nadwiślańskie bul- wary – to kontrowersyjne posunięcie. Liczymy na Cud nad Wisłą.

RACZKOWSKI



AKTUALNOŚCI

- 6 → **POLSKA PSYCHIATRIA** Pacjenci gorszej kategorii
Edyta Szewerniak-Milewska
- 12 → **POLSKA PSYCHIATRIA** Beton w lekarskim kitlu
Amanda Palmer



16 → **SERIALOWA CHOROBA** Patyczek w uchu bliźniego
Katarzyna Nowakowska

GRUBE SPRAWY

- 24 → **DZIEŃ PTAKA** Upierzeni oszuści i wieczne dziewice
Z ornitologiem Andrzejem Kruszewiczem rozmawiają
Bartosiak & Klinke
- 28 → **MALI PRZEDSIĘBIORCY** Powolutki. Czas na słow biznes
Anna Sańczuk
- 32 → **FUNDUSZE UNIJNE** Rozkosz wydawania pieniędzy
Dominika Kaźmierczyk
- 36 → **BANKI W KRZYSIE** Zamach na europejskie banki
Grzegorz Siemionczyk
- 44 → **TURYSTYKA MEDYCZNA** Polskie silikon, arabska
liposukcja Danuta Walewska, Adam Woźniak
- 48 → **TOPOWE BLOGI** Bogowie blogosfery Marianna Saska

RACZKOWSKI



KULTURA

- 54 → **SZTUKA** Szydełkowanie w Nowym Jorku Anna Tarnawska
- 58 → **LITERATURA** Pokochać powieść i człowieka
Z Jeffreyem Eugenidesem rozmawia Karolina Sulej
- 64 → **KINO** Pan Everybody? Paweł T. Felis
- 66 → **KINO** Kino jak trip po narkotykach Harmony Korine
w rozmowie z Moniką Brzywczy



- 68 → **MUZYKA** Bóg, honor i syntezator Piotr Stelmach
- 70 → **MUZYKA** Elektronika po polsku Dominika Węclawek

ROZMAITOŚCI

- 74 → **MIEJSCE** Panowie z kwiatami Monika Brzywczy
- 77 → **PO-PATRZ** Froncek na ratunek Kuba Dąbrowski
- 78 → **KUCHNIA** Samopsza prze na talerz Cezary Polak
- 80 → **WINA** Odurzeni winem Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 23 → **JAKUB ŻULCZYK** Kazikowi z okazji urodzin
- 42 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Recepta na nieśmiertelność
- 62 → **MACIEJ NOWAK** Idź do dupy po posadę

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
22 463 03 00, www.przekroj.pl
e-mail: doredakcja@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnocka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Krzak,
Angelika Kucińska, Wojciech
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szablowski, Mike Urbańek,
Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotodycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka

Korekta: Dominika Stępień,
Agnieszka Ujma

Strona internetowa: KRCEMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzusiński**
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencji i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje:
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska:
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18
www.prenumerata.ruch.com.pl
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

Dostęp na stronie www i wersje na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,
rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwis@przekroj.pl,
tel. 22 46 30 066

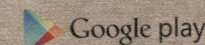
Zdjęcie na okładce:
Aby Baker/Getty Images/AFP



NOWY NUMER

już w sprzedaży, a w nim m.in.:

- **Andrzej Talaga** / Pierwsza RP była kilkakrotnie biedniejsza zarówno od Prus, jak i od Rosji. Jak mieliśmy przetrwać z taką różnicą potencjałów?
- **Jacek Borkowicz** / W Birkenau zamordowano co najmniej 40 tysięcy Polaków
- **Leszek Moczulski** / Granicę zachodnią Polski ukształtowała samowola Dmowskiego i upór Lloyd George'a



**POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET**

www.historia.uwazamrze.pl

EDYTA SZEWERNIAK-MILEWSKA

Pacjenci gorszej kategorii

Ściany z odrapaną lamperią w burym kolorze. Metalowe, skrzypiące łóżka. Rzadko rozmawiający z pacjentami, ciągle nieobecni lekarze i niezyczliwi sanitariusze. **Witamy w typowym szpitalu psychiatrycznym w Polsce.**

38-letni pacjent Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie choruje już kilkanaście lat. Bywa groźny dla bliskich. Mimo że w historii choroby zdarzały mu się okresy stabilizacji, w których pracował i dobrze funkcjonował w swoim środowisku, to ostatnie cztery lata są stanem nieustannego pogorszenia, z którym lekarze nie potrafią sobie poradzić. Już kilka razy przyjmowano go do szpitala i z niego wypisywano. Jego stan się jednak nie poprawił. Zajmujący się jego przypadkiem psychiatry nadal nie potrafi zdecydować, czy to schizofrenia, czy choroba dwubiegunowa. Zresztą lekarze prowadzący nieustannie się zmieniają, a zdaniem siostry, żaden z nich nie zainteresował się historią rodziny. Jego ojciec był wieloletnim pacjentem tego samego szpitala, nikt nie zadał sobie jednak trudu porównania historii ich schorzeń, choć niewykluczone, że w tym przypadku jest to choroba genetyczna. Konrad jest inteligentnym chłopakiem po dobrym warszawskim liceum, zachorował w trakcie studiów na UW, a jedynie, co mu proponuje polska psychiatria, to tygodnie i miesiące spędzane na dosyć obskurnym oddziale zamkniętym, z którego każdy, kto się tam znajdzie, ma ochotę natychmiast uciec.

– Odwiedziny u siostry, która wylądowała w szpitalu psychiatrycznym

po próbie samobójczej, wspominam jako wielką traumę. Nie wiem, jak ona mogła to znieść na co dzień – mówi z kolei Marcin, 40-latek z Warszawy. – Szarobure wnętrza, mniej niż skromnie wyposażone, brak prywatności i stała obecność innych chorych, w różnym stanie, także zachowujących się nieprzyzwoicie czy napastliwie. Lekarz stwierdził, że nic na to nie może poradzić. I w takim otoczeniu wychodzi się z depresji? Ja prędzej bym tam zwariował, niż wyzdrowiał.

O pobycie w warszawskim szpitalu psychiatrycznym przy ul. Nowowiejskiej do dziś nie może zapomnieć również Elżbieta. Kiedy przyjmowano ją na oddział, nikt jej nie poinformował o tym, że sama może się w każdej chwili wypisać. – O moim podstawowym prawie powiedzieli mi dopiero pacjenci – podkreśla Elżbieta. – Ale największym minusem tej placówki jest prawie zerowy kontakt lekarza prowadzącego z pacjentem, który na rozmowę poświęca dziennie pięć minut. Moim zdaniem to uniemożliwia trafne i szybkie rozpoznanie. Poza tym w szpitalu brakuje podstawowych leków niepsychotropowych, np. rutinoscorbinu, a przecież przebywając w takiej niedogrzejanej placówce trudno się nie przeziębnić.

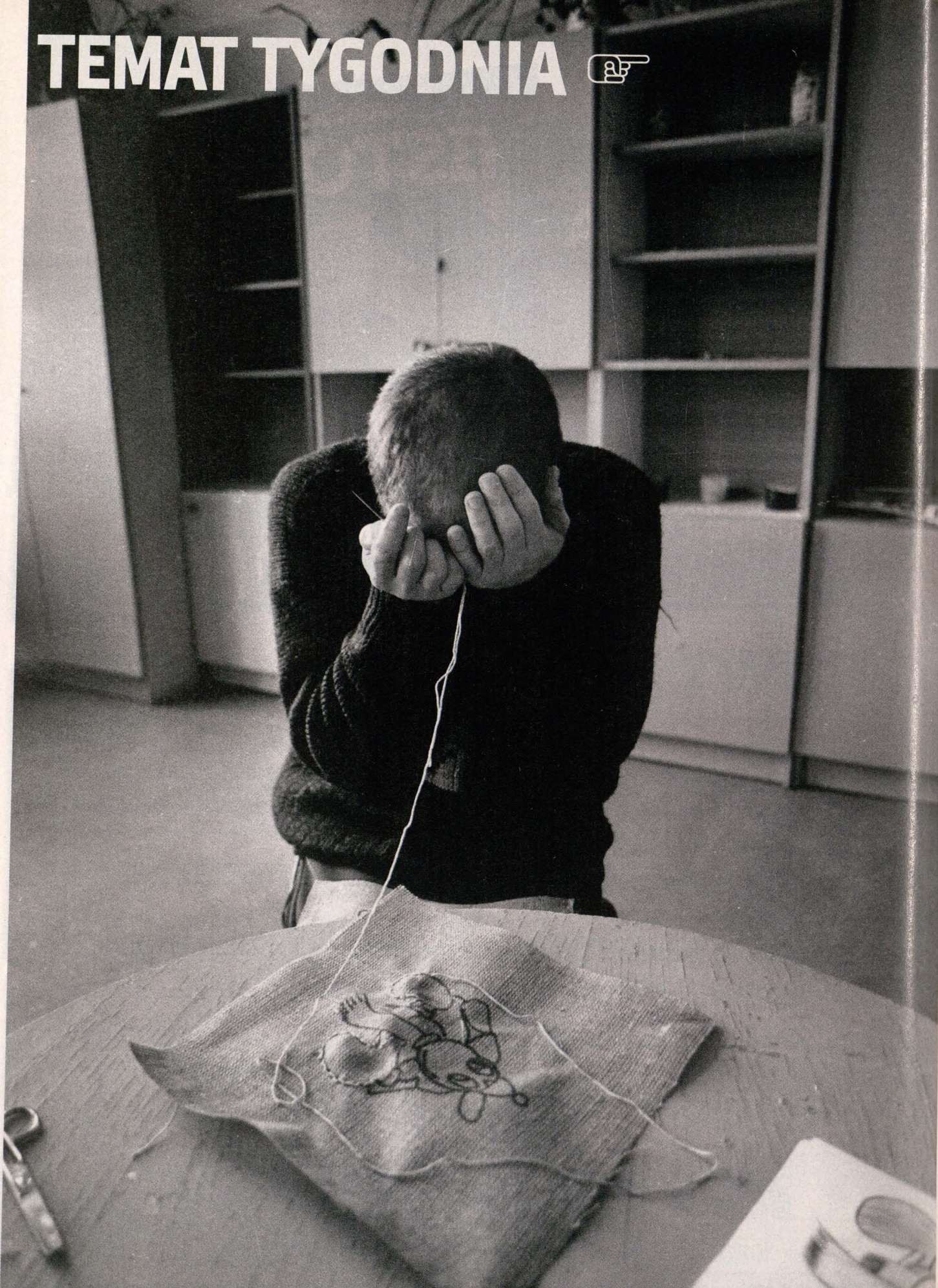
Pacjenci psychiatryczni i ich rodziny najczęściej właśnie tak widzą dziś miejsce, w którym oni lub ich bliscy mają

wrócić do zdrowia i – w miarę możliwości – do normalnego życia. Zaniedbane wnętrza i popsute łóżka pewnie nie miałyby aż tak wielkiego znaczenia, gdyby atmosfera placówki oraz sposób traktowania chorych przez personel nie były odbierane jeszcze gorzej niż niedostatki lokalowe. Marek Balicki, lekarz psychiatra i były minister zdrowia, uważa, że ze względu na panujące w niektórych placówkach warunki wymagałyby one natychmiastowego zamknięcia. Konieczność szukania pomocy w takich miejscach to według niego dodatkowa stygmatyzacja pacjentów. – Państwo traktuje chorych psychicznie jak obywateli drugiej kategorii – stwierdza Balicki.

W dodatku istnieje też powszechne społeczne przyzwolenie na stygmatyzowanie chorych psychicznie. Nawet lżej chorym przyczepia się łatkę świra.

– Na co dzień można usłyszeć, że ktoś kogoś określa mianem „wariata”, „psychicznego”, „szalonego” czy „szurniętego”. Nawet w dyskursie publicznym wzajemne wysyłanie się polityków do psychiatry nie budzi większego oburzenia. Proszę pomyśleć, jak bardzo jest to stygmatyzujące dla ludzi, którzy wizyt u tego psychiatry naprawdę potrzebują – mówi dr n. med. Tomasz Szafrański, psychiatra z Warszawy.

Pacjenci muszą często ukrywać swoją chorobę, wstydzą się jej, a to wiąże



się z opóźnieniem rozpoczęcia leczenia. – Dyskryminowanie ludzi chorych psychicznie widać też w prawie pracy, poszanowaniu godności osobistej, wykształceniu i ochronie majątku – uzupełnia ten pesymistyczny obraz polskiej psychiatrii prof. nadzw. dr hab. med. Janusz Heitzman, prezes Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Jak wyjść z tej zapaści? Potrzebne są zmiany systemowe, walka z krzywdzącymi, rozpowszechnionymi w naszym społeczeństwie stereotypami na temat chorych psychicznie oraz pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

Psychiatria zbadana

Zły stan opieki psychiatrycznej w Polsce dotyka wbrew pozorom bardzo wielu z nas. Jak wynika z badania EZOP (Epidemiologia Zaburzeń Psychiatrycznych i Dostępność Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej) którego wyniki ogłoszono w październiku ub. roku, co czwarty dorosły Polak doświadczał zaburzeń o podłożu psychicznym. To sporo, a nie jest to przecież diagnoza postawiona na podstawie kolejnego mało wiarygodnego sondażu. EZOP jest pierwszym tak

Pochodną krzywdzących stereotypów o chorych psychicznie jest kiepska lokalizacja szpitali. Najczęściej powstają na peryferiach. Tutaj szpital psychiatryczny w Stroniu Śląskim.

dużym badaniem w Polsce, zrealizowanym przez zespół naukowców ze stołecznego Instytutu Psychiatrii i Neurologii, Akademii Medycznej we Wrocławiu i Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego Państwowego Zakładu Higieny. Ekspertsi przebadali grupę 10 tys. osób w wieku 18–65 lat. Z ich raportu wynika, że 2,5 mln Polaków cierpiało dotąd na zaburzenia nerwicowe, w tym fobie specyficzne, a prawie milion na zaburzenia afektywne (depresję, manię lub trwające ponad dwa lata depresyjne zaburzenia nastroju – tzw. dystymię).

Badanie EZOP pokazało coś jeszcze – nie najlepszy stosunek Polaków do chorych psychicznie. Okazało się, że chociaż tylko 23 proc. z nas deklaruje, że doświadczyło osobistego kontaktu z osobą chorą psychicznie, większość przyjmuje wobec schorzeń oraz instytucji psychiatrycznych postawę niechętną. Znaczny jest też stopień dystansu wobec samych chorych. Wyraża się on np. w opinii odmawiającej osobom, które przebyły chorobę psychiczną, możliwości pełnienia większości odpowiedzialnych ról społecznych (nauczyciela, przedstawiciela władzy)

i pozostawianiem im tylko nielicznych ról marginalnych.

Psychiatria ma też w Polsce kiepską prasę. W ogólnopolskich mediach temat choroby psychicznej pojawia się najczęściej w związku z jakimś drastycznym wypadkiem, przejawem agresji, przemocy czy wreszcie zabójstwem. Wtedy też używa się określeń „chory psychiczne”, „niebezpieczny szaleniec”, „niezrównoważony”. Czasami faktycznie dotyczy to sytuacji, w których osoba popełniająca przestępstwo straciła kontakt z rzeczywistością. – To tzw. szaleństwo jest chorobą psychiczną związaną z innym postrzeganiem świata i nie bierze się ona znikąd, ale ma konkretną przyczynę – podkreśla prof. J. Heitzman i precyzuje: – Wynika z zaburzeń w pracy mózgu, który jest odpowiedzialny za analizowanie spostrzeżeń, za pamięć czy adekwatne reagowanie na doznania i bodźce.

Ale nie można demonizować tego problemu i zakładać, że niemal każda osoba chora psychicznie jest potencjalnym zbrodniarzem.

– Tylko ok. 5 proc. osób z zaburzeniami psychicznymi dopuszcza się poważnych przestępstw. To mniej niż w

teoretycznie zdrowej części społeczeństwa – podkreśla profesor.

Od uprzedzeń nie jest także wolny personel placówek, do których trafiają osoby z zaburzeniami psychicznymi. – Miałam wrażenie, że nikt z personelu nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi – opowiada młoda dziewczyna, która po próbie samobójczej trafiła na obserwację do jednego ze stołecznych szpitali. – Sanitariusze na izbie przyjęć zachowywali się po chamsku, odmówiono mi np. papieru toaletowego, co tylko dodatkowo upokorzyło mnie jako przyszłą pacjentkę.

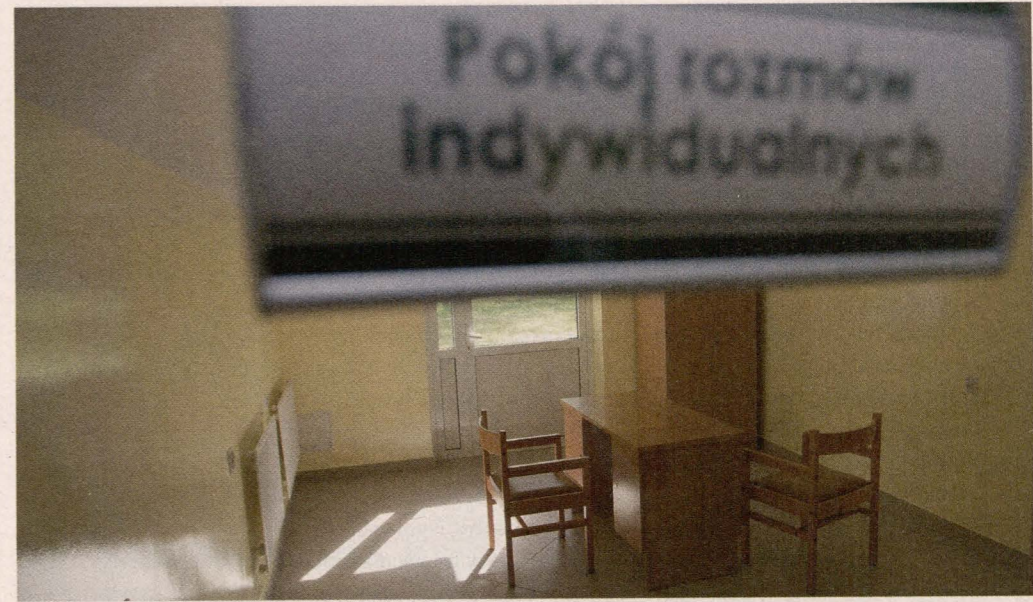
– Takie zachowania są naganne i nie chcą ich usprawiedliwiać, ale w opiece psychiatrycznej pracują też osoby zatrudnione na zasadzie selekcji negatywnej – tłumaczy dr Szafrąński. – Mam nadzieję, że jednak częściej są to lekarze, pielęgniarki i sanitariusze, którzy wybierają ten zawód, bo chcą pomagać ludziom – dodaje.

Szafrąński zwraca uwagę, że ani lekarz ani pielęgniarka, ani sanitariusz nie jest nadczłowiekiem, który potrafi z pełnym poświęceniem pracować 24 godziny na dobę w sytuacji permanentnego niedoboru personelu. W Polsce przypada około 5 psychiatrów na 100 tys. osób. Dla porównania, w większości krajów europejskich to powyżej 10 lekarzy.

Szpitale na peryferiach

Pochodną krzywdzących stereotypów o chorych psychicznie jest kiepska lokalizacja szpitali, dla których zazwyczaj nie ma miejsca w centrum miast i miasteczek. Z danych EZOP wynika, że najczęściej chcielibyśmy, by zarówno szpitale, jak i oddziały dzienne czy środowiskowe punkty wsparcia lokalizować na obrzeżach, bo aprobata dla powstania instytucji psychiatrycznych w pobliżu miejsca zamieszkania badanych jest w społeczeństwie ograniczona: nieco słabsza (57 proc.) w przypadku szpitala psychiatrycznego, nieco silniejsza w przypadku placówki środowiskowej (65 proc.).

– Pacjenci narzekają więc na brak realnej pomocy w powrocie do zdrowia, czyli wsparcia na rynku pracy, szeroko



Pacjenci i ich rodziny narzekają na samotność w zmaganiu się z chorobą. Lekarze tłumaczą, że w porównaniu z innymi krajami europejskimi, w Polsce brakuje psychiatrów.

rozumianej pomocy terapeutycznej, która często może zapobiec kryzysowi psychicznemu lub zminimalizować skutki tego kryzysu lub nawrotu choroby, a co za tym idzie, pozwala uniknąć hospitalizacji w dużym szpitalu psychiatrycznym – uważa Roman Ludkiewicz, lekarz, były prezes, a obecnie skarbnik wspierającego pacjentów Stowarzyszenia „Przyjazna Dłoń”. Jak wyjaśnia Ludkiewicz: – Pobyt w dużym szpitalu wiąże się przecież od razu z piętnem chorego psychicznie. Każdy region w Polsce ma takie szpitale-symbole: Warszawa

– Tworki, Gdańsk – Srebrzysko lub Kocborowo, a Kraków – Kobierzyn.

Zdani na siebie

Pacjenci i ich rodziny narzekają na samotność w zmaganiu się z chorobą. Siostra Konrada, którego chorobę opisaliśmy we wstępie, przyznaje, że jego przypadek jest trudny. Mężczyzna nie bierze przepisanych leków, każdy jego pobyt w szpitalu kończy się wypisem na własne żądanie. Na dodatek nie chce uczestniczyć w terapii zajęciowej. Sęk w tym, że lekarze uporczywie stosują



najwyraźniej nieskuteczną terapię i nie proponują Konradowi innych, bardziej nowoczesnych metod leczenia. Unikają też kontaktu z jego bliskimi. W ciągu kilkunastu lat tylko raz się zdarzyło, że lekarz zadzwonił do rodziny Konrada i zaproponował spotkanie. To głównie matka pacjenta, również lekarka, zabiega, a nie jest to łatwe, o informacje o leczeniu syna, stara się dowiedzieć, jak może wspierać jego terapię. – Kooperacja z rodziną, ustalenie wspólnej strategii działań i zmiana sposobu leczenia – to wszystko razem mogłoby przecież przynieść jakieś rezultaty – tłumaczy siostra Konrada.

Profesor Marek Jarema, krajowy konsultant w dziedzinie psychiatrii, stara się zrozumieć niezadowolone pacjentów i ich rodzin: – Słusznie się buntują i zastanawiają, co właściwie mają z płacenia składek zdrowotnych – przyznaje profesor, choć zastrzega, że obwinianie lekarzy o wszystkie niedostatki ochrony zdrowia jest niesprawiedliwe. Przekonuje, że jeżeli pacjenci czują się lekceważeni, to powinni mieć pretensje do polityków – twórców systemu opieki zdrowotnej. Z jednej strony wmawia się im, że postęp medycyny jest ogromny, pojawiają się nowe technologie, nowe leki, o których słyszy się w mediach, a z drugiej pacjenci nie mogą z tych dobrodziejstw nowoczesności skorzystać. – Najpierw nie mogą się dostać do lekarza POZ, wyprosić skierowania do specjalisty, a kiedy już szczęśliwie umówią się na wizytę, dowiadują się, że postęp ma charakter medialny, bo nowoczesna diagnostyka i terapia kosztują, a NFZ nie chce za to płacić – tłumaczy profesor.

Plan i bez zmian

Niestety, politycy nie widzą lub raczej nie chcą dostrzec problemów związanych ze zdrowiem psychicznym Polaków i spychają je na margines debaty publicznej. Chętniej zajmują się narkomanią niż przyczynami samobójstw. A statystyki są nieubłagane: z powodu narkotyków rocznie umiera w Polsce ok. 300 osób, samobójstw jest ponad 6 tys. Wprawdzie pod koniec grudnia 2010 r. uchwalono Narodowy Program

Ochrony Zdrowia Psychicznego na lata 2011–2015, który miał przenieść polską psychiatrię w XXI w., ale jak dotąd nie jest on realizowany zgodnie z planem. Z ponad 20 zadań przewidzianych w programie do 2015 r. do tej pory resort zdrowia zrealizował... jedno – przygotował broszury omawiające priorytety ochrony zdrowia psychicznego i bezpłatnie rozdał je samorządom. Tymczasem realizacja choćby części założeń programu przyniosłaby zauważalną dla pacjentów poprawę sytuacji.

Głównym celem programu jest wprowadzenie w Polsce tzw. środowiskowego modelu opieki zakładającego, że osoby wymagające pomocy otrzymują ją w miejscu zamieszkania, w tzw. centrach zdrowia psychicznego obejmujących opieką od 50 do 200 tys. mieszkańców.

– Korzyść byłaby ogromna. Pacjent pozostaje w swoim środowisku, a jeśli trzeba, może się zgłosić do ambulatorium albo zostać skierowany do oddziału dziennego. Hospitalizacja jest ostatecznością, a nie – jak dotychczas – niemal jedyną formą dostępną opieki – mówi prof. Marek Jarema.

Na razie poza dużymi miastami centra jednak nie powstają, gdyż samorządy nie mają motywacji, aby je tworzyć na swoim terenie. Decydują oczywiście względy finansowe. – NFZ nie zrobił nic, aby to ułatwić – tłumaczy prof. Jarema.

Potwierdzają to doświadczenia jednego z pierwszych w Polsce centrów zdrowia psychicznego, które zostało utworzone w Szpitalu Wolskim w Warszawie. – NZF refunduje średnio 50–60 proc. kosztów działalności oddziału psychiatrycznego, a sprawne zarządzanie całością utrudniają zmiany prawa (np. konieczność rozdzielania leczenia ambulatoryjnego i szpitalnego). Do tego musimy jeszcze

konkurować z drugim publicznym centrum, które powstało w naszej dzielnicy – mówi dyrektor szpitala Marek Balicki.

Pacjenci potrzebują rzecznika

Wiecznie niedofinansowane szpitale psychiatryczne często straszą swoim wyglądem. Pacjentom latami śnią się odpadające tynki, brudne sanitariaty. „Nigdy nie byłam w bardziej przygnębiającym miejscu”, „czekałam tylko, by stamtąd wyjść”, „brakowało wszystkiego, nawet środków higienicznych” – to tylko niektóre wspomnienia pacjentów i ich rodzin, którzy z powodu przebytej traumy niechętnie opowiadają o swoich doświadczeniach. – Warunki pobytu na oddziałach w szpitalach psychiatrycznych w porównaniu z oddziałami somatycznymi nierzadko urągają ludzkiej godności – przyznaje prof. Heitzman i tłumaczy: – Wynika to często z deficytowego finansowania psychiatrii w strukturze podmiotu leczniczego, co jest przyczyną niedoboru personelu i generowania przez oddziały psychiatryczne zadłużenia.

A pacjenci psychiatryczni nie należą do chorych, którzy upominaliby się o swoje prawa, np. w sądach. Często też po prostu ich nie znają. By ich bronić, powołano ustawowo rzeczników. Mają gwarantować, że prawa pacjentów psychiatrycznych są realizowane, zwłaszcza w sytuacji gdy z powodu choroby sami nie są w stanie o nie zadbać. Niestety, także i pod tym

względem system kuleje. Okazuje się, że współpraca między rzecznikami a personelem placówek bywa źródłem konfliktów. – Z jednej strony piętnują ograniczenie pacjentowi prawa do intymności czy stałego niekontrolowanego dostępu do łazienki lub

palety, a z drugiej, gdy pacjent odbiera sobie w tych miejscach życie, piętnują personel za niedopełnienie prawa pacjenta do sprawowania nad nim kontroli i stałego nadzoru – mówi prof. Heitzman. Jego zdaniem takie konflikty są m.in. efektem małej wiedzy praktycznej rzeczników o specyfice zaburzeń psychicznych. Tymczasem skargi chorych wynikają najczęściej z natury ich choroby.

– Rzadko dochodzi do weryfikowania u personelu medycznego przez rzecznika treści skargi pacjenta, co w wielu przypadkach tłumaczyłoby niezasadność interwencji – mówi z kolei prof. Jarema. Jako przykład podaje przypadek pacjenta cierpiącego z powodu urojeń, który domaga się respektowania swoich praw poprzez zaniechanie irwigilowania go przez tajne służby. Albo próbę zamówienia przez pacjenta w stanie maniакаlnym pizzy dla całego oddziału, co wiąże się z dużym kosztem, więc personel szpitala mu tego odmawia. – Nietrafna interwencja rzecznika, np. podzielenie urojeniowych przekonań pacjenta, musi się spotkać ze zdecydowanym oporem ze strony personelu – wyjaśnia prof. Jarema. I opłakuje następującą sytuację: pacjent czuje się w oddziale prześladowany, co jest objawem choroby. Od rzecznika otrzymuje informację, że w każdej chwili może opuścić oddział. Pacjent domaga się więc wyjścia poza oddział, a personel mu tego odmawia. Pacjent staje się napięty, agresywny, bo „nie chciał być wypuszczony”. W rezultacie musi interweniować lekarz, nierzadko dochodzi do przymusowego podania leku lub zastosowania przymusu bezpośredniego. – Kto najczęściej odpowiada wtedy za pogorszenie stanu pacjenta? – pyta prof. Jarema. – Rzecznik? Nie. Skarga dotyczy postępowania lekarza!

Szukanie winnego

Jak mogłoby wyglądać idealna opieka psychiatryczna w Polsce? – Psychiatryczne oddziały całodobowe powinny być maksymalnie 20-osobowe, na jednej zmianie, na jednego pacjenta powinna przypadać



MACIEJ KURON/PAP

„Nigdy nie byłam w bardziej przygnębiającym miejscu”, „czekałam tylko, by stamtąd wyjść”, „brakowało wszystkiego, nawet środków higienicznych” – wspominają pacjenci.

co najmniej jedna osoba z personelu (pielęgniarki, sanitariusze, terapeuci) – uważa dr Szafranski. – Wtedy spadłaby liczba unieruchomień, wzrosłoby zadowolenie pacjentów i ich rodzin, bo miałby kto z nimi rozmawiać. Obecnie na 50-osobowym oddziale, na jednej zmianie, jest czasami tylko jedna lub dwie pielęgniarki. Trudno więc oczekiwać, że odpowiednio zajmą się wszystkimi pacjentami.

Na postulowane przez Szafranskiego zmiany potrzebne są pieniądze. A tych w systemie opieki zdrowotnej stale brakuje. – W 2013 r. NFZ na świadczenia ma 64 mld zł. W ostatnich latach w Polsce, odwrotnie niż w Europie, nakłady na leczenie zaburzeń psychicznych wśród wszystkich chorób się zmniejszają – twierdzi prof. Heitzman. – W Szwajcarii środki publiczne przeznaczone na tego typu leczenie stanowią 12 proc. budżetu, a średnia europejska to ok. 5 proc. Mimo zaplanowanego w Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego zwiększenia nakładów na leczenie psychiatryczne do 4,1 proc. prognozy na 2013 r. oscylują w przedziale 3,1–3,5 proc.

Nic więc dziwnego, że oddziały psychiatryczne w szpitalach ogólnych przynoszą straty, nie ma pieniędzy

na poprawę panujących w nich warunków, a zła opinia pacjentów o jakości opieki psychiatrycznej skupia się przede wszystkim na osobach, które są najbliższymi pacjentów – pielęgniarzach i lekarzach. A to zdaniem specjalistów, którzy rozmawiali z „Przekrojem”, jest po prostu niesprawiedliwe. – Personel staje się celem ataków, ale za system przecież nie odpowiada – uważa prof. Jarema. – Ten zaś jest tak skonstruowany, że nie zapewnia minimum, które wynika z szeroko propagowanego przez polityków „bezpłatnego dostępu do świadczeń zdrowotnych”. Trzeba jasno powiedzieć, iż to państwo pokrywa koszty opieki. Tymczasem państwo nie zapewnia finansowania na takim poziomie, aby te koszty przynajmniej wyrównać. Prof. Jarema zaprzecza przy tym oskarżeniom polityków, że pieniądze przepadają w systemie opieki zdrowotnej jak w czarnej dziurze.

– Demagogią jest podnoszenie argumentu, że tam, gdzie idzie o zdrowie, pieniądze się nie liczą – uważa prof. Jarema. – Dla organizatorów opieki zdrowotnej, liczą się przede wszystkim! Dla płatnika też, a przez to i dla szpitala czy oddziału. Dla każdego.



ROMAN ROŚCICKI

AMANDA PALMER, ILUSTRACJA AGATA BOGACKA

Beton w lekarskim kitlu

Nasza czytelniczka nadesłała do redakcji dramatyczny list, w którym opowiedziała o swoim pobycie w szpitalu psychiatrycznym. Absolwentka psychologii zderzyła się w nim z łamaniem praw pacjentów i nieetycznym zachowaniem personelu. – Żałuję, że nie miałam wtedy dość odwagi, żeby zwrócić uwagę na wiele nieprawidłowości. Teraz mogę naprawić swój błąd – napisała. Publikujemy jej szczere i odważne wyznanie.

Jest piątkowe popołudnie. Karetka staje przed ponurym, szarym budynkiem. Jestem trochę oszołomiona, nieprzytomna po nieprzespanej nocy spędzonej na szpitalnym korytarzu, przytłoczona kotłującymi się we mnie uczuciami i myślami. Mimo to czuję, jak gardło zaciska się ze strachu na widok tego potężnego budynku. Kiedy wychodzę z karetki, ratownik trzyma mnie za ramię. Do dziś nie wiem, czy chciał tym gestem dodać mi otuchy, czy też bał się, że spróbuję uciec. Ale ta druga możliwość wydaje mi się bardziej prawdopodobna. Idziemy na izbę przyjęć.

Widać, że ratownik chce jak najszybciej stąd odjechać. Nie dziwię się, atmosfera tego miejsca budzi dziwny niepokój. Znika najszybciej, jak to możliwe, nie oglądając się za siebie. Boję się, ale jestem zrezygnowana. Może tu znajdę pomoc?

Krótką rozmową z lekarzem dyżurnym. Podstawowe pytania o alkohol, narkotyki, czy to pierwsza próba.

Lekarz nawet na mnie nie patrzy, poprawia okulary, zakreśla coś w pa-

pierach. Zapamiętuję koszmarny, pasiasty sweterek i obrączkę na tłustym palcu. Nie twarz ani nie imię, nawet nie pamiętam, czy w ogóle się przedstawił. Jesteśmy tu dla siebie anonimowi.

Pięć minut i trafiam do dyżurki, gdzie zamieniłam kilka słów z siedzącymi tam pracownikami. Są sympatyczni i żartują, dodają mi otuchy. Jeszcze nie wiem, że to będzie jedyne miłe wspomnienie z tego miejsca. W depozycie muszę zostawić praktycznie wszystkie rzeczy, z telefonem włącznie. Podpisuję zgodę na leczenie, wszystko byle szybciej. Nikomu do głowy nie przyjdzie wytłumaczyć mi, z czym to się wiąże i jakie są konsekwencje. Ani słowa. Nikt niczego nie tłumaczy, o niczym nie informuje, dostają proste polecenia, nakaz przebrania się w szpitalną piżamę i to w zasadzie wszystko. Nie wiem, co się dzieje, co będzie dalej.

Drzwi oddziału F1 zamykają się za mną cicho.

Pierwsze zaskoczenie. Tu nie ma żadnego lekarza, psychologa, psychiatry. Jest kilka pielęgniarek zamkniętych w dyżurce, z której nie wystawiają nosa. Na krótką chwilę pojawia się pani doktor, psychiatra, która w zasadzie powtarza krótkie pytania, te same, na które odpowiedziałam kilka minut wcześniej. Alkohol, narkotyki, czy to pierwszy raz, czy biorę jakieś leki... i koniec. Kiedy próbuję później o coś

zapytać, gdy pani wychodzi już z oddziału, spławia mnie, mówiąc, że ona skończyła dyżur, a lekarz dyżurny w ogóle nie rozmawia z pacjentami.

Może i nie jestem w najlepszej kondycji psychicznej, ale myślę trzeźwiej. I mam coraz gorsze przeczucia. Trafiam tu na obserwację, ale nikt nie wyjaśnia, na czym to ma polegać. Przecież tu nikogo nie ma. Nie liczę pielęgniarek, które nie wychodzą ze swojego pokoju, z wyjątkiem krótkich przerw na posiłki.

Odnoszę też wrażenie, że nie ma klucza, wedle którego pacjenci trafiłiby do różnych oddziałów. Decyduje liczba miejsc. Zaczynam poznawać pacjentów. Jest D*, która nie wstaje z łóżka, P*, który uważa się za wcielone archanioła i planuje wojnę z Luciferem, jest kilka kobiet, starszych, odezwanych kompletnie od rzeczywistości i jedna, która wciąż krzyczy. Sąsiadka z łóżka obok nie wstaje, milczy, a co pewien czas wybucha słowotokiem. Są pacjenci z nerwicami natręctw, starsza kobieta, która siedzi na wózku i nie odzywa się ani słowem, tylko patrzy przed siebie, znajdują się ze dwie osoby, które wyglądają normalnie. Ale tu trzeba uważać, pozory normalności mogą ukrywać poważne zaburzenia.

Pierwsza noc przypomina zły sen. Natłok myśli jest trudny do zniesienia. Czuję się uwięziona i przerażona. Nie mam żadnej możliwości, by kogokol-



wiek zawiadomić, poprosić o przywiezienie rzeczy, o pomoc. To najcięższe doświadczenie w moim życiu. Mam świadomość, że nic teraz nie zależy ode mnie, ale muszę panować nad nerwami, żeby nie narobić sobie kłopotów.

W dzień chcę rozmawiać z lekarzem dyżurnym. Marzenie ściętej głowy. Prośby pacjentów automatycznie są uznawane za bredzenie wariatów. Dopiero interwencja i stanowcza prośba mojego męża coś daje. Lekarz po-

jawia się dość szybko... żeby z uśmiechem i chłodnym tonem wyjaśnić, że procedury nie zezwalają na wypisanie mnie na własne życzenie, mój pobyt ma głęboki sens, a pielęgniarki prowadzą obserwację.

Na usta ciśnie się mnóstwo pytań, większość z nich złośliwa: o kompetencje pielęgniarek, które piją trzecią tego dnia kawę (informację o liczbie kaw łatwo było uzyskać, stojąc obok dyżurki), o metodykę prowadzenia takiej obserwacji, o sens takich działań...

Nie zadaję żadnego z nich. Już wiem, że zderzyłam się z systemem. Przede mną stoi beton w lekarskim kitlu. Nie uzyskam żadnych odpowiedzi. Trzeba czekać do poniedziałku.

Sobotniego wieczoru, po kolacji, oglądałam z piątką innych pacjentów, tych bardziej kumatych, moje zdjęcia z wakacji. W połowie zdałam sobie sprawę, że ta godzina była dla nich czymś znacznie ważniejszym, niż podejrzewałam. Widzę to po ich błyszczących oczach, skupionych minach, kiedy pokazuję im podwodne krajozrazy i opowiadam o Dahab.

Nie wiem, czy to wpływ mojego hobby, ale czuję się w pewnym sensie odpowiedzialna za tych ludzi. Nasze losy się przecięły, a oni byli w znacznie gorszej sytuacji niż ja. – Ciebie jeszcze odwiedzają – powiedział jeden ze starych stażem pacjentów. W jego głosie brzmiały nutki żalu i zazdrości. Aż mnie skreśliło. A co jeśli zostanę tu na długo? Czy mnie też w końcu przestaną odwiedzać? Zacznie się odwieczny brak czasu i zapracowanie i zostanę tutaj sama? Na jak długo? Tydzień, dwa, miesiąc? Nie wiem, ile mogą mnie przetrzymać i na jakiej podstawie, tego też nikt mi nie wyjaśnił.

Co było najkoszmarniejsze?

Poczucie bezsilności? Całkowitej zależności od anonimowych, bezosobowych „onych”, którzy mogą zdecydować, czy wyjdę, czy zostanę tu na dłużej. Nie mogę się doprosić o rozmowę z lekarzem, pielęgniarki robią wszystko, żeby nie wychodzić z dyżurki, na pytania odpowiadają zdawkowo, żeby tylko dać im spokój. Traktują mnie jak wariatkę, a przecież jestem całkowicie normalna.

Pielęgniarki wychodzą tylko na czas posiłków, niemal cały dzień mogę przesiedzieć kompletnie niezauważona. Nie reagują, kiedy jedna z najuporniejszych pacjentek cały dzień biega i wrzeszczy. Nie reagują na nic. Nie ich cyrk, nie ich małpy.

Sobotnia noc. Siedzę na stołówce z laptopem, przy przygaszonym świetle, wcisnięta w róg pod oknem.

Przychodzi dwóch facetów, jeden przebiera się w ubranie pielęgniarza, drugi zostaje w dresach. Siadają z drugiej strony, chyba mnie nie widzą. Staram się być jak najciszej, teoretycznie od 22 powinnam spać w swojej sali... ale wolę zostać tutaj, sama. Przypadkowo podsłuchuję ich rozmowę.

Najpierw uśmiecham się z zażenowaniem, kiedy słucham, jak obaj „najełali się w weekend”. Przy wysłuchiwananiu o tym, jak się naćpali, mój uśmiech gaśnie. Słownictwo jak u dresiarzy spod budki z piwem... W milczeniu, zaglądając na Facebooka (jedną z niewielu rzeczy, które utrzymywały mnie przy zdrowych zmysłach) i korespondując z kolegą, słucham dalszej części rozmowy. O jeździe samochodem po pijaku i pod wpływem słynnych tabletek na kaszel na drugi koniec miasta. Oddycham z ulgą, kiedy wstają od stolika i znikają na korytarzu.

A potem słyszę ich głosy i czuję, jak zimny pot ścieka mi po plecach: „Przywieźli nową pacjentkę, ponoć niezła. Aż szkoda, że to nie my ją przyjmowaliśmy, moglibyśmy ją przetrzepać”.

Śmiech. Oblesny, ohydny śmiech. Potrzebuję całej swojej samokontroli, żeby nie wybuchnąć. Najchętniej wstałabym i opierdoliła obu w niewybrednych słowach, ale tu nikogo innego nie ma, poza pacjentami. Cholera wie, co takim dwóm prymitywom może przyjść do głowy. Tak koszmarnie się boję, że strach wygrywa z wściekłością. Zagryzam usta. Bo w razie czego nikt mi nie uwierzy. Kto by słuchał świra? Tu na pewno nikt.

Słucham pielęgniarek komentujących na głos dokumentację medyczną pacjentów, a zwłaszcza co ciekawsze fragmenty (kto tym tępym kłępom dał do niej dostęp?!), tak głośno, że na korytarzu wszystko słysząc, czy ktoś jest zainteresowany, czy nie. I milczę.

Moja ostatnia noc jest ciężka. Pannie w dyżurce doskonale się bawią, szkoda, że tak głośno. Kilku pacjen-

tów smętnie włóczy się po korytarzu. W moim pokoju kobieta z łóżka obok chodzi po pokoju i gada do siebie. Nie dziwię im się, nikt nie dałby rady zasnąć w takim hałasie. Ale ja dalej milczę.

Milczę, kiedy przy wydawaniu leków jedna z pielęgniarek wrzuca niekontaktującej, starszej pacjentce od wrednych bab i idiotek tylko dlatego, że ta nie chce połknąć leków.

Odliczam minuty do poniedziałku. Nie wiem, dlaczego najpierw pobierają mi krew i robią EKG, zamiast zacząć od konsultacji z lekarzem, który

Milczę, kiedy przy wydawaniu leków jedna z pielęgniarek wrzuca niekontaktującej, starszej pacjentce od wrednych bab i idiotek tylko dlatego, że ta nie chce połknąć leków.

mógłby mnie wypuścić. Nie wiem, czy miałam w ogóle prawo nie zgodzić się na takie badanie. W końcu tu daje się odczuć, że jesteś pozbawionym wszelkich praw świrem, którego i tak nikt nie wysłucha. Wolę nie ryzykować.

Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać.

Nie byłabym sprawiedliwa, twierdząc, że spotkałam się wyłącznie z nieprawidłowościami. Ciepło mogę wspominać jednego z pielęgniarzy, który ostatniego dnia zamienił ze mną kilka normalnych słów. To wyjątek, ponieważ reszta personelu, z lekarzami włącznie, sprawia wrażenie, jakby konieczność zamienienia choćby kilku słów z pacjentami była przykrą i irytującą koniecznością, przykrością, którą chcą jak najszybciej zakończyć.

W trakcie poniedziałkowego wywiadu z lekarzem jak nigdy ważyłam każde słowo i pilnowałam, żeby żadne zdanie, które mogłoby mi zaszkodzić, nie wymknęło się z moich ust. Nie wie-

rzę, żeby choć jedna minuta spędzona w tym koszmarnym miejscu w czymkolwiek mi pomogła.

Od tamtych strasznych chwil minęło już sporo czasu. Chciałabym powiedzieć, że odetchnęłam, jestem spokojniejsza, a ponure wspomnienia zatarły się choć odrobinę. Niestety, nie jest tak przyjemnie.

Odpaliłam kolejny odcinek „American Horror Story”, drugi sezon. Nadmienię tylko dla tych, którzy o nim nie słyszeli, że rozgrywa się w wyjątkowo upiornym szpitalu psychiatrycznym. Wytrzymałam z 10 minut i wyłączyłam. Przez długi czas siedziałam potem w milczeniu na kanapie, trzęsąc się jak z zimna. Nie mogę.

Koszmary prześladują mnie co noc. Czasami śnię, że nie mogę oddychać i patrzę bezradnie na swoje pokaleczone przeguby, jednocześnie z trudem chwytając choć odrobinę powietrza. A czasem i te sny są chyba jeszcze straszniejsze, znowu znajduję się w wykrzywionej, mrocznej wersji szpitala psychiatrycznego, w zimnych, sterylnych ścianach, wśród obojętnych ludzi równie beznamiętnych jak roboty ubrane w białe kitle. Wędruję od pokoju do pokoju, przerażona słucham, jak zapisują mi kolejne lekarstwa, a potem bronię się, żeby nikt mnie nimi na siłę nie karmił. Wizje stają się czasem bardziej pokręcone, gdy ląduję w klatkach z żyłek albo gdy ciasno zapięty kaftan bezpieczeństwa nie pozwala oddychać. Każdy z tych snów niesie ze sobą odczucie prawdziwego i silnego fizycznego bólu. Upokorzenie, ból, wstyd i bezsilność powracają niemal co noc.

Nie jestem wcale taka twarda, z jaką się uważałam.

Cały czas żyję w strachu, że tak będzie już zawsze, że nigdy nie uwolnię się od ciężaru doświadczeń, mrocznych wspomnień i koszmarnych snów.

Autorka spędziła kilka dni w szpitalu psychiatrycznym przy ul. Sobieskiego w Warszawie. Prosiła o nieujawnianie jej prawdziwego imienia i nazwiska.

Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów. Sprawdzone program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15

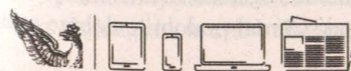
Wpisz kod: **RZ2012PIT**
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy



Partner projektu:



Pobudzamy myślenie **RZECZPOSPOLITA**



KATARZYNA NOWAKOWSKA

Patyczek w uchu bliźniego

Czy można pokazać w telewizyjnym, rozrywkowym show chorobę psychiczną w taki sposób, aby nikomu nie wydała się żartem ani czymś nie na miejscu? **Lenie Dunham** udało się to zrobić w serialu „Dziewczyny”.

Ta scena przejdzie do historii. Grana przez Lenę Dunham, która w „Dziewczynach” występuje w potrójnej roli aktorki, scenarzystki i reżyserki, główna bohaterka Hannah Horvath stoi przed lustrem w łazience. Wkłada do ucha patyczek i zaczyna nim wiercić. Coraz mocniej i mocniej, coraz głębiej. Dziewczyna działa jak w amoku: nie przestaje wpychać patyczka do ucha, choć widać, że sprawia jej to coraz większy ból. Coraz trudniej na to patrzeć. W końcu głuchy dźwięk i krzyk Hanny, bo patyczek uszkadza błonę bębenkową.

Co widzieliśmy? Najohydniejszą scenę w historii telewizji? Coś, czego nigdy nie chcieliśmy zobaczyć ani nawet o tym myśleć? Takie komentarze pojawiły się w sieci, ale głośniejsze brzmiały te, które podkreślały, że Dunham jako pierwsza uchwyciła na ekranie prawdziwą naturę zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, zwanych nerwicą natręctw. Nikt wcześniej nie

zdołał się na tak otwarte, szczere i autentyczne spojrzenie na tę chorobę. I na pewno nikt nie spodziewał się takiego zwrotu akcji w komediowym serialu o erotyczno-uczuciowych perypetiach młodych ludzi. Co to za serial?

Młodsza siostra Carrie Bradshaw
O „Dziewczynach” mówi się różnie: jako überhipsterskim serialu o zbliżowanych nowojorkczykach lub młodszej wersji „Seksu w wielkim mieście”. Bywa krytykowany za to, że koncentruje się nadmiernie na „problemach pierwszego świata” i że odbiegająca od ideału szczupłej sylwetki Dunham za często paraduje w nim nago (sic!). A jednak z jakiegoś powodu serial dostał w tym roku dwa Złote Globy i ma rzeszę oddanych fanów. Co ciekawe, „Dziewczyny” bardzo podobają się chłopakom. Wiktor Cegła z serwisu Wyszło.com w tekście „Dlaczego powinniśmy oglądać »Dziewczyny«”, pisze tak: „Serial podobnie dobrze opisuje

też związki. Lęk przed samotnością, nieziarność, rozbrajające niezdecydowanie, zupełnie ludzkie uczucia, o których ktoś powie: »Ej, co w tym fajnego, przecież to takie zwykłe«. No, zwykłe. To my, nasi znajomi w pigułce. I to mi się właśnie podoba. Nie oglądałem dawno niczego tak bliskiego – może nie temu, kim jestem dzisiaj, ale temu, kim byłem kiedyś”.

Z kolei pisarz i krytyk Michał Zygmunt uważa „Dziewczyny” za serial przełomowy: – Z trzech powodów. Pierwszy to perfekcyjna konstrukcja bohaterów. Bodaj po raz pierwszy w historii telewizji zwykli ludzie budzą u widzów tak skrajne emocje – od pełnego utożsamienia, po nienawiść z powodu ucieczki przed odpowiedzialnością, umysłowego lenistwa czy życiowej bezradności. Drugi to autentyzm opowieści o problemach dzisiejszych dwudziestoparolatków. Trzeci: obalenie legendy „Seksu w wielkim mieście” na polu śmiałości scen erotycznych. Okazuje się, że Carrie Bradshaw niewiele wiedziała o seksie – mówi „Przekrojowi” Zygmunt.

26-letnia Lena Dunham, która jest niewątpliwie jedną z największych osobowości twórczych swojego pokolenia, uczyniła z otwartości i szczerości swój znak rozpoznawczy. Wystarczy spojrzeć na jej profil na Twitterze: zero pozę. Zdjęcie profilowe w piżamie czy domowym dresie, bez grama makijażu, pisanie o wszystkim – od zachwytyw nad ostatnią płytą The Strokes czy filmem „Spring Breakers” po postanowienia w rodzaju: „Muszę wprowadzić porządek w tabletkach”.

„Dziewczyny” są zaprzeczeniem wszelkich przekłamanych i przesłodzonych obrazów kobiecości, kobiecej seksualności czy przyjaźni. Zarówno seks, jak i wzajemne relacje bohaterów przedstawione są niekiedy z brutalną wręcz szczerością. Jednak odwaga obyczajowa to jedno, a wplecenie w lekką i zabawną opowiastkę o erotyczno-romantycznych dziewczęcych perypetiach wątku choroby psychicznej to zupełnie inny kaliber. I jeśli ten strzał nie chybia celu, to znów dlatego,

że podporządkowany został naczelnej zasadzie: dogłębnej (nomen omen) szczerości.

Choroba tak, ale nie w centrum

Hannah to oczywiście nie pierwsza postać filmowo-serialowego świata, która cierpi na zaburzenia psychiczne, czy nawet dokładnie nerwicę natręctw. Ale w odróżnieniu od na przykład popularnego detektywa Monka, filigranowej pani psycholog z „Glee” czy granego przez Jacka Nicholsona ekscentrycznego pisarza z „Lepiej być nie może”, jej choroba nie ma wymiaru komediowego. Ten wątek nie pojawia się po to, by wywołać śmiech. „Dziewczyny” przełamują konwencję pokazywania choroby psychicznej w komediowym skrócie perspektywnym. Tu nie wystarczy łyknąć tabletki, odwiedzić psychoterapeutę lub pospacerować po plaży, by pozbyć się objawów. Choroba taka jak zaburzenia obsesyjno-kompulsywne powraca, irracjonalne zachowania nagle wywracają codzienność i nie ma na to prostej rady poza mozolną, codzienną walką i podjęciem długofalowej terapii.

Choroba psychiczna to na pewno nie jest łatwy temat ani szczególnie wdzięczny do pokazania. Scenarzyści mogą mieć rozmaite lęki związane z wprowadzaniem takich wątków. Kró-

lowa polskich seriali Ilona Łepkowska jest jedną z nielicznych osób, które mają odwagę je podejmować na naszym rynku. – Ja się takich tematów nie boję. Przecież w „Barwach szczęścia” jest bohaterka chora na dwubiegunówkę, która się zastanawiała, czy może zająć w ciąży, czy leki psychotropowe, które przyjmuje, są przeciwwskazaniem. Przed laty w „M jak miłość” była chora psychicznie kobieta, która porwała dziecko Hanksi Mostowiak. W moich serialach było wiele scen w szpitalu dla nerwowo chorych, u psychiatry – mówi „Przekrojowi” Łepkowska. Jak podkreśla scenarzystka: – Jestem osobą bardzo wrażliwą na te tematy i nie uważam, że to wstydliva kwestia. Gdy ktoś ma jakiś problem, powinien iść do psychiatry, mi też się to zdarza. Trzeba oswajać widzów z tą tematyką, uświadamiać, że to może dotyczyć każdego z nas. Ważne jest też, by takie wątki w serialu były dobrze zdokumentowane medycznie.

Uwzględniając wszelkie różnice konwencji, budżetów i technik realizacyjnych między polskimi telenowelami a amerykańskim serialem, warto zauważyć, że nawet Łepkowska nie stawia tego tematu w centrum. Obdarzenie głównej bohaterki serialu chorobą psychiczną to jednak chyba pomysł zbyt odważny jak na nasze realia.

Komedia wesoła, a ogromnie przez to smutna

Tym ciekawsze jest to, co zrobiła Dunham, radykalnie przełamując ton swojego komediowego z założenia show. W kilku ostatnich odcinkach drugiej serii scenarzystka wprowadziła wiele elementów zaskakująco poważnych, by nie powiedzieć ponurych. Wszystkie bohaterki – nawet jeśli żadna nie w takim stopniu jak Hannah – doświadczają upokorzeń, niepowodzeń i załamań, choć pozornie wszystko kończy się happy endem.

Oglądanie, jak drobne zrazu triki i dziwaczne zachowania Hanny, takie jak powtarzanie niektórych gestów i czynności określoną liczbę razy, powoli przeradzają się w studium alienacji i cierpienia, ma dla widza przede



Dunham jako pierwsza uchwyciła na ekranie prawdziwą naturę zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

wszystkim znaczenie poznawcze. Ale to także jeden z rzadkich w obszarze popkultury przypadków ukazania psychicznych zaburzeń tak, by widz musiał wyjść ze swojej strefy bezpieczeństwa i skonfrontować się z czymś nieznany, budzącym podświadomy lęk, nieprzyjemnym. Scena, w której Hannah w kolejnym ataku choroby tak długo wierci patyczkiem w uchu, aż uszkadza sobie błonę bębenkową, powoduje dyskomfort, ale też zmusza do współczucia. Musimy przyznać, że to wcale nie jest zabawne dziwactwo ani uroczy ekscentryzm, który dodaje fikcyjnej postaci smaczku. Od początku do końca cierpimy razem z bohaterką, współodczuwamy z nią, nawet jeśli nie rozumiemy powodujących ją obsesji i chorobowych mechanizmów.

Może dzieje się tak dlatego, że postać Hanny wcale nie jest tak bardzo fikcyjna.

Dunham wielokrotnie otwarcie przyznawała, że pisząc scenariusze, wykorzystuje wiele autobiograficznych wątków. Hannah jest jej oczywistym alter ego, choć inne postaci także są wyposażone w rozmaite cechy i aspekty jej osobowości. Na przykład naiwna i niewinna Shoshanna (Zosia Mamet) miała odzwierciedlać lęk przed seksem, jakiego Dunham doświadczała w młodości. Scenarzystka mówiła o tym w poruszającym wywiadzie, który ukazał się w lutym numerze magazynu „Rolling Stone”, tuż po tym, jak „Dziewczyny” triumfowały na gali Złotych Globów, zdobywając dwie statuetki.

W tej samej publikacji Dunham z właściwą sobie szczerością odniosła się do kwestii zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, które zdiagnozowano u niej jeszcze w dzieciństwie. „Wciąż liczyłam do ośmiu... Oglądałam się po osiem razy przez każde ramię, aby upewnić się, że nikt mnie nie śledzi” – opowiadała aktorka, a każdy, kto widział ostatnie odcinki „Dziewczyn”, pamięta podobne zachowania Hanny. Dunham wspomniała także o farmakologicznej terapii, która pomagała w walce z zaburzeniami, ale miała nieprzyjemne skutki uboczne: „Byłam



Lena Dunham w lutym numerze magazynu „Rolling Stone” opowiedziała o tym, że zaburzenia psychiczne zdiagnozowano u niej już w dzieciństwie.

cały czas nawalona od leków. Czułam się wyczerpana, cierpiałam na nocne poty. Przechodziłam cały okres liceum byłam też po prostu gruba, bo leki spowalniają metabolizm”.

Widz czy podglądacz?

Wojerystyczna przyjemność podglądania fikcyjnej bohaterki/prawdziwej autorki ma jeszcze inny kontekst. U Hanny nawrót choroby wywołany jest stresem w związku z pisaniem debiutanckiej książki, na którą podpisała kontrakt i zainkasowała zaliczkę. Lena również pracuje nad książką – jesienią ukaże się tomik zatytułowany „Not That Kind of Girl: A Young Woman Tells You What She's Learned”, na który podpisała kontrakt wart 3,7 mln dol. Zupełnie nie ma się czym stresować, nawet jeśli Joyce Carol Oates napisała o tym literackim debiucie, że to mурwany bestseller i wielkie pokoleniowe wydarzenie. Notabene, jak poinformowała nas Monika Sznajderman, książka ukaże się także w Polsce nakładem wydawnictwa Czarne.

Dunham, która poprzez postać Hanny chętnie ironizuje na temat bycia „głosem pokolenia”, nie ukrywa, że obecną równowagę zawdzięcza lekom uspokajającym, które stale bierze. Jednak nawet one bywają źródłem niepokojów. „Nigdy nie googlujcie leków,

ponieważ piszą o nich wyłącznie świry. »Ośleplam. To zabiło mojego męża. Kiedyś sflułkałam w toalecie całe opakowanie clonazepamu, bo tak przeraziły mnie rzeczy, które na jego temat wyczytałam” – przestrzega Dunham.

I choć nie traci humoru ani dystansu do samej siebie, udało się jej uniknąć karykaturalnych skrótów perspektywicznych przy ukazywaniu choroby. Pisarka nie uszlachetnia, nie estetyzuje ani nie ubarwia kwestii związanych z nerwicą swojej bohaterki. Zmusza nas do przyjęcia tej choroby z całym jej bagażem i bez cienia pociechy w postaci rzekomego komizmu. To prawdziwy przełom w portretowaniu tego rodzaju zaburzeń. Może, podobnie jak ostatnia powieść Jeffreya Eugenidesa „Intryga małżeńska” oraz film „Poradnik pozytywnego myślenia” Davida O. Russella z oscarową rolą Jennifer Lawrence, które traktują z kolei o chorobie afektywnej dwubiegunowej, zwanej popularnie bipolarem, „Dziewczyny” przyczynią się do zwiększenia świadomości związanej z zaburzeniami psychicznymi i stygmatyzacją osób nią dotkniętych. To dużo więcej, niż można oczekiwać od serialu komediowego, choć jak zawsze lekko przekorna Dunham pisze na Twitterze: „Jeśli tylko zdołam przekonać choć jedną osobę, by nie używała patyczków do uszu, to mogę umrzeć spełniona”.



Jeśli myślisz, że DJ STOW 50 to seria składanek z muzyką klubową...

Dałeś się „złapać”? Nie szkodzi!

Czytając dziennik „Parkiet” posiadasz fachową wiedzę, która pozwoli Ci mądrze inwestować w przyszłości. Zrozumiesz, że gry giełdowej można się nauczyć, trzeba tylko korzystać z profesjonalnych narzędzi.

Znajdziesz w nim:

- ▲ sprawdzone newsy z rynku kapitałowego, walutowego i surowcowego
- ▲ analizę spółek, trendów i wydarzeń rynkowych
- ▲ rzetelne rekomendacje dla inwestorów
- ▲ akademię inwestowania dla początkujących





GADŻETY

Skaner dla niewidomych

Wygląda jak biały smartfon. Ale zamiast ekranu ma matrycę z wypustkami prezentującymi tekst alfabetem Braille'a. Urządzenie Blind Reader opracowane przez Jia Mengyina i Haimo Bao to przenośny skaner, który przerabia dowolny wydrukowany tekst na postać zrozumiałą dla niewidomych. To oznacza, że nie będzie już konieczne tworzenie specjalnych publikacji – wyposażone w taki skaner osoby niewidzące lub niedowidzące będą w stanie przeczytać dowolną książkę czy gazetę. Blind Reader to niestety na razie tylko projekt, jednak dostępna już teraz technologia umożliwia jego skonstruowanie – twierdzą autorzy. → peka

SZTUKA

Drobnym druczkiem

Uważnie czytać powinniśmy nie tylko umowy ubezpieczeniowe. Okazuje się, że to, co najważniejsze, zapisane jest drobnym drukiem również w Metropolitan Museum of Art. Mniej wnikliwi goście Met często nie zauważali informacji, że 25 dolarów za wstęp jest kwotą rekomendowaną, a nie obowiązkową. Na ten trik dawali się nabierać głównie obcokrajowcy. Chwała im za to, że przez nieuwagę dofinansowywali kulturę wyższą, ale znaleźli się tacy, którzy uznali takie postępowanie za nieuczciwe i wystąpili przeciwko instytucji do sądu. – Muzeum powinno być otwarte dla każdego, niezależnie od sytuacji finansowej – powiedział cytowany przez Associated Press Arnold Weiss, adwokat reprezentujący nowojorczyka i dwóch Czechów. → eb



STAN HONDA/AFP

GALERIA

Dobra sztuka w sieci

Zaczął się od Warsaw Gallery Weekend – najlepsze warszawskie galerie zwały szyki i zorganizowały wydarzenie, w czasie którego otworzyły swoje podwoje dla zwiedzających do późnych godzin wieczornych. Dobrze promowana akcja spotkała się z dużym zainteresowaniem warszawiaków, a galerie – przekonane, że w grupie siła – zorganizowały również Salon Zimowy. Ideę łączenia tego, co najlepsze, podchwyciło specjalizujące się w projektach interaktywnych warszawskie studio Huncwot. Stworzyło Artvolver – wirtualny świat, w którym Warsaw Gallery Weekend może trwać bez końca. Portal prezentuje wyselekcjonowane przez specjalistów prace polskich artystów (Zbigniewa Libery, Basi Bańdy, Agaty Bogackiej, Maurycego Gomulickiego, grupy Twożywo i kilkunastu innych). W większości można je kupować w cenie od 500 do 10 000 zł, bezpośrednio w Internecie i w realu – w galerii. – Wprowadzamy sekcję VIP, czyli zestaw wielkoformatowych prac z wyższej półki cenowej, powyżej 30 000 zł, do której dostęp będą mieli wybrani klienci – zapowiada związana z serwisem ilustratorka Ola Osadzińska. W maju pokazuje Artvolver na targach Art Yard Sale. Wpisy o wydarzeniach ze świata sztuki zamieszcza w portalowym blogu Katarzyna Nalezińska, znana z tego, że w jej mieszkaniu powstała galeria o nazwie „Jak bezrobotna dziewczyna może sobie pozwolić na pracę sławnego artysty?”. – Moim zdaniem sztuka współczesna ma dzisiaj hermetyczny status, zamknięte grono odbiorców. Chcę udowodnić, że sztuka może działać na każdego, zmuszać do refleksji. Blog prawdopodobnie się rozrośnie, od niedawna swoje teksty umieszcza tam również historyk sztuki i krytyk Alek Hudzik – mówi blogerka. → eb

Nie jesteś jeszcze kolekcjonerem? Zajrzyj na www.artvolver.com

SIEĆ

Minuta z życia Internetu

Liczba urządzeń podłączonych do sieci zrównała się z populacją ludzi na Ziemi. Specjaliści Intela policzyli, że w ciągu jednej minuty przez Internet przepływa 639 800 GB danych. Co jeszcze dzieje się w sieci w ciągu 60 sekund?

wysyłamy
204 000 000
e-maili
–
przeglądamy
6 000 000
stron Facebooka
–
oglądamy
20 000 000
zdjęć na Flickr i dodajemy ok. 3 tys. nowych
–
w wyszukiwarce Google wpisujemy ponad
2 000 000
hasel
–
na YouTube'a wrzucamy
30 godzin wideo
–
przybywa
1300
nowych użytkowników urządzeń mobilnych
–
Amazon ma obrót na poziomie
83 000
dolarów
–
okradanych przez cyberwłamywaczy jest
20
osób

Wszystko to jednak nic – zapowiada Intel. W 2015 r. czeka nas prawdziwa internetowa eksplozja. Liczba urządzeń podłączonych do sieci dwukrotnie przekroczy populację ludzi. A żeby obejrzeć wszystkie filmy wideo przesyłane przez sieć w ciągu zaledwie sekundy, będziemy potrzebować... pięć lat. → peka



SIEĆ

Wybierz najlepszy serial

Świat mediów ekscytuje się sukcesem „House of Cards”, pierwszego wysokobudżetowego serialu w Internecie. Produkcja okazała się najbardziej zyskowna ze wszystkich inwestycji serwisu Netflix. Tymczasem Amazon przygotowuje odcinki pilotażowe dla 13 nowych seriali – siedmiu komediowych i sześciu dla dzieci. Są wśród nich „Zombieland” – według scenariusza

Rheta Reese'a i Paula Wernicka, podobnie jak film z 2009 r. – i „Oz Adventures”, w którym w podróż do bajkowej krainy udaje się Dot, córka Dorotki. Piloty będzie można obejrzeć za darmo w internetowym serwisie video on demand Amazon Instant Video i LOVE-FiLM UK. O tym, który serial zostanie wyświetlony w całości, zadecydują widzowie w głosowaniu. → eb

KAMPANIA

Cyborgów nie obsługujemy

Najpierw były zachwyty, teraz jest bunt. Google Glass, połączenie komputera i smartfona w formie okularów, budzą ogromne kontrowersje – umożliwiają bowiem filmowanie i robienie zdjęć bez wiedzy i pozwolenia fotografowanych osób. Mało tego – wszystko można w jednej chwili wysłać do Internetu i umieścić np. na Facebooku. Jeżeli dodamy do tego technologie rozpoznawania twarzy, okaże się, że nikt nie jest już anonimowy. Nie tylko w Internecie, ale również w świecie rzeczywistym.

„Ludzie będą podejmować decyzje, jak zachowywać się w prawdziwym świecie, na podstawie tego, co powie im Google” – piszą na swojej stronie internetowej. Przygotowali nawet specjalny symbol swojej akcji – znak „zakazu wjazdu” dla użytkowników Google Glass. Są już pierwsze realne efekty kampanii. Dave Meinert, właściciel restauracji 5 Point Cafe w Seattle, taki znak wywiesił i ogłosił, że nie zamierza tolerować nowego gadżetu w swoim lokalu. – Kto się nie zastосуje, dostanie kopa w d... – ostrzega. – Ludzie chcą tu posiedzieć i nie być rozpoznawani. A w szczególności nie chcą być filmowani ukrytą kamerą, a później odkryć, że to trafiło do Internetu. → peka



FILM

Tydzień z polskim kinem

„W imię...” Małgorzaty Szumowskiej, obraz wyróżniony na Berlinale Teddy Award nagrodą dla najlepszego filmu fabularnego poruszającego tematykę LGBT, otworzy film POLSKA w Berlinie. To już ósma edycja największego zagranicznego festiwalu polskiej sztuki filmowej. Wśród setki filmów, tych najnowszych i prezentowanych w retrospektywach, znalazły się też m.in.: „Pokłosie”, „Jesteś Bogiem”, „Bejbi blues” i „Dzień kobiet”. Z okazji 70. rocznicy powstania w getcie warszawskim pokazane zostaną związane z tym tematem filmy polskie, izraelskie i niemieckie. Swoją rolę będzie miała również rodzina Sobocińskich – wywodzącym się z niej operatorom poświęcona będzie KameraKunst. Do Berlina przyjadą Witold i Piotr Sobocińscy. → eb

film POLSKA 2013 w Berlinie, od 18 do 24 kwietnia



KONKURS

Prezerwatwa za milion dolarów

Prawie 800 mln ludzi na świecie używa prezerwatyw. Dla niektórych to jedyny dopuszczalny środek antykoncepcyjny, dla innych dodatkowe, bo skuteczne, zabezpieczenie przed chorobami wenerycznymi. Wciąż jednak dla setek tysięcy kochanek myśl o seksie z prezerwatywą jest zniechęcająca. Szczególnie dla mężczyzn. Być może zmieni to Fundacja Billa i Melindy Gatesów, która ogłosiła konkurs na prezerwatywę nowej generacji. Jedni z najbogatszych ludzi na świecie doszli do wniosku, że skoro zdrowotny aspekt gumek jest nie do przecenienia, powinien mu towarzyszyć także komfort użytkowania. Jaka więc powinna być prezerwatywa na miarę XXI w.? Jak czytamy w komunikacie Fundacji Gate-

sów, musi być zaprojektowana w taki sposób, by spotęgować przyjemność płynącą z jej zakładania – im mocniejsze doznania zagwarantuje, tym większa szansa, że mężczyźni zaczną po nią chętniej sięgać. Kobiety nie powinny czuć się poszkodowane – program zakłada możliwość zaprojektowania „sprzętu” także dla nich. Konkurs jest międzynarodowy i może w nim wziąć udział każdy. Zwycięzca otrzyma 100 tys. dolarów; dodatkowo na badania i wdrożenie najlepszego projektu do produkcji Gatesowie przeznaczą okrągły milion dolarów. Totalna przyjemność. → eb

Pomysły można wysyłać do 7 maja. Szczegółowe informacje na stronie fundacji www.grandchallenges.org

TECHNOLOGIE

Samsung kontra reszta świata



Koreańczycy grożą, że porzucą popularnego Androida firmy Google, dzięki któremu ich smartfony i tablety odniosły rynkowy sukces. Pracują nad systemem operacyjnym o nazwie Tizen, a pierwsze urządzenia wyposażone w nowe oprogramowanie mogą się pojawić na rynku w drugiej połowie tego roku. Tizen uniezależniłby Samsunga od Google'a (ok. 70 proc. smartfonów na świecie działa właśnie z Androidem), na czym zależy nie tylko samym Koreańczykom, ale również operatorom sieci komórkowych, którzy z niepokojem patrzą na rosnącą siłę internetowego giganta. Pierwsze sygnały „walki” już są. Podczas niedawnej premiery flagowego Samsunga Galaxy S4 słowo Android nie padło ani razu. Programiści tak przygotowali system, aby użytkownik chętniej korzystał z usług dostarczanych przez Samsunga niż z tych świadczonych przez Google'a. Zapowiadany smartfon z systemem Tizen ma być zaś najlepiej wyposażonym urządzeniem dostępnym na rynku. Koreańczycy nieoficjalnie informują też o pracach nad własnym odpowiednikiem „okularów” Google Glass. Chcą również sprzedawać „smartzegarki” będące konkurencją dla zapowiadanego nowego urządzenia Apple'a. → peka

ANGELO CAVALLI/AFP

Jakub Żulczyk

Kazikowi z okazji urodzin



JAKUB OSTALOWSKI

Kazik nazwał mi w głowie po imieniu wiele rzeczy związanych z byciem Polakiem. To on narysował prawdę o tym kraju, w którym jest tak brzydko, że pękają oczy, a każda wiosna jest wasza, nie nasza.

Nie pamiętam, abym ostatnimi laty jako publicysta szydził z kogoś bardziej, niż z Kazika. Z lidera Kultu wielokrotnie darłem łacha tak bardzo, że gdy pewnego razu przypadkowo natknąłem się na niego na basenie Warszawianka, lekko zakłopotany zmieniłem tor. Przez kilka ostatnich lat mojego ubliżania kulturze polskiej, z uporem godnym lepszej sprawy wytykałem Staszewskiemu mentalną starość, rzępoloną estetykę nagrywanych zarówno z Kultem, jak i solowo płyt, z roku na rok coraz bardziej świadome adresowanie swoich słów do studenckiej publiki.

Kazik miał ostatnio urodziny. Pięćdziesiąte. Napisałem na Facebooku, że szczerze zdziwił mnie fakt, że autor „12 groszy” kończy dopiero tyle. Przez ostatnie lata Kazik sprawiał wrażenie człowieka, który z trudem memia w ustach kilka zupełnie znoszonych życiowych prawd, który ugina się pod ciężarem zarówno swojego wypalenia, który najchętniej zabarykadowałby się w swojej mitycznej hiszpańskiej nieruchomości i rzucił w diabły całą tę muzykę, gdyby nie tak smutna u polskich gwiazd rocka nieustająca konieczność dorobienia paru złotych. Swoją drogą jestem pewien, że wszystkie Lady Panki i T. Love tej ziemi już dawno odpuściłyby sobie doroczne trasy koncertowe po Świętach Miast i Dniach Bulwy, gdyby nie smutna prawda – w Polsce nawet największe gwiazdy nie są w stanie zarobić na muzyce tyle, aby w pewnym wieku spokojnie sobie odpuścić.

Wracając do Kazika. Zacząłem się ostatnio zastanawiać, dlaczego akurat on. Dlaczego nawet nie postaci typu Anna Mucha nie powodowały u mnie takiego bólu zębów, jak fakt ukazania się kolejnej z jego nowych płyt (w których, swoją drogą, z powodu nadmiaru, zupełnie straciłem rachubę). Dlaczego oglądając w telewizji koncert „Unplugged” Kultu miałem dojmujące wrażenie smutku, uczucie gapienia się na coś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. Dlaczego Kazik, który poza artystycznym obniżeniem lotów, tak naprawdę nigdy się nie sprzedał, nigdy nie wykonał żadnej paskudnej wolty, czy to politycznej, czy też komercyjnej, który jest człowiekiem bez wątplenia szlachetnym i powściągliwym, wzbudzał we mnie więcej negatywnych emocji, niż w wielbicielach „Potopu” Olbrychski jedzący pasztet z Biedry na spółę z Maciusiem z „Klanu”?

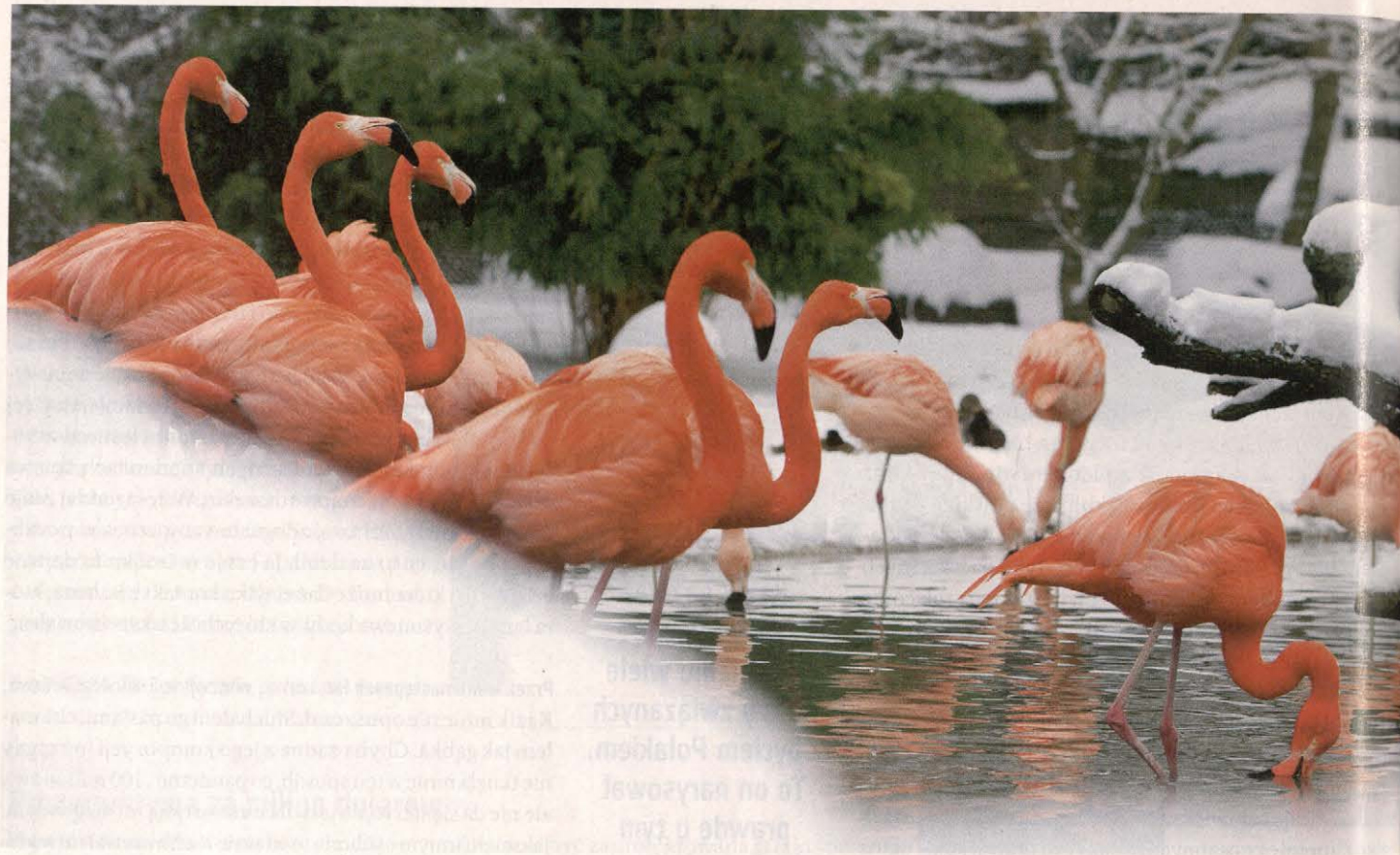
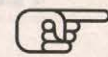
Aby znaleźć odpowiedź na pytanie, musiałbym cofnąć się w daleką przeszłość. Mam jakieś dziewięć lat, jestem wychowany w mocno antykomunistycznej rodzinie, stojącej murem za Wąsatym. Oglądałem z rodzicami festiwal w Sopocie. Młody koleś w śmiesznych spodenkach śpiewa do zastępującej mikrofon suszarki: „Wałęsa, oddaj moje sto milionów”. Mój tato, zde gustowany, rzuca w powietrze pytanie, co to za debil. Ja czuję w środku to dziwne laskotanie, które może dać ci tylko kontakt z kulturą, która łamie i wyśmiewa kody, w których się ukształtowałeś.

Przez wiele następnych lat, mniej więcej do połowy liceum, Kazik mnie nie opuszczał. Słuchałem go pasjami, chłonałem jak gąbka. Chyba żadna z jego kompozycji już nigdy nie tknęła mnie w ten sposób, co pamiętne „100 milionów”, ale nie da się ukryć, że jest dla mnie artystą formatywnym. Jak wielu innym osobom, to właśnie Kazik nazwał mi w głowie po imieniu wiele rzeczy związanych z byciem Polakiem. To on narysował prawdę o tym kraju, w którym jest tak brzydko, że pękają oczy, w którym umowa jest głównie warta, a każda wiosna jest wasza, nie nasza. Kazik kwestionował, obśmiewał i pluł, wykorzystywał swoją pozycję mainstreamowego muzyka do tego, aby mówić i robić rzeczy potencjalnie niedopuszczalne. Jak Englert machający kwiatami na pochodzie pierwszomajowym w teledysku do „Wszyscy artyści to prostytutki”. Jak wykonana wiele lat temu na koncercie dla TVP piosenka „Nie ma litości dla skurwysynów”.

Kazik zdziałał, trudno; ja dogryzałem mu przez tyle lat, bo nie da się ukryć, czułem się po eichelbergerowsku zdradzony przez ojca. Że dzieje się z nim coś nie tak, wy-czułem już z 15 lat temu, gdy nagrał dziwnie prostacką jak na siebie piosenkę „Pierdołę Pera”. Gdy byłem na studiach, był już dla mnie nieczynnym dinozaurem. No ale z drugiej strony to mój problem, a nie Kazika.

Prawda jest jedna – Kazik Staszewski może nagrać jeszcze 50 płyt z łzawym, starczym pierdzeniem dla swojej hardcore'owej publiki z Juwenaliów. Nie da się jednak ukryć, że przez jakiś czas był jednak najważniejszym i najsensowniejszym artystą muzycznym w Polsce. Nikt mu tego nie zabierze. Ja już nie będę, panie Kaziku. Spóźnione, ale szczerze: wszystkiego najlepszego z okazji 50. urodzin. →

Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynię” (2011). U nas pisze o kulturze i show-biznesie.



ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Upierzeni oszuści i wieczne dziewice

– Potrafią kłamać, oddawać się orgietkom, a nawet korzystać z samochodów. Ptaki uczą się od nas nieustannie, ale i my powinniśmy uczyć się od nich. Choćby pogody ducha, bo ich życie to raj na ziemi – przekonuje ornitolog Andrzej Kruszewicz.

Jak powinno się obchodzić Międzynarodowy Dzień Ptaków?

Najlepiej od rana do wieczora. A nawet i w nocy. Na ptaki można liczyć zawsze.

Nawet kiedy wiosną jest zima?

Dla puszczyków wiosna zaczęła się już w noc sylwestrową. Dziś ich pisklaki mają ponad dwa miesiące. Puchacz

już dawno siedzą na gniazdach, bieliki i kruki właśnie je budują. To ludzie zaznaczyli w kalendarzu, kiedy zaczyna się wiosna. Ptaki mają to gdzieś, bo wiedzą lepiej. Zaczęły wyścig...

Kto pierwszy, ten lepszy?

Tylko pierwszy, panowie, tylko pierwszy. Reszta się nie liczy. Każda wiosna to nowe

rozdanie kart. Bocianie gniazda są puste i czekają na swoje rodziny. To miejsca budowane przez pokolenia, więc jeżeli samiec zdąży na czas, to zna już okoliczne żerowiska i zagrożenia. Poza tym w gnieździe czekają zeszłoroczne pchły, a jak wiadomo, własne pchły gryzą trochę lżej. Gdyby jeszcze w gnieździe pojawiła się zeszłoroczna samica, to od razu

można przejść do rzeczy, a nie bawić się w czasochłonne gry wstępne, jakieś wulgury w tańcu i sapanie do ucha.

A gdyby się tak nie spieszyć i trochę wyluzować?

Gdyby bocian zamiast prokreacją zajął się celebrowaniem wiosny, za późno przystąpiłby do lęgu. Pod koniec sierpnia małe bociany byłyby za małe i niezdolne do odlotu. A przed nimi kawał drogi. Nie można tracić czasu na pierdoły.

Jerzyki na pewno nie tracą. Zasuwiają ponad 130 km/h.

I lecą non stop. Dzień i noc. Jeżeli przeskadza im deszcz w Warszawie, to lecą na obiad do Monachium (śmiech). W powietrzu zdobywają pokarm, piją wodę, załatwiają się, na wysokości 3 tys. metrów ucinają sobie drzemki, a nawet kopulują.

To ostatnie zainteresowało nas szczególnie. Spróbujcie więc poharcować z waszymi partnerkami w hamaku na stojąco.

Tutaj niewinne, na co dzień skłonne do wyskoków. Andrzej Kruszewicz twierdzi, że flamingi stymuluje tylko gruppen sex.

Gwarantuję podobne wrażenia... Ptaki w ogóle mają bogatsze życie erotyczne od nas. Niektóre potrzebują naprawdę zaskakujących stymulacji. Niedawno wybudowaliśmy naszym flamingom specjalny kopulodrom...

Przepraszamy, co takiego?

Kopulodrom. Ocieplane lampami pomieszczenie wyłożone dookoła lustrami. Dzięki zwróconym do siebie lustram ptakom wydaje się, że są w wielkim stadzie. Wtedy chętniej kopulują. Każdy z nas może sobie zbudować kopulodrom w domu (śmiech). Flamingi stymuluje tylko masowy gruppen sex. To zdecydowani liderzy w klasyfikacji „swingers”. Ich zabawy to wielkie orgietki.

Kto jest największym ptasim macho?

Pawie, bażanty i ptaki rajske, czyli cudowronki. Ale chyba szczytem machismo wśród ptaków poligamicznych, u których samce są większe, piękniejsze i bardziej ekstrawaganckie, są pawie. Z badań wynika, że jurny samiec potrafi zmonopolizować 95 proc. samic w okolicy. To liczba nieosiągalna dla żadnego mężczyzny. Rozpościerając swój tren, paw pokazuje, jaki jest męski, a samica otoczona czymś takim szybko sprawdza, czy koleś się do czegoś nadaje, licząc oczka na jego ogonie. Im więcej, tym bardziej macho (śmiech). Pawie potrafią mieć nawet 150 takich oczek. A przecież tren jest niewygodny i de facto niepotrzebny. U ludzi czymś podobnym jest nowoczesny kabriolet z niskim zawieszeniem i wypasionymi głośnikami. Czyli auto, które do niczego się nie nadaje i służy tylko do jednego celu.

Paw na oko wydaje się mało męski.

Zgoda. Dla nas to kogut jest o wiele bardziej macho. Nie musi jeździć kabrioletem, bo pieje, ma zawsze stojący czerwony grzebień, do tego jędrne dzwonki, korale – po prostu bucha z niego prawdziwy facet. Dobra gospodyni wie, który kogut jest najlepszy, to jak mają tego nie wiedzieć kury...

Monogamiści mają nudniej?

Oczywiście, bo monogamia u ptaków to monotonia. Wśród gatunków monogamicznych samice nie różnią się za bardzo od samców. Szaro, buro i ponuro.

I nikt nie próbuje działać na boku?

Pamiętajmy, że samice stawiają na jakość potomstwa, a samce na ilość. Dlatego panie często wiążą się z miłymi przyjaciółmi-pantoflarzami, ale kombinują, żeby ojcem ich dzieci był najlepszy samiec w okolicy, czyli jakiś ptasi ogier. W biologii nazywa się to EPC, czyli Extra Pair Copulation. Mało kto to widział, ale wszyscy wiedzą, że istnieje. Podobnie jak u ludzi (śmiech). To piekielnie skuteczna strategia. Zdarza się nawet, że samica zostawia swojego pantoflarza i zostaje drugą albo trzecią żoną dominującego osobnika. Przekładając to na układy ludzkie – lepiej wychowuje się dzieci, będąc czwartą żoną szejka niż pierwszą żoną biedaka.

Mężowie też kombinują?

Oczywiście. Samce muchołówek bardzo pilnują swoich kobiet na etapie składania jaj. Ale jak już biedna dziewczyna wysiaduje jajeczka, samiec zaczyna się niespokojnie kręcić po okolicy. Potrafi polecieć nawet 500 metrów dalej, by zacząć wrywać kolejną samiczkę. Mało tego, zaczyna inaczej śpiewać, tylko po to, żeby jego „żona” go nie poznała! Niezły z niego manipulant. To bardzo ludzkie... Nawet u batalionów, które tokują grupowo, można odnaleźć podobieństwa do naszych zachowań. W czasie takiej godowej dyskoteki całe towarzystwo skacze jak szalone, podryguje, a nawet się przewraca. Nie widać w tym żadnej prawidłowości. Okazuje się jednak, że decyduje kolor. Superatrakcyjne kolorystycznie samce mają kumpli-satelitów, którzy korzystają na tej znajomości, zdobywając samice zainteresowane samcem alfa. Przecież wiadomo, że alfa nie zaspokoi wszystkich.

To strategia dobrze znana homo sapiens (śmiech).

Czy zawsze o względy samicy stara się samiec?

Nie zawsze. Nieprzypadkowo wyjątki zdarzają się na dalekiej północy, gdzie warunki życia są bardzo ciężkie. Samice płatkonogów i morneli – bardziej kolorowe i większe od samców – składają jaja, ale ich wysiadywaniem zajmuje się facet, który potem wodzi pisklęta. Prawdziwa poliandria. Samica ma dzięki temu sporo czasu, wolne łapy i może polować na kolejnego samca.

Przynajmniej nie zjada swojego narzeczonego jak samica krogulca. To chyba najwyższa forma ptasiego feminizmu.

To bezwzględność natury. Samica siada na gnieździe, zanim złoży pierwsze jajo. Zaczyna gubić puch i z dnia na dzień jest słabsza. Zadaniem samca jest dostarczanie pożywienia. Jej zdrowie, kondycja i liczba złożonych jaj zależą tylko i wyłącznie od pokarmu. To pierwszy sprawdzian dla samca. Jeżeli chłopak się nie nadaje, samica decyduje, że nie ma co brnąć dalej w taki związek, bo jest on dla niej niebezpieczny. Wabi go, zaprasza na kolację i... chaps. Paryte ty są jej niepotrzebne.

Czy można znaleźć wśród ptaków przyzwoitki lub „wieczne dziewice”?

Albatrosy dojrzewają bardzo późno: po sześciu, a nawet ośmiu latach. Podobnie kondory. Wiele przechodzi więc przez życie, nie doczekując się toków. Bywa, że dzieci z pierwszego lęgu pomagają wychować dzieci z drugiego lęgu rodziców i czekają, aż się zwolni pozycja. Ciekawym przykładem matriarchatu są papugi barwnice wielkie z Nowej Gwincei. Samica ma dziuplę, przy której może przesiadywać nawet do 11 samców. Kryje tylko jeden, ten pierwszy. Pozostali to jej synowie. Dopiero kiedy matka umiera, ten układ się rozsypuje. Kawalerowie dopiero wtedy mają szansę na zapoznanie partnerki. Jak to się do końca odbywa, nie wiemy. To gatunek bardzo trudny do zbadania. Mamy w zoo taką grupę i synowie faktycznie wspierają matkę w rozmnażaniu.



ANDRZEJ SIDORFORUM

niu się: karmią ją i opiekują się. W ogóle u barwnic rodzi się pięć razy więcej samców. Nie wszystkie mają więc szansę na przekazanie genów.

Adam Wajrak powiedział nam kiedyś, że dla niego najbardziej seksownym ptakiem jest sóweczka – wielkooka, drapieżna, obrotna i niezbyt rozgarnięta.

Coś w tym jest. Kiedyś wybroniłem się z przekroczenia terminu oddania książki, mówiąc prezesowi wydawnictwa, że muszę lecieć do Norwegii badać włośchatki. „Włośchatki, pan mówi? Pięknie brzmi. Proszę jechać...” (śmiech). Tak więc dla mnie najseksowniejsze będą już zawsze sowy włośchatki.

Dlaczego ludziom „ptaszek” kojarzy się z jednym?

Cieżko powiedzieć. Może dlatego, że wystaje z rozporka, jak ptaszek z dziupli. Ciekawe, że to porównanie funkcjonuje w wielu językach. Lingwiści zdecydowanie powinni zbadać sprawę (śmiech).

Czy istnieje wśród ptaków prostytucja?

Jest nagminna. Z reguły walutą jest pokarm. Najczęściej prostytuują się rybitwy. Samczyk karmi swoją samiczkę, ta ucina sobie drzemkę, a po paru minutach można zobaczyć tego samego samczyka z rybką w dziobie. Oczywiście nie jest głodny, ale zawsze znajdzie

dziewczynę, która ma ochotę przechandlować siebie w zamian za smaczny kąsek. U pingwinów dzieje się to za kamyczki, które są potrzebne do budowania kopców.

Gwałty?

Zdarzają się. Nawet międzygatunkowe z udziałem cietrzewi, bażantów i głuszców. Hybrydy są nieplodne i z reguły większe. Ale to nic. Zdarzył się też kiedyś gwałt ptaka na ssaku...

Zaczynamy się bać.

W hali wolnych lotów mieliśmy samca wilgi. Był ze mną bardzo zaprzyjaźniony. Tak bardzo, że często podlatywał do mojej ręki i ją gwałcił. Zostawiał na niej swoje nasionka. Panowie, głupio mi o tym mówić, ale jestem prawdziwą ofiarą gwałtu.

Brzmi to jak prima aprilis. Á propos...

Ptaki kłamią?

Kłamstwo jest w przyrodzie powszechne i ma związek z inteligencją. Oczywiście człowiek jest tutaj niedoścignionym mistrzem. Ale im zwierzę bardziej inteligentne, tym większą ma skłonność do łgarstw. Kiedy kawka pobije drugą kawkę, ta pobita zaczyna wrzeszczeć. Wszczyna alarm i czeka na posiłki. Jak już wszystkie kawki się zlecą, ta, co biła, też zaczyna wrzeszczeć. I nie wiadomo, kto komu spuścił łomot.

Ptasia miłość po polsku. Po lewej: miłosna gimnastyka bocianów. Po prawej: Perkozy zauszniki w akcji.



RENATA I MAREK KOSINSKYFORUM

Krukowate potrafią zaskoczyć inteligencją.

I to bardzo. Prym wiodą nasze wrony siwe. Szybko się nauczyły, jak sobie radzić z orzechami. Najpierw zrzucały je z wysokości, aby popękały. Potem wyczały, gdzie zapasy orzechów trzymają wiewiórki, i je im nagminnie podkradają. A ostatnio zauważyliśmy nowy sposób na rozłupywanie – czeskają na czerwone światła i szybko podkładają orzechy pod koła samochodów.auta ruszają, orzechy są elegancko rozgniatane, a potem zjadane. Wrony zrobiły z samochodu dziadka do orzechów.

Czy ptaki mają swoje używki, tak jak my?

Nie, ale są ptaki trujące. Specjalnie spożywają toksyczne substancje, aby ich upierzenie było niebezpieczne dla pasożytów i drapieżników. Jeden z nich nazywa się wdzięcznie pitohui. To bardzo jadowity ptaszek żyjący w Nowej Gwincei. Dużą skłonność do alkoholu wykazują za to niektóre ssaki. I to nie tylko naczelnice. Uzależnienia notowane są wśród świniowatych. W puszczech, w których zlokalizowane są nielegalne bimbrownie, regularnie spotyka się pijane dziki.

Wracając do ptaków... Załóżmy, że pewnego dnia wszystkie nagle urosną i nawet koliber będzie wielkości człowieka. Który z ptaków byłby największym zabiwcą?

Najbardziej niebezpieczne dla nas mogłyby okazać się kury. Kurowate to jedno z niewielu ptaków, które mają bardzo uniwersalną strategię polowania. Potrafią zabijać i małe, i całkiem duże zwierzęta. Kogut byłby zabójcą doskonałym: dziób, pazury, a do tego jądra wielkości małego wiadra. Kto wie, być może i piękne sikoreczki pokazałyby, co potrafią. To okrutne, bezlitosne drapieżniki. Potrafią wydłubać mózgi innym ptaszkom, które są na przykład uwikłane w sieciach ornitologicznych. Gołębie też nie kojarzą się ludziom z okrucieństwem, tymczasem to wyjątkowi ptasi przestępcy.

Lepiej chyba nie wiedzieć wszystkiego o ptakach i żyć w pełnej nieświadomości.

O ludziach też lepiej wszystkiego nie wiedzieć (śmiech).

Ale wypada wiedzieć, że ptaki to dinozaury.

Oczywiście. Jednoznacznie wykazały to różne badania. Z całą pewnością ptaki mają za sobą o wiele milionów lat ewolucji więcej od nas. Ich przystosowanie do życia w różnych środowiskach oraz zdolności regeneracyjne są obłędne. Możemy o tym tylko pomarzyć. A wciąż pozostaje wiele tajemnic do odkrycia. Budowa kości, jakość mięśni, wydolność – tego wszystkiego możemy ptakom zazdrościć.

Czego jeszcze?

Pogody ducha. Lubię sobie wyobrażać ich życie jako raj na ziemi. Jeśli ptak jest w środowisku, w którym stworzyła go ewolucja, to właściwie cały dzień sobie dogadza. Wykapie się rano w rosie, wyczyści piórka, poje trochę owoców. Natura stworzyła go do przyjemności. Wszystkie ptaki są szczęśliwe i wesołe. Cieszą się z rzeczy drobnych. Ptaki żyją chwilą i tego warto się od nich uczyć. Oczywiście miewają depresję, ale tylko wtedy, kiedy człowiek niszczy ich środowisko.

A czego ptaki uczą się od ludzi?

Gołębie pocztowe potrafią latać wzdłuż autostrad. Obierają azymut, a następnie trzymają się nitki asfaltu. Nawet zakręcają razem z autostradami. Przypuszczają się, że dzięki takim umiejętnościom łatwiej im się nawiguje.

W czym jesteśmy podobni do ptaków?

Tak jak one jesteśmy wrokowcami. I najważniejsze są dla nas kolory. Bywamy też bardzo czuli na język ciała. O dziwo, jesteśmy dość podobni, dlatego łatwo nam interpretować zachowania ptaków. O wiele łatwiej niż wielu ssaków. Moim zdaniem ludzie rodzą się z zainteresowaniem do poznawania ptaków. Możemy się w nich przeglądać niczym w lustrze.

Który ptak jest najbardziej podobny do człowieka?

Różne ptaki przypominają różnych ludzi. Mam sporo znajomych, których dla zabawy porównuję z ptakami. Proszę mi wierzyć – udaje się to wyśmienicie. Czasem łatwiej dopasować charakter, innym razem wygląd. Do każdego człowieka można dopasować odrębny gatunek ptaka.

Na kogo panu wyglądamy?

Za słabo panów znam i mam wątpliwość, do jakich ptaszków porównać...

A jaki gatunek odnajduje pan w sobie?

Są dni, że czuję się orłem. ☺



DAREK GÓLIK

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

(rocznik 1959) jest ornitologiem, pisarzem, podróżnikiem. Od 2009 r. szefuje warszawskiemu zoo. Ma na koncie 16 książek poświęconych ptakom.

Bartosiak & Klinke – Wywiadowcy.pl.

ANNA SAŃCZUK

Powolutku. Czas na slow biznes

Skoro jemy już slow food i staramy się prowadzić slow life, to może warto się zastanowić nad tym, czy da się w tym samym powściągliwym duchu prowadzić interesy. I choć o biznesie zwykło się mówić językiem wojennym, nieustanną ekspansję uznając za jedyny obowiązujący model, zdarzają się mali „gracze”, którzy świadomie łamią tę konwencję – **odmawiają udziału w nieustannym wyścigu**, poprzestają na małej skali i... odnoszą sukces.

Zimny marcowy dzień na podkrakowskiej wsi. Sławomir Piwowarczyk robi kawę i patrzy na oszronione łąki za oknem. Przez ostatnie godziny machał łopatą i mieszał beton, remontując kamienną owczarnię stojącą przy XIX-wiecznej chałupie, którą odziedziczył po przodkach (tę już własnoręcznie wyremontował).

– Szykuję miejsce, do którego przeniosę mój zakład. Będzie tu studio projektowe i produkcyjne, a w ogródku będziemy hodować warzywa. To ma być praca, do której chodzi się z przyjemnością – tak Piwowarczyk opowiada o kolejnym etapie w życiu swoim i swojej firmy, założonej w 2001 r. Absolwent krakowskiej ASP jest twórcą marki GUCIO, pod którą produkuje dziecięce buciki z charakterystyczną żółtą podeszwą,

robiące furorę na całym świecie. Noszą je m.in. dzieci Angeliny Jolie i Brada Pitta, a także niejaka Apple Martin, córka Gwyneth Paltrow i lidera Coldplay, Chrisa Martina. Sukces, nie tylko wśród światowych celebrytów, ale i zwykłych rodziców Piwowarczyk zawdzięcza sobie oraz grupie sprawdzonych współpracowników – od lat dla GUCIA pracuje jedynie siedem osób, w tym właściciel i jego żona. Konsekwentnie odmawia doradcom finansowym czy inwestorom przekonującym, że firma powinna się rozrastać. – Nie wchodzimy w spółki, układy, bo to zmuszałoby nas do niechcianych kompromisów. Działamy według swoich nienaruszalnych zasad i to procentuje, ludzie do nas wracają – przekonuje. Piwowarczyk niezego nie robi zgodnie z obowiązującymi trendami, a jednak mu się udaje. Projektanci na całym świecie wprowadzają co sezon nową kolekcję? On od początku robi jeden przemyślany model buta w kilku wariantach. Inni zatrudniają tabun speców od marketingu? W firmie GUCIO ta działka należy do właściciela i jego żony, w reklamę właściwie nie inwestują, bo i bez tego ledwo nadążają z realizacją zamówień. Nie mówiąc o tym, że w ich przypadku najlepiej sprawdza się

poczta pantoflowa, bo to zadowoleni rodzice wzajemnie sobie polecają superbuty dla dzieci. I chociaż GUCIO ma kontakty z dystrybutorami na całym świecie, to i tak główny nacisk kładzie na własną sprzedaż internetową, bo ta dociera i do małego miasteczka, i do metropolii po drugiej stronie globu.

Rodzinna firma

Ten dobrze naoliwiony siemioosobowy mechanizm produkuje miesięcznie 700 par butów z ręcznie barwionej skóry, które w znakomitej większości trafiają na eksport. Właściciel nie miał nigdy pokusy zwiększenia produkcji, bo uważa, że ludzka skala jego firmy jest wartością nie do przecenienia, pozwala zachować rodzinny klimat w pracy i mieć kontrolę nad każdym etapem produkcji. Jak sam mówi, większa firma to większe zyski, ale też więcej pracy i stresu, a mniej czasu na życie: – Dlatego nie chcę na siłę tego biznesu rozdymać – pracuję z rodziną, na głowę mi się nie leje, mam co jeść, robię, co lubię, i to mi całkowicie wystarcza.

Jest więcej ludzi, którzy podpisaliby się pod tym, co mówi pomysłodawca GUCIA. I choć nie wszyscy mają tak jasno sprecyzowaną filozofię sprzeciwu

wobec oszalałego tempa współczesnego biznesu, to wielu intuicyjnie wybiera działanie w małej skali. Owszem, chcą się ze swojego biznesu utrzymać, ale jednocześnie mieć kontrolę nad własnym życiem i firmą, poczucie, że robią coś z pasją, nie kierując się wyłącznie chęcią zysku. Taką motywację mieli Rafał Duszyński i Ania Łuczywek, którzy od 2008 r. pod nazwą MLECZNA DROGA produkują ekologiczne sery zagrodowe i pozbawione chemicznych dodatków jogurty (kto ich raz spróbował, nie chce już jeść tych ze sklepu). Tak też o swoim biznesie myśli Izabela

Sojka, założycielka manufaktury PURPURA, która odkurzyła i przywróciła współczesności starą metodę wytwarzania ozdobnych kafli z cementu, wypartą jeszcze przed wojną przez masową produkcję przemysłową.

Bo praca ma sens

Iza zajęła się kafkami z miłości do dawnego rzemiosła i ze świadomością, że nie jest w stanie pracować w korporacji, musi więc znaleźć bardziej twórcze zajęcie, w którym coś będzie zależało od niej samej. – Mój biznes to manufaktura, żmudna, ręczna robota i z samej

Rafał Duszyński i Ania Łuczywek założyli MLECZNA DROGĘ w 2008 roku. Na kupno ziemi zarabiali kelnerowaniem w Anglii, a doświadczenie rolnicze zdobywali na ekologicznej farmie w Prowansji.

swej natury skazany jest na małą skalę. Bardzo ważne jest też to, że założyłam go w Krzykosach koło Płocka, gdzie kupiliśmy z mężem zrujnowany dworek – mówi Iza. I dodaje: – To miejsce opuszczone przez Boga i ludzi, gdzie jest duże bezrobocie, a ja mogę dać lokalnym mieszkańcom godziwą pracę. W tej chwili mam cztery osoby na stałe i jednego pracownika dorywczo. Ponieważ działamy w małym zespole, tworzy się między nami swoista więź. Do tej pracy nie każdy się nadaje – trzeba mieć zamiłowanie, cierpliwość, tu się nie da na skróty.



Niewielka skala firmy pozwala zachować rodzinny klimat w pracy, a także utrzymać właścicielom kontrolę nad każdym etapem produkcji. Większa firma to większe zyski, ale też więcej pracy i stresu, a mniej czasu na życie.

Ania i Rafał z MLECZNEJ DROGI, kiedy 10 lat temu porzucili warszawskie kariery, on – w kancelarii adwokackiej, ona – jako menedżer stołecznych restauracji, też chcieli znaleźć pracę, która da im satysfakcję i sens. – Chciałem opuścić miasto, żyć trochę inaczej – mówi Rafał – nie wpaść w przewidywalne koleiny kariery prawniczej, braku czasu dla rodziny, dzieci. Widziałem, jak moi starsi koledzy mecenasi miotają się, siedzą w pracy od 9 do 21, a rodzinę widują w weekendy. Po kilku latach zbierania rolniczych doświadczeń na ekologicznych farmach, osiedli pod Kazimierzem z dwójką dzieci i dziewięcioma krowami. Robota bywa męcząca, wymaga dyscypliny – bez względu na wszystko dojenie musi się odbyć dwa razy dziennie, czasem doskwiera brak towarzystwa czy łatwego dostępu do kultury, ale wolności, którą mają, i poczucia satysfakcji za nic by już nie oddali. Dziś mają rosnące grono odbiorców, ich mleczne przetwory można znaleźć w stołecznych restauracjach i na ekotargach. Jak tłumaczy Rafał: – To nigdy nie był pomysł na robienie wielkich pieniędzy, tylko na robienie czegoś sensownego i utrzymywanie się z tego. Sam jestem w szoku, że to się nam udało.

Sila determinacji

Dotarcie do momentu, w którym można tak powiedzieć, wymaga czasu i determinacji. – To był wieloetapowy plan, dochodziliśmy do tego pięć lat – mówi o swojej drodze do sukcesu Rafał Duszyński. Sławomir Piwowarczyk wspomina z kolei, jak zaraz po studiach z żoną anglistką klepali biedę. Podjęta z konieczności praca w obuwniczym zakładzie wujka okazała się jednak początkiem zainteresowania projektowaniem obuwi. Prototypowy model dziecięcego bucika „na pierwsze chodzenie” pan Sławek stworzył w 1997 r. z myślą o własnym potomstwie (ma troje dzieci), kolejne na prośbę dzieciątych przyjaciół. – Nie mieliśmy za co wynająć pomieszczenia, więc zakład produkcyjny był u nas w mieszkaniu. Maszyna do szycia w kuchni, formownica w przedpo-



koju, szlifierka w ubikacji. Dzieci szły do szkoły, a my wyciągaliśmy cały majdan i robiliśmy buty – wspomina.

Dla Rafała ważną, napędzającą do całkowitej zmiany życia inspiracją była fascynacja antropozofią (szkoła duchowa i model funkcjonowania społecznego stworzony przez austriackiego filozofa Rudolfa Steinera), która stopniowo doprowadziła go do idei rolnictwa biodynamicznego. Kiedy porzucił posadę prawnika, przez rok studiował w steinrowskim ośrodku pod Bazyleą. Potem z Anią zarabiali na kupno ziemi kelnerowaniem w Anglii, zdobywali rolnicze doświadczenie na ekologicznej farmie w Prowansji oraz w biodynamicznym gospodarstwie w Sussex. W drodze do własnego gospodarstwa „przejedli” dwa mieszkania w Warszawie, zdarzały się małe katastrofy (zimną zamarzła prowizoryczna przetwornia i sery robili w łazience) oraz chwile, kiedy kasa się kończyła. Wtedy brali tłumaczenia, żeby dorobić, tak też pojawił się pomysł na agroturystykę w mongolskich jurtach, który zresztą kontynuują do dziś.

Zainspirowani

– Żadne z nas nie miało wiejskich korzeni ani rodziny na wsi, ja do 30. roku życia nie dotknąłem krowy – śmieje się Rafał. Pracy ze zwierzętami nauczyli się

Sławomir Duszyński, absolwent krakowskiej ASP, jest twórcą marki GUCIO, która produkuje dziecięce buciki z charakterystyczną żółtą podszewką. Chodzą w nich m.in. dzieci Angeliny Jolie i Brada Pitta.

w zielonym Sussex, właściciel prowansalskiej farmy warzywnej w licznych rozmowach przekonująco „sprzedał” im zaś etos ekologicznego rolnictwa, a przy okazji zaraził ideą Community Supported Agriculture – co po polsku tłumaczy się jako „rolnictwo wspierane społecznie”. – Ludzie płacili miesięczną składkę na jego produkcję w zamian za dostawy ekologicznych jarzyn, ale uczestniczyli też w ewentualnym ryzyku – opowiada Rafał. – My ideę osobistego kontaktu producenta z odbiorcą realizujemy na razie w najprostszym możliwym sposób. Część produktów rozprawdzamy w dystrybucji bezpośredniej, przywożąc je do domów. wysyłamy też regularnie maile, a w nich wieści o tym, co się u nas i u naszych krów dzieje.

Iza Sojka zdecydowała się na model biznesu – małej manufaktury po fatalnych doświadczeniach z korporacją – Nigdy jeszcze tak dużo nie zarabiałam, ale po roku trafiłam na psychoterapię – wspomina. – Nie mogłam odnaleźć się w tej wszystko mielącej maszynie, nie mogłam znieść bezsensu tej pracy i zrezygnowałam.

Najpierw założyła małe wydawnictwo Niebieska Studnia, ale dopiero kiedy przypadkowo trafiła na fragment starego, ręcznie robionego kafla, stwier-

dziła, że serce bije jej szybciej. Uznała, że nie może zgodzić się, by tak piękna tradycja rzemieślnicza przepadła. Z pomocą hiszpańskiej przyjaciółki, której rodzina – jak się szczęśliwie okazało – prowadziła na Półwyspie Iberyjskim jedną z ostatnich w Europie wytwórni takich kaflów, rozpoczęła pracę nad technologią. – To było coś genialnego, kiedy po wielu nieudanych próbach z materiałem wreszcie nam wyszło – wspomina. – Wszystkie problemy i nieprzespane noce przestały się liczyć. Ale wiem też, że w tym biznesie bywają dni magiczne, kiedy nic nie wychodzi, i wtedy trzeba na moment odpuścić. Cement to materiał, który uczy pokory. Praca nad kaflami jest trochę jak medytacja – powtarzalna do znudzenia czynność, ale jednocześnie cały czas włączona czujność.

Rozwój? Tak, ale po swojemu

Brak entuzjazmu dla biznesowych podbojów za wszelką cenę nie wyklucza rozwoju na własnych zasadach. Stanisław Piwowarczyk, choć produkuje jeden model buta, nieustannie go udoskonala i wprowadza nowe patenty. – Paradoksalnie ludzie mają dosyć

Iza Sojka: „Sprzedawałabym więcej, gdyby kafle były tańsze, ale zautomatyzowanie produkcji byłoby sprzeczne z całą ideą”.

ciągłych zmian, chcą znaleźć odrobinę stałości, choćby w tak pobocznej kwestii jak buty. Słyszymy opowieści, że dzieci nie chcą zdejmować naszych bucików nawet do snu albo że rodzice wyszli z domu bez Guciów i musieli wracać, bo dziecko nie chce się bez nich ruszyć. To ogromna satysfakcja! Może taki dzieciak, jak dorośnie za 20 lat, będzie pamiętał ulubione buciki z żółtą podszewką. Może nawet, jeśli nadal będą produkowane, kupi je swojemu dziecku? Piwowarczyk uważa, że to właśnie wyjątkowa jakość, przy wciąż rozsądnej cenie (ok. 170 zł) sprawia, że taka mała firma jak GUCIO trwa na rynku i ma się dobrze.

Rafał i Ania także eksperymentują ze swoimi mlecznymi produktami. Ostatni wynalazek to jogurt z imbirami i skórka pomarańczową. Kupili też kilka kóz, żeby spróbować czegoś nowego. Mogą sobie wreszcie pozwolić na po-

Iza Sojka, założycielka manufaktury PURPURA, która specjalizuje się w produkcji ozdobnych kaflów z cementu. Nim zapalała miłością do kaflów, otworzyła małe wydawnictwo Niebieska Studnia.



mocników, którzy częściowo odciążają ich przy dojeniu: – Nasza praca przebiega w rytmie naturalnym i sam rozwój też jest naturalny. Krów przybywa stopniowo, bo sami odchowujemy je z cielaków. Cały nasz plan ekspansji na dziś, to mieć 10 krów więcej, co zresztą nadal jest niczym wobec przemysłowych mleczarni. Ale o to chodzi, bo podstawową wartością naszego produktu ma być to, że surowiec i przetworzenie jest w naszych rękach.

Iza Sojka przyznaje, że choć jej manufaktura zarabia na sobie (czasem ze wsparciem ze strony jej wydawnictwa), to na razie wszystko inwestuje i nie stać jej np. na zrobienie nowej formy do kaflów rysowanych. Iza wciąż pozyskuje nowych klientów. – Sprzedawałabym więcej, gdyby kafle były tańsze, ale zautomatyzowanie produkcji byłoby sprzeczne z całą ideą. To musi być robione ręcznie, cały urok kaflów polega na tym, że każdy egzemplarz minimalnie się różni. Tego nie da się też robić szybciej. Sama forma waży 10–15 kilogramów. Poza tym chcę godziwie płacić pracownikom, u mnie nie ma pracy niewolniczej.

Jej kafle są piękne, wyjątkowe, doceniają je architekci i stylści, z którymi współpracuje. Dzięki manufakturze po raz pierwszy w życiu, jak mówi, robi coś, co spotyka się z tak powszechnym uznaniem.

Dla Izy robienie kaflów to pasja, podobnie jak dla Rafała i Ani robienie serów, a dla Sławomira Piwowarczyka – butów, i może w tym tkwi tak naprawdę sekret ich biznesów na ludzką miarę. Jak mówi twórca Guciów: – Wierzę, że emocje przy wytwarzaniu przechodzą na przedmiot. Ktoś, kto robi coś w nie-szczęściu, wytwarza nieszczęście i ono idzie potem w świat, do użytkowników. O ile przyjemniej jest kupować towar fair trade, wykonany z miłością i zadowoleniem!

<http://www.gucioshoes.com/pol.html>
<https://www.facebook.com/pages/Mleczna-Droga-Manufaktura-Ser%C3%B3w/126108090898043>
<http://www.purpura.eu/>

DOMINIKA KAŹMIERCZYK

Rozkosz wydawania pieniędzy

Marnujemy miliony złotych. Pomaga nam w tym dzielnie Unia Europejska, która przyznaje nam dotacje na **nieprzemysłane inwestycje**, na które de facto nas nie stać.

Plan był ambitny: za unijne fundusze chcieliśmy nadrobić zaległości cywilizacyjne. 67 mld euro, które Polska już otrzymała i otrzyma jeszcze do końca tego roku, miały sfinansować modernizację sieci dróg, budowę oczyszczalni ścieków i zwiększyć innowacyjność polskiej gospodarki. Jak zapewniają urzędnicy, właśnie tak było, tyle że to, co oni rozumieją pod pojęciem „kształtowania się nowej kultury administracyjnej”, w rzeczywistości jest przyrostem administracji publicznej obsługującej przyznawanie unijnych funduszy, a „decentralizacja wdrażania funduszy UE i realna możliwość programowania przez samorządy rozwoju” to bardzo często nietrafione, czasem wręcz absurdalne i na pewno bardzo kosztowne dla lokalnych budżetów inwestycje.

Wyludnione świetlice

W ciągu kilku ostatnich lat Ministerstwo Rolnictwa rozdysponowało pomiędzy gminy 1,3 mld zł pomocy unijnej. Za te pieniądze zbudowano m.in. 1600 świetlic i domów kultury. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie alarm, który podniosły organizacje pozarządowe. Według najnowszych informacji świetlice i domy kultury stoją w 90 proc. puste, bo samorządy nie mają funduszy na ich utrzymanie. Środki na ten cel nie zostały niestety przewidziane w unij-

nym budżecie. To bolączka wszystkich projektów, które szybko się kończą, a pieniądze na dalszą działalność trzeba wygenerować samemu. Do tego dochodzą jeszcze niełatwiające życia przepisy o zakazie prowadzenia w tego typu miejscach działalności komercyjnej, dzięki czemu mogłyby one zarabiać np. na organizacji wesel. Mało tego, według prawa powinny na wszelkiego rodzaju zgromadzenia udostępniać pomieszczenia nieodpłatnie. Nic dziwnego, że sołtysi wolą zamknąć nowo wybudowane pomieszczenia i mieć problem ogrzewania i zużycia prądu z głowy. Szybko wyludniających się gmin nie stać także na organizacje niekomercyjnych zajęć, które mogłyby się, przynajmniej teoretycznie, odbywać w domach kultury i świetlicach.

Na swoich stronach Ministerstwo Rozwoju Regionalnego chwali się, że do wydatkowania tzw. funduszy regionalnych się nie wtrąca, a Dariusz Mamiński z Ministerstwa Rozwoju Wsi i Rolnictwa tłumaczy, że tego typu projekty są realizowane przez poszczególne urzędy marszałkowskie. Kto odpowiada więc za takie nietrafione inwestycje? – To jednak problem centralizacji decyzji – uważa Mateusz Benedyk, ekonomista z Uniwersytetu Wrocławskiego. – Już decyzje podejmowane na poziomie państwa mające rozwiązać problemy lokalne niosą ze sobą duże ryzyko

błędów, a co dopiero te podejmowane na poziomie organizacji ponadpaństwowej, jaką jest Unia.

Kursy cię wzbogacą

Jedną z najlepiej rozwijających się za unijne pieniądze branż są szkolenia. A że kosztują kilkanaście tys. zł zamiast kilkaset? Przecież w 80 proc. współfinansuje je Unia Europejska, nie mogą być tak tanie jak krajowe. Na przykład kurs z podstaw obsługi komputera finansowany z unijnych funduszy kosztuje nawet 15 tys. złotych, tymczasem na wolnym rynku za naukę obsługi Excela, Windowsa i PowerPointa trzeba zapłacić... 390 zł. Z raportu NIK za ubiegły rok oceniającego szkolenia dla bezrobotnych wynika, że na rynku unijnych szkoleń panuje absolutny brak jasnych kryteriów dotyczących wynagrodzeń i zakupu materiałów, a beneficjenci dotacji najzwyczajniej zawyżają stawki. W dodatku tylko jedna trzecia tego typu firm zadeklarowała, że posiada stosowne akredytacje i certyfikaty, aby uczyć innych.

Na edukacyjnym eldorado korzystają także urzędnicy. Często sami przyjmują np. rolę trenerów biznesu, choć nigdy nie mieli z nim nic wspólnego. Zarobek jest pewny, bo aż 21 proc. wszystkich szkoleń finansuje Europejski Fundusz Społeczny. – Potrzeba podwyższania kompetencji polskich pracowników



jest paląca – mówi Iwona Knapik, która prowadzi kampanię promującą szkolenia. – Robi to tylko 5 proc. z nas. Średnia unijna to 10 proc., a w Skandynawii odsetek ten wynosi aż 30 proc.

Z badań EFS wynika też, że ponad połowa bezrobotnych po odbyciu kursu otrzymuje choćby tymczasową pracę, a co czwarty pracownik podwyżkę. Tyle że pomimo objęcia już 7,5 miliona osób kursami, bezrobocie nie spada, a rośnie.

Gdzie te innowacje?

Od kilku lat bije także w Polsce inne unijne źródło. To program „Innowacyjna gospodarka” o wartości ponad 40 mld złotych na nowe rozwiązania

Nad wnikliwym rozpatrzeniem podań o fundusze unijne czuwa stale rosnąca armia urzędników. Według MRR to dziś 10 tys. osób, a 80 proc. ich wynagrodzeń pochodzi ze środków unijnych.

w gospodarce. Jak bardzo innowacyjne? W ramach tego programu powstała m.in. strona internetowa o kotach za, bagatela, 600 tys. zł. Sfinansowano również podobnie drogi portal pozwalający rzucać SMS-owe kławy. – Strona Świat Kotów – platforma e-usług dla hodowców i właścicieli kotów wygrał w II konkursie 8.1 w 2009 r. – spieszy z tłumaczeniem Piotr Popa, rzecznik prasowy Ministerstwa Rozwoju Regionalnego. – Miało to miejsce jeszcze przed zaostreniem kryteriów oceny w 2010 r., kiedy to znacząco podwyższone zostały wymagania w zakresie innowacyjności projektów i efektywności ekonomicznej.

Jest jeszcze inny problem. Wiele firm, które powstały dzięki funduszom

z „Innowacyjnej gospodarki”, już nie istnieją, bo kiedy kończą się unijne środki, biznes przestaje działać. Przykład? Nieaktualizowany od dawna serwis internetowy alekiedy.pl, który miał oferować informacje o kulturze w całej Polsce. Prawdziwych, głośnych innowacji na razie brak, tymczasem firmy, które już mają unikatowy produkt („elektroniczny nos” wynaleziony na Politechnice Warszawskiej od lat szuka inwestora), nie mogą otrzymać unijnej pomocy, aby wprowadzić go do produkcji, bo tego akurat program „Innowacyjna gospodarka” nie przewiduje.

Miłosz Marczyk, rzecznik prasowy Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, przekonuje jednak, że



STEFAN ROMANIK/AGENCJA GAZETA

stycyjny absurd opisał w ub. miesiącu niemiecki dziennik „Der Spiegel”. głos zabrała nawet minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska: „Dopóki tego nie sprawdzę, nie powiem, że to zły projekt. Za nasze pieniądze powstało w Uniejowie, w województwie łódzkim, wielkie kąpielisko termalne. Całe miasto kręci się wokół nich, są i zyski, i miejsca pracy” – mówiła dziennikarce „Gazety Wyborczej”. Już wcześniej samorządową inwestycję tłumaczył podobnie starosta Harhaj: „Liczymy, że dzięki termom odwiedzi nas więcej ludzi. To także nowe miejsca pracy”.

Szkoda, że na te nowe miejsca pracy będą się musieli rzucić solidarnie podatnicy.

Sztuka pisania podań

O pracę nie musiały się za to martwić firmy, które uczyły Polaków, jak wypełniać wnioski o unijną dotację. Mało przejrzyste kryteria przyznawania pomocy, kruczki prawne, nieznanostwo gwarantujących sukces słów kluczy, których trzeba użyć w podaniu – wszystko to sprawiało, że samorządy, firmy, fundacje, a nawet bezrobotni wolą powierzyć wypełnienie wniosku o unijną dotację prywatnym spółkom. Rynek tego typu usług (wzbogaconych czasem o odpowiednie znajomości w urzędach) od kilku lat kwitnie. Przyciąga też często oszustów. – Firmy podszywają się np. pod ministerstwa i oferują usługi niby przez nas autoryzowane – opowiada Piotr Popa z MRR. Urzędnicy to zresztą cała osobna gałąź tego szybko rozwijającego się przemysłu. My, podatnicy, zatrudniamy ich np. do obsługi programów UE w centralnych urzędach, a w gminach i powiatach do zdobywania unijnych dotacji.

– To kilkadziesiąt, a nawet 100 tys. etatów – mówi Mateusz Benedyk. Liczba urzędników, zamiast się zmniejszać, jak obiecywał nam rząd, stale rośnie. Piotr Popa z MRR pociesza jednak, że ten wzrost wynosi zaledwie 10 tys. osób (szacunki Ministerstwa Rozwoju Regionalnego), a ich pensje są w 80 proc. finansowane z dotacji.

Choć wielkie stadiony, wzniesione na Euro 2012, przynoszą straty, rozpoczęto budowę mniejszych obiektów. Od 2006 r. w Polsce oddano do użytku, również za unijne fundusze, 60 małych stadionów.

innowacyjni już przecież jesteśmy. – Polska została strategicznym partnerem targów CeBIT, największej światowej wystawy teleinformatycznej, a Niemcy, gospodarze targów, wystawiają nam dobre opinie. Nieźle wypadamy też w rankingu państw Europy Środkowej. Marczuk przypomina, że w ostatniej, 13. edycji rankingu Deloitte Technology Fast wśród 50 najszybciej rozwijających się firm technologicznie innowacyjnych w Europie Środkowej znalazła się rekordowa liczba 36 przedsiębiorstw z Polski.

Rzecznik PARP zapomina jednak o innych, równie wymownych danych. Na przykład według rankingu innowacyjności „Innovation Union Scoreboard 2010” liczba zgłaszanych patentów w Polsce jest ponad 10-krotnie niższa od średniej dla krajów Unii.

Zimne termy na Warmii

W lipcu 2011 r. w Lidzbarku Warmińskim zakończono odwiert w poszukiwaniu źródeł geotermalnych zamówiony przez starostwo. W Lidzbarku miał powstać za unijne pieniądze (z udziałem własnym samorządu) prawdziwy ośrodek termalny: spa, baseny, centrum

konferencyjne. Lidzbark nie mógł być przecież gorszy choćby od Zakopanego. Pobrano m.in. próbkę wody z głębokości kilkuset metrów i okazało się, że jej temperatura wynosiła zaledwie 24 st. Celsjusza. Temperatura wody w okolicznych jeziorach była pewnie tego lata niewiele niższa. W istniejących w Polsce termach woda ma zazwyczaj 60 st. Celsjusza, a w basenach, takich jak np. w Bukowinie Tatrzańskiej, ponad 30 st. Celsjusza.

Starosta lidzbarski Jan Harhaj nie zraził się jednak wynikami odwiertu. Mediom tłumaczył, że przecież woda nie ma służyć do ogrzewania mieszkań. „Fachowcy powiedzieli mi, że ta woda może mieć dużą wartość balneologiczną i dzięki niej jest wielka szansa na uzyskanie dla Lidzbarka statusu uzdrowiska” – mówił dziennikarzom Harhaj. Twierdził też, że basenów w regionie jest dość, dlatego my stawiamy na uzdrowisko.

Inwestycji oczywiście nie wstrzymano. Lidzbarskie zimne termy otworzą swoje podwoje już w 2014 r. Będą kosztować 93 mln zł, z czego 64 mln pochodzi, a jakże, z unijnej dotacji. Resztę dołączy powiat lidzbarski. Kiedy ten inwe-

Zadłużone samorządy

Unijny inwestycyjny boom doprowadził niestety wiele samorządów do sytuacji, w której muszą wyprzedawać nieruchomości, radykalnie ciąć koszty i wprowadzać nowe podatki, bo inaczej nie dalyby sobie rady z utrzymaniem unijnych inwestycji. Świnoujście, Gorzów Wielkopolski czy Rzeszów szukają ratunku w wyprzedaniu mienia, a inne miasta i gminy oszczędzają na drogach, żłobkach i przedszkolach. Samorządy musiały pokryć sporą część wydatków na unijne baseny, boiska czy świetlice ze środków własnych, a na refundację kosztów z UE wiele z nich czekało nawet dwa lata. Na przykład po wybudowaniu wielkich stadionów, wzniesionych na Euro 2012, rozpoczęto budowę mniejszych obiektów. Od 2006 r. w Polsce oddano do użytku 60 małych stadionów. Jak zauważa europeista Paweł

Jeśli jest możliwość budowy stadionu czy innego obiektu za unijne pieniądze, to dlaczego nie? Dobrze później przeciąć wstęgę na nowym obiekcie, nie martwiąc się, czy inwestycja się zwróci.

Kubicki, samorządowcy stali się zakładnikami kibiców piłkarskich. Jeśli jest możliwość budowy stadionu, to dlaczego nie? Dobrze później przeciąć wstęgę na nowym obiekcie, nie martwiąc się, czy inwestycja się zwróci.

– Niestety, dotacje sprzyjają nieracjonalnym, nieprzemysłanym inwestycjom, których w innym przypadku prawdopodobnie by nie zrealizowano – ocenia Mateusz Benedyk.

W 2009 r. do Polski dotarł światowy kryzys i państwo nałożyło na lokalną

administrację nowe, kosztowne zadania. Powiaty i gminy muszą np. prowadzić szkoły i budować oczyszczalnie, bo nie otrzymują na to środków z centralnego budżetu. By wywiązać się z powierzonych zadań, muszą się zadłużać w bankach.

W przyszłym roku znów spadnie na Polskę unijna manna. Eksperti dają nadzieję, że tym razem rozkosz wydawania pieniędzy będzie jeszcze większa. – Kolejny okres programowania może być szansą na zwiększenie innowacyjności polskiej gospodarki, na rozwój badań czy też podnoszenie kwalifikacji osób starszych, wykluczonych albo dopiero rozpoczynających swoją zawodową karierę – mówi „Przekroju” Marta Dobrzycka, redaktor naczelna miesięcznika „Perspektywy Europejskie” i członkini Instytutu Badań nad Demokracją.

REKLAMA

PRZEKROJ

patronuje

ANUSZ GAJOS
PRZEMYSŁAW SADOWSKI
MAGDALENA KUMOREK

WEKTOR 2012
ZA ODWAGĘ W DĄŻENIU
DO PRAWDY

REŻYSERA RYSZARD BUGAJSKI

UKŁAD ZAMKNIĘTY

JUTRO MOGĄ PRZYJŚĆ PO CIEBIE!

W KINACH OD 5.04

VIVA! RZECZPOSPOLITA POLSKA DZIENNIK BIZNESU Forbes MALEMENI FILM@WEB Gazeta.pl bankier.pl inwestycje.pl Business Centre Club ZPP amts wiciorindia

GRZEGORZ SIEMIONCZYK, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Zamach na europejskie banki

Niespodziewany pomysł opodatkowania depozytów bankowych na Cyprze przekonał Europejczyków, że **prawo własności właśnie przestało być święte**. Jeśli więc nie pobiegniemy wszyscy po nasze oszczędności do banków, to stanie się tak tylko dlatego, że rządy nie pozwalają im dziś upadać.

Większość bankowców zamieszkuje marmurowe komnaty / bo potrafią przyciągać depozyty, a tamować ich wypłaty” – tak istotę bankowości ujął w jednym z wierszy amerykański poeta Ogden Nash. Dziś, 80 lat później, napisałby pewnie to samo. Wciąż nie ma bowiem pewniejszego sposobu na wykołajenie sektora finansowego niż wystraszenie klientów jednego choćby banku wizją utraty powierzonych mu pieniędzy.

Jak uczy historia, niczego się z niej nie uczymy. Konieczne są powtórki. Unijni decydenci właśnie postanowili przypomnieć światu, co może się wydarzyć, gdy powiedzenie „pewne jak w banku” straci sens. Laboratorium jest Cypr. Tyle że w zintegrowanym sektorze finansowym izolowanych od świata zewnętrznego eksperymentów prowadzić się nie da. Wraz z cypryjskimi bankami zaufanie klientów utracić mogą instytucje z innych zadłużonych krajów eurolandu. Dlatego zamieszanie wokół opodatkowania depozytów na tej maleńkiej wyspie może się oka-

zać dla europejskiego sektora bankowego groźniejsze niż poprzednie akty kryzysu.

Wygnanie z raju

Oto w zarysie warunki brzegowe eksperymentu. Cypr od kilku dekad cieszy się statusem raju podatkowego (stawka podatku od zysków spółek wynosiła dotąd zaledwie 10 proc., a w Polsce 19 proc.), w którym chętnie rejestrują się zagraniczne spółki. Dzięki temu w tamtejszych bankach ulokowano aż 70 mld euro, niemal czterokrotnie więcej, niż wynosi PKB wyspy. Takich kwot siłą rzeczy nie mogły lokować na cypryjskim rynku. Dużo inwestowały więc za granicą, a zwłaszcza w po-

bliskiej Grecji. W pewnym momencie ich aktywa sięgały nawet 170 mld euro.

Na fali kryzysu w Helladzie oraz wymuszonej przez UE restrukturyzacji jej długu publicznej wartość tych aktywów stopniała do niespełna 130 mld euro. Cypryjski rząd nie był w stanie przyjąć im z pomocą, bo sam miał kłopoty finansowe. Nie mogło być inaczej: skoro sektor usług finansowych stanowi 45 proc. cypryjskiego PKB, jest też jednym z głównych źródeł przychodów podatkowych. Pod koniec 2011 r. na ratunek wyspie ruszyła Moskwa, która pożyczyła władzom w Nikozji 2,5 mld euro. Ten szlachetny gest tłumaczy 24 mld euro zdeponowane przez rosyjskie firmy w cypryjskich bankach. Dzięki nim najmniejsza gospodarka eurolandu jest największym źródłem bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Rosji. Poza tym w tamtym czasie Cyprzem rządził Demetris Christofias, wykształcony w Moskwie komunista.

Pieniądzy nie wystarczyło na długo i pod koniec ubiegłego roku Nikozja musiała zwrócić się o pomoc także

Ludzie zdali sobie sprawę, że choć teoretycznie depozyty są bezpieczne do 100 tys. euro, w nadzwyczajnej sytuacji ich prawa własności mogą zostać naruszone. Rząd może je zawsze złamać.



do Brukseli i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Rozmowy nabrały tempa, gdy w lutym wybory prezydenckie na Cyprze wygrał centroprawicowiec Nicos Anastasiades. Ubiegał się o wsparcie w wysokości około 17 mld euro, czyli kroplę w morzu tego, co UE i MFW wpompowały wcześniej w Grecję, Irlandię i Portugalię. Dość powiedzieć, że większą unijną pożyczkę otrzymał ostatnio hiszpański kredytodawca Bankia. Ale międzynarodowe instytucje przystały jedynie na 10 mld euro, każąc Nikozji zdobyć brakujące 7 mld euro z innych źródeł.

UE i MFW argumentowały, że większa pożyczka zwiększyłaby zadłużenie Cypru do niemożliwego do utrzymania poziomu. Zdaniem części komentatorów ważniejsze były jednak obawy polityków o własny wizerunek. Bo europejscy podatnicy mogliby nie docenić tego, że ich ciężko zarobione pieniądze przeznaczone na pomoc dla rosyjskich oligarchów piorących brudne pieniądze w kraju, który swoją liberalną polityką podatkową okrada roztropniejszych sąsiadów. To jedna z przyczyn, dla których cypryjski epizod może się okazać dla strefy euro wyjątkowo niebezpieczny. Tym, którzy wcześniej tego nie wiedzieli, udowodnił, że w strefie euro emocje polityczne biorą górę nad ekonomicznymi kalkulacjami nawet w obliczu poważnego zagrożenia dla stabilności unii walutowej.

– Politycy eurolandu mają niezwykłą zdolność, aby pozwalać nawet bardzo małym problemom pchnąć unię walutową na krawędź katastrofy – zauważa Jennifer McKeown, ekonomistka z brytyjskiej firmy badawczej Capital Economics.

Na domiar złego, jak wskazuje Lena Komileva, założycielka brytyjskiej firmy analitycznej G+ Economics, w tę polityczną przepychankę zaangażował się Europejski Bank Centralny, będący w teorii wcieleniem niezależności politycznej. Aby przyspieszyć proces decyzyjny Cypryjczyków, zagroził, że z początku minionego tygodnia odetnie dwóm największym tamtejszym ban-

kom awaryjne linie kredytowe. Byłoby to zgodne z prawem, bo EBC może takich pożyczek udzielać tylko bankom, które utraciły płynność, ale są wypłacalne. Cypryjskie można uznać za niewypłacalne, ale jeśli tak, to z jakichś powodów wcześniej Frankfurtowi to nie przeszkadzało.

Ultimatum okazało się skuteczne. Tydzień temu w nocnych negocjacjach Nikozja uzgodniła z UE i MFW plan zdobycia brakujących 7 mld euro. Przewiduje on m.in. likwidację drugiego pod względem wielkości banku Laiki, którego zdrowe aktywa zostaną przeniesione do Bank of Cyprus, największego kredytodawcy na wyspie. Pozostałe stworzą tzw. zły bank i zostaną z czasem upłynnione. W obu insty-

tucjach depozyty powyżej 100 tys. euro (łącznie warte są około 37 mld euro) zostaną zamrożone i częściowo wykorzystane na pokrycie kosztów restrukturyzacji banków. Ich właściciele mogą stracić około 40 proc. kwoty przekraczającej ten limit. W zamian dostaną akcje Bank of Cyprus. Straty poniosą też dotychczasowi akcjonariusze oraz posiadacze obligacji. Wbrew temu, co twierdzi prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, nie można więc mówić o grabieży depozytów: raczej o ich przymusowej wymianie na inne aktywa.

Psychologia tłumu

Większość komentatorów plan ratowania Cypru uznała za dobry. Ale wielu wskazuje, że ważniejsze od tego,

co uzgodniono, jest to, o czym rozmawiano. A pierwsza propozycja, jaką Nikozja usłyszała od instytucji międzynarodowych, była istic heretycka: przewidywała nałożenie jednorazowego podatku w wysokości od około 7 do 10 proc. na wszystkie depozyty tamtejszych banków. Nawet te do kwoty 100 tys. euro, które od początku 2011 r. są w UE objęte pełnymi gwarancjami (wcześniej limity były niższe i różniły się między krajami). Obawy, że zanim pomysł zostanie zrealizowany, w cypryjskich bankach nie będzie ani centa, wymagały ich zamknięcia na niemal dwa tygodnie, pozostawiając tylko bankomaty z niskimi limitami wypłat. Ostatecznie koncepcja takiego podatku przepadła w cypryjskim parlamencie, ale niepokojące jest to, że w ogóle się pojawiła. – Ten epizod będzie miał długotrwałe następstwa, nie tylko na Cyprze, ale w całej strefie euro – komentuje Jennifer McKeown.

To, że idee mają konsekwencje, jak głosi tytuł fundamentalnej książki amerykańskiego publicyście Richarda Weavera, jest jasne. Dlaczego jednak konsekwencje miałyby mieć same słowa, i to, jak się szybko okazało, puste? Bo ekonomia, choć wielu jej przedstawicieli nie lubi tego przyznawać, to nauka społeczna. A dokładnie, jak od lat przekonuje Robert Shiller, ekonomista z Yale, to stosowana psychologia tłumu. Koniunktura w gospodarce w dużej mierze odzwierciedla nastroje oraz oczekiwania firm i konsumentów, a także narracje, które tkwią w ich głowach.

„Nigdy nie zrozumiemy ważnych zdarzeń ekonomicznych, jeśli nie przyjmiemy do wiadomości faktu, że ich źródła mają w dużej mierze mentalną naturę” – podkreśla w „Zwierzęcych instynktach”, książce napisanej wspólnie z noblistą George'em Akerlofem.

Wiedzą o tym dobrze banki centralne, dla których ważnym narzędziem sterowania stopami procentowymi są długo cyzelowane komunikaty, które wpływają na oczekiwania ludzi co do wysokości i kierunku zmian stóp

procentowych, a w ten sposób na ich poziom.

Rozmowy o podatku od depozytów zdecydowanie wpłynęły na nastroje i oczekiwania Europejczyków. – Ludzie po prostu zdali sobie sprawę, że choć teoretycznie depozyty są bezpieczne do 100 tys. euro, w nadzwyczajnej sytuacji ich prawa własności mogą zostać naruszone. Rząd może je zawsze złamać, nawet jeśli – jak na Cyprze – parlament opowie się przeciwko. To opcja, która odtąd wchodzi w grę. W walce z kryzysem otwarte zostało nowe spektrum możliwości, które wcześniej stanowiły tabu – tłumaczy główny ekonomista dużej europejskiej firmy ubezpieczeniowej, który prosi o anonimowość. Jak dodaje Charles Goodhart, emerytowany profesor London School

Po kryzysie na Cyprze znów ruszyły spekulacje na temat rozpadu strefy euro. Unijni decydenci boją się tego jak ognia, można więc oczekiwać, że będą szukali sposobów na przywrócenie zaufania do cypryjskich banków.

of Economics: – Politycy będą się zarzekali, że Cypr to unikalny przypadek. Tylko że unikalnym przypadkiem miała być też Grecja. Niezależnie od tego, ile będą odtąd mówili o nienaruszalności ubezpieczonych depozytów, problem w tym, że nikt im nie uwierzy.

Uwierzyć rzeczywiście będzie trudno, zwłaszcza po niefortunnych słowach szefa eurogrupy (klubu ministrów finansów państw strefy euro) Jeroena Dijsselbloema, który stwierdził, że strategia gaszenia kryzysu na Cyprze będzie wzorcem rozwiązywania problemów banków. Później tłumaczył, że słowo „wzorzec”, którego po angielsku nie zna, włożyli mu w usta dziennikarze. Zapamiętane zostaną też słowa niemieckiego ministra finansów Wol-

fganga Schaeublego, że depozyty są ubezpieczone od bankructw banków, a nie od podatków, a ich wiarygodność jest równa wiarygodności finansowej ubezpieczającego je rządu.

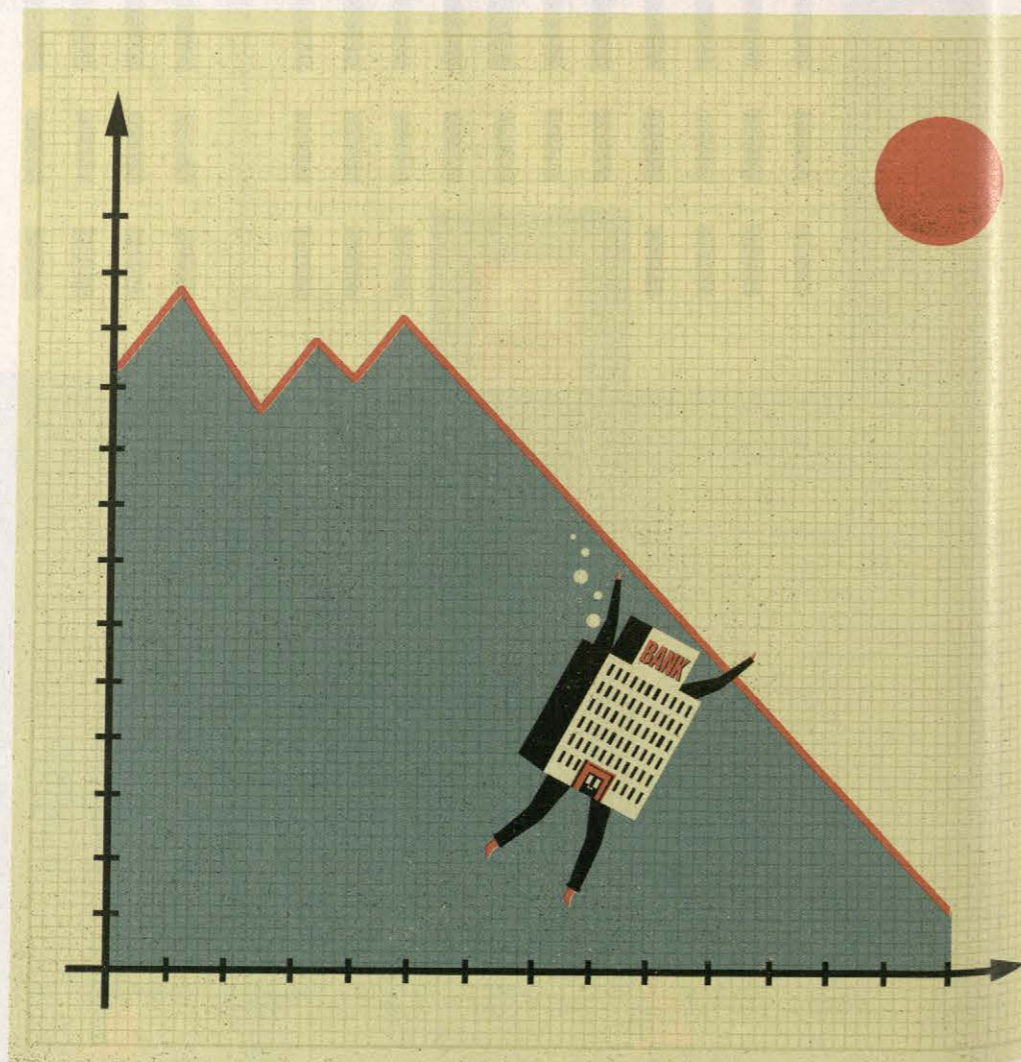
– Efekt jest taki, że strefa euro stała się bardziej podatna na szturmy na banki – tłumaczy Steven Englander, ekonomista z Citigroup. Na razie nie widać, aby klienci masowo podejmowali pieniądze z europejskich banków. Ale może do tego dojść w każdym kraju, wobec którego pojawi się choć cień podejrzeń, że potrzebuje „pomocy” z UE i MFW. Na krótkiej liście kandydatów są Słowenia, Hiszpania, Portugalia i Włochy. Ale prewencyjnie oszczędności mogą też uciekać ze wszystkich krajów eurolandu o przerośniętym sektorze bankowym, takich jak Estonia, Malta czy Luksemburg.

– Wypracowano porozumienie, które nie naruszyło ubezpieczenia depozytów ani ich nie opodatkowało. A mimo to wzbudziło strach przed naruszeniem tych ubezpieczeń i wprowadzeniem podatków w przyszłości – konkluduje Englander.

Powrót do przeszłości

Efekty tego strachu trudno przewidzieć. Według znanego irlandzkiego ekonomisty i publicyście Davida McWilliamsa Europejczyki mogą po prostu zacząć chomikować gotówkę. Jeśli tak postąpią, załame się akcja kredytowa, sklepy przestaną akceptować płatności kartami. Gospodarkę europejską czeka wówczas głębokie załamanie.

Choć taki powrót Europy do barte-ru to na razie tylko spekulacje, zdaniem Ciarana O'Hagana, ekonomisty z francuskiego banku Societe Generale, podważenie wiarygodności ubezpieczeń depozytów już cofnęło Europę o 50 lat. Ale właściwie równie dobrze można mówić o 150 latach. Mniej więcej tyle lat upłynęło, od kiedy istotę kryzysów bankowych i remedia na nie opisał Walter Bagehot, legendarny redaktor naczelny tygodnika „The Economist”. „Wyobraźmy sobie, że upada jeden z wielkich banków Londynu. Natych-



miast podejrzany byłby cały sektor. Gdyby jedna terra incognita okazała się grzęzawiskiem, wszystkie pozostałe terrae incognitae znalazłyby się w cieniu podejrzeń” – pisał w „Ulicy Lombardowej”. „Krótko mówiąc, ruina jednego z nich poważnie podkopałaby wiarygodność wszystkich innych” – konkludował.

Nazywając banki „ziemią nieznaną”, Bagehot nawiązywał do tego, że ich klienci nie wiedzą, co bankowcy robią z ich pieniędzmi. Pewne jest tylko, że nie trzymają tej gotówki w sejfach. Inwestują pieniądze w rozmaite aktywa lub udzielają kredytów. W ten sposób najsolidniejszy nawet bank może upaść, gdy jednocześnie po pieniądze zgłaszają się wszyscy deponenci. Kredytów szybko ściągnąć się nie da, a próba szybkiego upłynięcia pozostałych aktywów nie by nie dała, bo doprowadziłoby to do ich przeceny, więc zdolność banku do wypłaty depozytów jeszcze by zmalała. Podobnie jak innych banków, które mają podobne aktywa, rzucając cień na ich wypłacalność.

Dziś ten mechanizm teoretycznie mógłby doprowadzić do załamania całego sektora finansowego znacznie szybciej niż w czasach Bagehota. Wtedy banki musiały dbać o utrzymanie wymiennalności pieniądza na złoto, co ograniczało podaż kredytu. Tymczasem w czasach współczesnych wartość kredytów udzielonych przez banki wielokrotnie przekracza wartość ich depozytów, wartość tych ostatnich wielokrotnie przekracza wartość gotówki w obiegu, a wartość gotówki opiera się wyłącznie na zaufaniu. Dlatego zdaniem Richarda Duncana, autora popularnonaukowych książek ekonomicznych, dzisiejszy system gospodarczy można nazwać kredytyzmem (od łacińskiego credere, czyli wierzyć). Główną walutą jest w nim wiara w to, że pieniądź ma jakąkolwiek wartość. Stąd utrzymywanie zaufania do banków nabrało takiego znaczenia, a gwarancje depozytów, które upowszechniły się po kryzysie z lat 30. XX w., stały się świętością.

– Zmuszanie oszczędzających do płacenia za chciwość i głupotę bankierów, regulatorów i oczywiście w tym wypadku całej UE, na której oczach cypryjski sektor bankowy rozrósł się do monsturalnych rozmiarów, narusza istotę zaufania między oszczędzającymi a bankami – wskazuje David McWilliams i dodaje: – Ludziom w całej Europie przypominano, że banki nie trzymają ich oszczędności bezpiecznie schowanych w sejfach.

Dziś wartość kredytów udzielonych przez banki wielokrotnie przekracza wartość ich depozytów, wartość depozytów wielokrotnie przekracza wartość gotówki w obiegu, a wartość gotówki opiera się wyłącznie na zaufaniu.

Faktycznie jednak deponenci mają jeszcze jedną linię obrony: banki centralne. Niemal wszędzie na świecie, zgodnie z zaleceniami Bagehota, pełnią one rolę tzw. pożyczkodawców ostatniej instancji. Gdy żądania wypłat pieniędzy z jakiegoś banku przekraczają jego rezerwy gotówkowe, może liczyć na wsparcie banku centralnego. Dzięki temu kryzys nie rozlewa się na innych kredytodawców.

Budne triki bankowców i rządów

Dawniej zapobieganie takim kryzysom wymagało dużo większej kreatywności. Gdy w 1720 r. deponenci zaczęli szturmować Bank Anglii (wówczas był prywatny), jego właściciele skrzyknęli przyjaciół, którzy blokowali okienka bankowe, bardzo wolno wypłacając pieniądze. Następnie przynosili je z powrotem tylnymi drzwiami. Proceder trwał tak długo, jak było trzeba, aby uspokoić prawdziwych klientów.

Z kolei 1907 r. w USA run na banki zdławiła interwencja legendarnego bankiera Johna Pierpointa Morgana.

Zamknął on szefów wszystkich solidnych banków w swojej bibliotece i wypuścił dopiero wtedy, gdy zgodzili się pomóc słabszym instytucjom.

Ale dziś ogólnokrajowe paniki bankowe są rzadkością. W Wielkiej Brytanii do runu na bank w ostatnich 150 latach doszło tylko raz: pod koniec 2007 r. długie kolejki ustawiały się przed placówkami Northern Rock. Informacja o tym, że bank stara się o pomoc Banku Anglii, wywołała bowiem na Wyspach panikę. Ugasił ją rząd, który zagwarantował w pełni wszystkie depozyty Northern Rock, a następnie go nacjonalizował. W kilku innych krajach, m.in. w USA, Belgii i na Litwie, dochodziło w ostatnich latach do podobnych wydarzeń, ale w żadnym przypadku nie rozlały się one na cały krajowy sektor bankowy.

W trakcie ostatniego kryzysu do plajty wszystkich dużych banków doszło tylko na Islandii, ale to dość nietypowy przypadek. Sektor bankowy tej wulkanicznej wyspy, który także wielokrotnie przekraczał jej PKB, załamał się w 2008 r. Ale nie pod wpływem odpływu depozytów, tylko silnego osłabienia islandzkiej korony. W efekcie ciężar zagranicznych długów banków stał się dla nich nie do udźwignięcia, a rząd w Reykjavíku nie było stać na ich ratowanie. Pozwolił trzem największym bankom na upadek, ale najpierw przeniósł ich wszystkie rodzime aktywa i depozyty do nowych instytucji. Islandczycy nie więc na tej operacji nie stracili, choć muszą się godzić na uciążliwe ograniczenia wymiennalności korony. Wszyscy inni, czyli wierzyciele banków i deponenci z Wielkiej Brytanii i Holandii, stracili wszystko, choć tym ostatnim zrekompensowały to rodzime rządy. Od tego czasu starają się odzyskać pieniądze od Reykjavíku. Jak dotąd bezowocnie. Londyn wciągnął nawet Islandię na listę organizacji terrorystycznych, co pozwoliło zająć brytyjskie aktywa jednego z tamtejszych banków.

Głośny run na wszystkie banki w kraju miał też miejsce na początku minionej dekady w Argentynie. Tamtejsza waluta była wówczas sztywno po-

wiązana z dolarem amerykańskim, ale powszechnie się obawiano, że te więzy zostaną zerwane. Ograniczały bowiem możliwości walki rządu (przez dewaluację) z trwającą od dłuższego czasu recesją. Te oczekiwania sprawiły, że Argentyńczycy masowo wymieniali peso na dolary, które wyprowadzali za granicę, co tylko zwiększało koszty utrzymywania sztynnego kursu argentyńskiej waluty. Aby temu zapobiec, w grudniu 2001 r. rząd Fernando de la Rui ograniczył wypłaty z rachunków bankowych, a lokaty w dolarach amerykańskich zostały całkowicie zamrożone. Niedługo później zostały zamienione na lokaty w peso lub obligacje w tej walucie, która następnie została zdewaluowana. Gdy pomimo depozyty zostały odmrożone, Argentyńczycy – choć już ponieśli straty związane z dewaluacją – ponownie ruszyli do bankowych okienek.

„Obawiam się, że rząd i banki mogą mieć w rękawach kolejne brudne triki, więc wolę nie zostawiać im swoich pieniędzy” – tak brzmiała wypowiedź pewnej kobiety zacytowana przez reportera „New York Timesa”.

Rozpad strefy euro?

Cypr także ograniczył wypłaty depozytów. Na razie zapewnia, że na krótko. Ale niewykluczone, że gdy tylko ograniczenia zostaną zniesione, powtórzy się scenariusz argentyński.

– Przymuszczać nie rozpocznie się run na banki. Bo co ma zrobić przeciętny Cypryńczyk, gdy banki się otworzą? Ma wziąć za dobrą monetę słowo ludzi, którzy zapewnili go, że jego oszczędności będą bezpieczne, aby potem zmienić zdanie? – zastanawia się McWilliams.

Jeśli te prognozy się sprawdzą, Nikozja będzie musiała zaakceptować dalsze straty banków i konieczność proszenia o kolejny pakiet pomocowy. Alternatywnie będzie zmuszona wprowadzić kontrolę przepływów kapitału (i ograniczenia wypłat) na dłużej. Ale to, jak wskazuje Lena Komileva z G+ Economics, będzie poważny wyłom w unii walutowej, której istotą jest brak barier dla kapitału. – Nie wyobrażam sobie scenariusza, w którym 1 euro w cypryjskim sektorze bankowym będzie nadal warte 1 euro w banku niemieckim czy francuskim – mówi.

A skoro tak, to greckie euro ani hiszpańskie euro także nie jest warte tyle co niemieckie.

Znów więc ruszyły spekulacje na temat rozpadu strefy euro. Unijni decydenci boją się tego jak ognia, można więc oczekiwać, że będą szukali sposobów na przywrócenie zaufania do cypryjskich banków. Zrobią wszystko, aby – parafrazując byłego wiceprezidenta USA Dana Quayle’a – Europejczycy lokowali w bankach wystarczająco dużo,

żeby pokryć ich straty spowodowane złym zarządzaniem.

Ale i to na dłuższą metę może mieć niepożądane konsekwencje. Zdaniem krytyków powszechnego ubezpieczenia depozytów, wśród których znalazł się nawet Raghuram Rajan, były główny ekonomista MFV, praktyka ta osłabia motywację klientów do sprawdzania wiarygodności banków, którym powierza pieniądze. A same banki nie mają motywacji, aby o tę wiarygodność dbać, bo skoro depozyty mają być bezpieczne, to rządy prawie nigdy nie mogą im pozwolić upaść. W efekcie w kredytyzmie bankom niebezpiecznie blisko do gigantycznych piramid finansowych.

Obrazuje to przypadek Amber Gold, piramidy, która do ubiegłego roku obiecywała Polakom wysokie oprocentowanie rzekomych lokat w złoto. Przez niemal dwa lata każdy, kto postanowił na kilka miesięcy powierzyć gdańskiej firmie pieniądze, odzyskiwał je wraz z przyrzeczonymi odsetkami. Dopiero gdy nadzór finansowy zaczął bić na alarm, że Amber Gold nie posiada zezwolenia na prowadzenie działalności bankowej, deponenci i kontrahenci firmy stracili do niej zaufanie. Wielu klientów, których pieniądze przepadły, miało do nadzorców uzasadnione pretensje, że przewrócili piramidę akurat wtedy, gdy została zbudowana na ich oszczędnościach.

REKLAMA

KRS: 0000097123

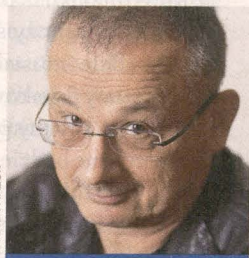
1%

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

... bo jutro
mnie nie będzie

Mariusz Ziomecki

Recepta na nieśmiertelność



FRANIEK MAZUR

Strzeżmy się żywotności, jaka cechuje głupotę, złość albo beztalencie.

Dwie rocznice wojen w Zatoce Perskiej – pierwsza wypadła pod koniec lutego, druga w połowie marca – i jedna uderzająca myśl. Jak cholernie twarde życie gotują nam idee niemądre, ale zrodzone z ideologicznych emocji i przez to praktycznie nie do wytopienia.

Wojny w Zatoce zawsze będą mi się kojarzyły z taką własną ideą. Beznadziejną już na pierwszy rzut oka, krytykowaną przez ludzi myślących realistycznie o Bliskim Wschodzie, ale, jak się okazało, niemożliwą do rozbrojenia przez rozum. Ta idea narodziła się w Stanach pod koniec pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Cudownie ilustruje problem, o którym mówię.

Gdy w lutym 1991 r. po sześciu tygodniach bombardowań i 100 godzinach pancерnej ofensywy na pustyni iracka armia została rozgromiona, a siły gen. Schwarzkopfa stanęły u wrót Bagdadu, pracowałem w dużym amerykańskim dzienniku. Pamiętam więc dobrze ten ryk protestu, jaki się podniósł wśród tamtejszych konserwatystów, gdy „stary” Bush jednak cofnął Abramsy, słynne „żelazne świnie”, i zakończył wojnę po osiągnięciu bezpośredniego celu, czyli po wyzwoleniu Kuwejtu. Nie chciał brać odpowiedzialności za Irak i pakować się w bagno okupacji.

Liberalna prasa, w tym moja gazeta, oczywiście to poparła, ale republikańskim ideologom decyzja prezydenta nie mieściła się w głowach. Jak to: mógł obalić Saddama Husajna, a nie obalił?! Mógł stworzyć na Bliskim Wschodzie kraj z demokracją na wzór amerykański – i nie zrobił tego?! Klan Bushów tłumaczył się w nieskończoność. Bodajże w 1998 r. prezydent z jednym z doradców opublikował nawet książkę, w której wyłożył geopolityczne i praktyczne powody swojej decyzji, ale niewiele to dało. „Odwrót spod Bagdadu” dla wielu konserwatystów pozostał niewybaczalnym błędem, grzechem. Wręcz winą, którą należało zmasać.

Zatrute ziarno leżało potem pod powierzchnią amerykańskiej polityki przez wiele lat. Weszło 17 marca 2003 r., gdy kolejny Bush w Białym Domu dał dyktatorowi Iraku 48 godzin na opuszczenie kraju wraz z synami. Saddam lekkomyślnie nie skorzystał z oferty, młodszy Bush naj-

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

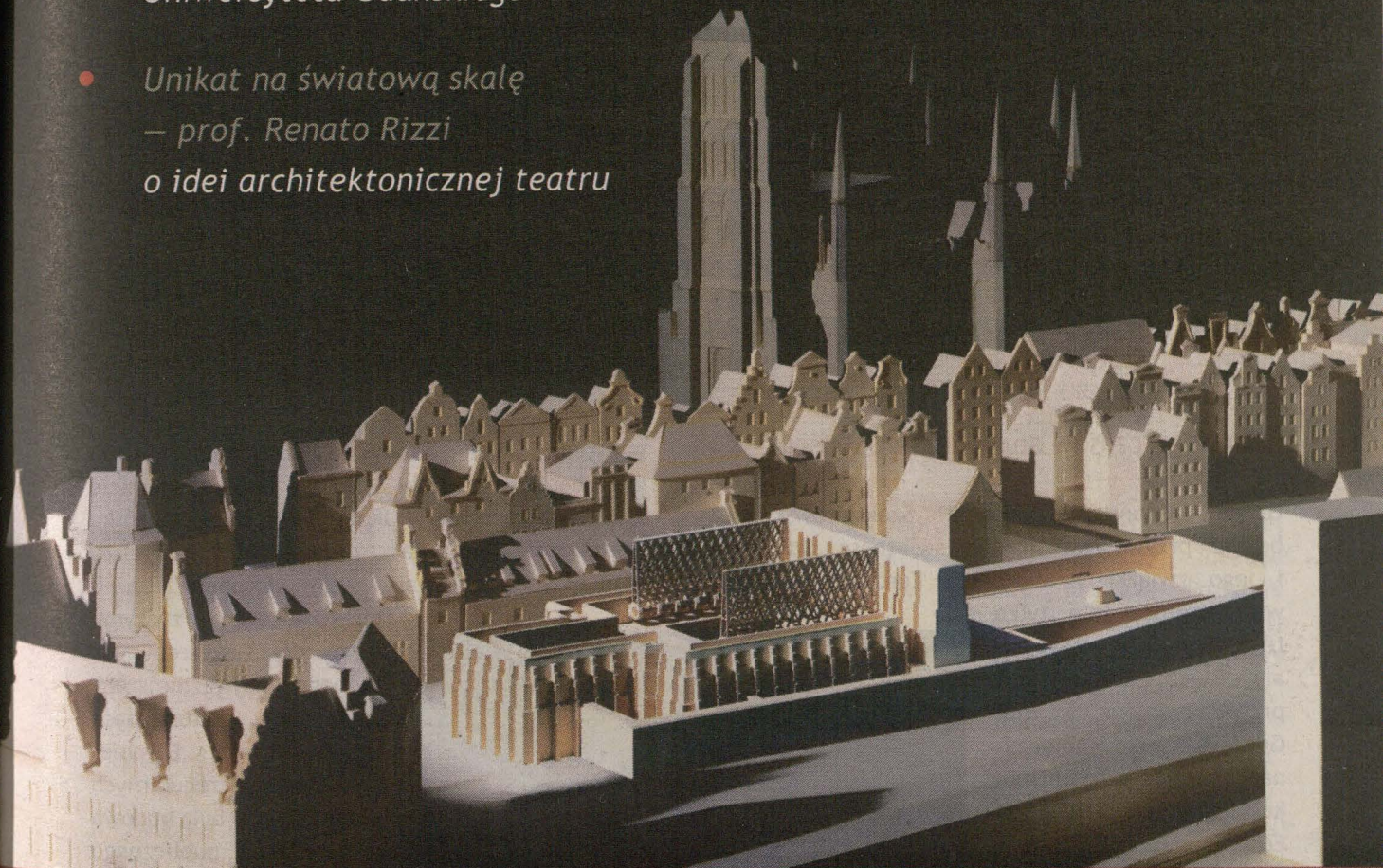
chał na Irak ponownie, mimo braku dowodów, że reżim w tym kraju wspierał terrorystów czy gromadził broń masowego rażenia. Ale syn naprawił „błąd” i zmasał „winę” ojca. Kosztowało to życie i zdrowie setki tysięcy ludzi – w tym parę tuzinów naszych wojaków – plus trylion dolarów w kosztach wojny (tylko po stronie amerykańskiej; po irackiej wciąż nikt chyba nie policzył). Krwawa iracka pułapka odebrała siły i pewność siebie supermocarstwu, podkopała amerykańskie przywództwo w świecie.

To mocny historyczny przykład, ale ewidentnie niemądrych idei, które nie zdychają, zanim nie doprowadzą do nieszczęścia. Takiego nieszczęścia, jakiego jest mnóstwo i wokół nas: Polska jako regionalne mocarstwo w Europie Środkowej. Polska jako wojskowy sojusznik Stanów na wzór angielski. Zamach smoleński. Energetyka węglowa i biopaliwa. Polityka prorodzinna. Sądowe karanie za wypowiedanie opinii, które komuś wadzą. Pokładanie nadziei w papieżstwie. Dieta oparta na czerwonym mięsie. Rybołówstwo na Bałtyku. Wysyp dodatków historycznych do tygodników. Likwidowanie miejsc parkingowych w miastach. Jerzy Stuhr w roli reżysera. Spodnie w dzwony i nastoletni piosenkarze...

Niektóre z tych idei są bardziej niebezpieczne niż inne, ale wszystkie mają wspólną cechę: wprowadzane w życie przynoszą przykre rezultaty, co jednak nie umniejsza ich popularności. Możemy w zasadzie być pewni, że Amerykanie powtórzą iracki błąd, tyle że za pokolenie lub dwa. A w Polsce Stuhr, jak czytam, już szykuje się do robienia kolejnej fabuły...

Strzeżmy się żywotności, jaka cechuje głupotę, złość albo beztalencie. Często projekty inspirowane tymi cechami znikają pozornie z pola widzenia, jednak nie umierają: zwinięte jak przetrwalniki trującej rośliny czekają na swój czas. Wystarczy kaprys historii, drobna zmiana preferencji wyborców albo udany atak terrorystyczny na Nowy Jork, i bum! Ktoś naprawia historyczny „błąd” ojca na Bliskim Wschodzie, paranoik zostaje premierem i zabiera się za szukanie „agentów” i za „układ” nad Wisłą, a ktoś jeszcze inny tak skutecznie bierze za pysk Węgry, że zachwycony red. Igor Janke pisze o nim książkę...

- Powrót do czasów świetności, czyli Gdański Teatr Szekspirowski nowoczesnym centrum sztuki
- „Teatr jak żaden inny”, rozmowa z prof. dr hab. Jerzym Limonem, dyrektorem GTS i kierownikiem nowopowstałej Katedry Sztuk Scenicznych Uniwersytetu Gdańskiego
- Unikat na światową skalę – prof. Renato Rizzi o idei architektonicznej teatru



Gdańsk czeka
na Teatr Szekspirowski



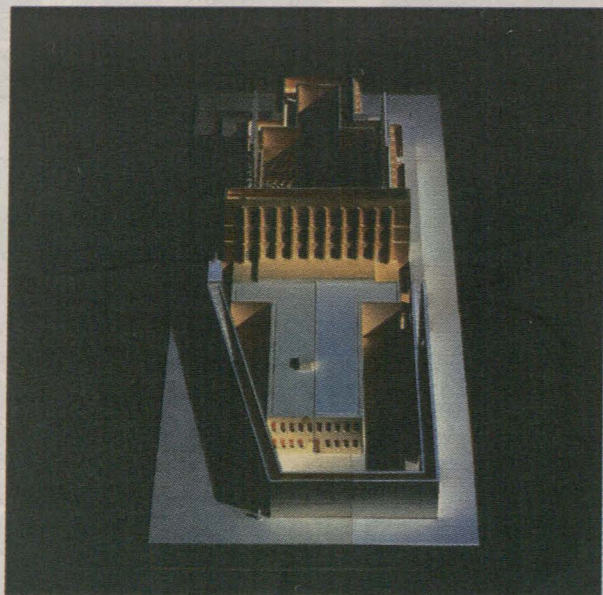
teatrszekspirowski.pl

GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI NOWOCZESNYM CENTRUM SZTUKI

Gdański Teatr Szekspirowski to pierwszy od niemal czterdziestu lat teatr dramatyczny w Polsce, powstający od podstaw. Idea rekonstrukcji teatru elżbietańskiego, który istniał niegdyś w Gdańsku, zrodziła się z oddolnej inicjatywy. Fundacja Theatrum Gedanense, pod kierownictwem prof. Jerzego Limona (prezesa Fundacji i dyrektora GTS), postawiła sobie za cel odbudowę teatru elżbietańskiego i odtworzenie bogatej tradycji kulturowej miasta, przywołującej między innymi udokumentowane występy aktorów angielskich z XVII wieku. W 2014 roku teatr po raz pierwszy podejmie gości. Jakie będzie znaczenie GTS w skali kraju i Europy? Argumentów za budową teatru jest wiele. Oto kilka z nich.

POWRÓT DO CZASÓW GDAŃSKIEJ ŚWIETNOŚCI

Gmach Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego będzie przywoływał dawną świetność Gdańska i jego związki z zachodnią Europą. Jest on wskrzeszeniem nie tylko tradycji wizyt aktorów angielskich, ale również przypomnieniem roli Gdańska jako międzynarodowego centrum kultury i sztuki. — *W całej Europie nie ma zbyt wielu miast, które mogłyby poszczycić się tak silnymi związkami z Szekspirem, jak Gdańsk. Tradycja prezentowania na scenie dzieł stratfordczyka odżyła dzięki Festiwalowi Szekspirowskiemu i idei budowy Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku* — podkreśla Sir Kenneth Branagh, ceniony brytyjski aktor teatralny i filmowy, reżyser, specjalizujący się w twórczości Szekspira. Na przełomie XVI i XVII wieku Gdańsk był dużym i bogatym wielonarodowościowym



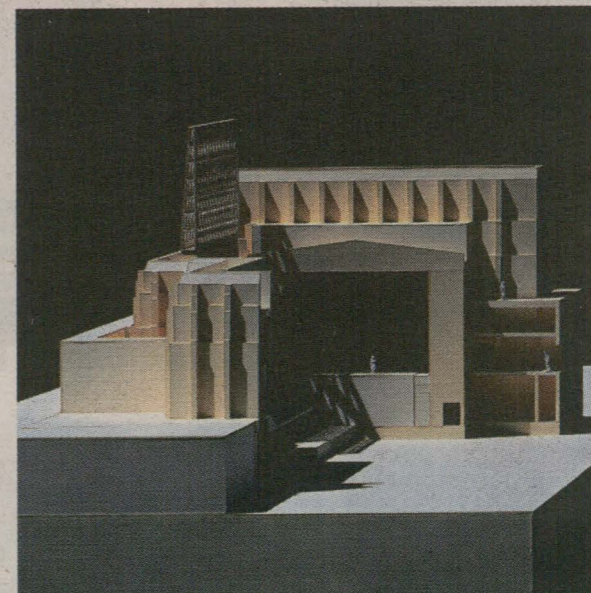
miastem. Miał doskonałą lokalizację, poza gospodarką rozwijały się w nim znakomicie kultura i rozrywka. Około 1600 r. w Gdańsku zaczęli się pojawiać profesjonalni angielscy aktorzy. Prezentowali swój dorobek, bawili mieszkańców, przyczynili się do wykreowania jednego z najważniejszych ośrodków kulturalnych w ówczesnej Europie. Konsekwencją regularnych wizyt aktorów była budowa pierwszego publicznego teatru w Polsce. Budynek funkcjonował jako Szkoła Fechtunku i był jedynym stałym teatrem miejskim przez ponad sto lat. Architektem, który zaprojektował budynek w wersji z 1635 roku był Jakob van den Blocke, Flamand z Mechelen, ze słynnej rodziny artystów, tworzącej w Gdańsku. W latach 1999-2010 prowadzono prace archeologiczne, w wyniku których dr Marcin Gawlicki dokonał sensacyjnego odkrycia i potwierdził

historyczną lokalizację teatru z XVII wieku. Nowy teatr stanie zatem w miejscu swojego historycznego poprzednika.

SZTUKA MIĘDZYNARODOWA

Idea odbudowy teatru elżbietańskiego nie jest związana wyłącznie z rozwojem przestrzennym miasta, ale również z inicjowaniem procesów kulturotwórczych wśród jego mieszkańców. Głównym założeniem GTS jest prezentacja i upowszechnianie kultury teatralnej oraz kreowanie rozmaitych działań artystycznych. Nowy teatr stanie się międzynarodowym forum sztuki, jakiego dotąd w Trójmieście nie było. GTS nie będzie miał stałego zespołu artystycznego, jego repertuar oparty będzie o regularne występy gości z kraju i ze świata. To znaczące wzbogacenie oferty dla miłośników teatru — nie tylko szekspirowskiego, gdyż postawiono na teatr, który nie jest historyczną atrapą, lecz, nawiązując do wspaniałej teatralnej tradycji miejsca, sprosta wymaganiom nowoczesnej dramaturgii. Ponadto, wszystkie działania artystyczne będą ściśle łączyły się z edukacyjnymi.

Niezwykle ważny jest aspekt promocji Gdańska w obszarze kultury wysokiej w skali europejskiej. — *Z pewnością powinien być opracowany taki program działalności, aby siedziba GTS tętniła życiem i obfitowała w wydarzenia kulturalne przez całe dwanaście miesięcy. Aby stała się ważnym miejscem spotkań i atrakcji artystycznych dla gdańszczan, Polaków i turystów z zagranicy* — przekonuje Prezydent Gdańska, Paweł Adamowicz. Takie też są ambicje. Gdański Teatr Szekspirowski będzie



przecież prezentował najwybitniejsze spektakle z Polski i ze świata oraz wspierał i edukował młodych, uzdolnionych twórców. Pomimo tego, że gmach teatru jest jeszcze w budowie, GTS jako instytucja artystyczna rokrocznie prezentuje widzom rozmaite, często niebanalne propozycje. Poprzez oryginalne pomysły i widowiska utrzymane w estetyce performatywności, zarysowuje kształt swojej przyszłej działalności. Obok Festiwalu Szekspirowskiego (17. edycja w tym roku) wśród najbardziej spektakularnych wydarzeń należy wymienić: happening „Aktorzy przyjechali” i „Pierwszy Zjazd Polskich Hamletów w Gdańsku” pod opieką artystyczną Andrzeja Wajdy oraz „Triumf Ognia Ciał i Maszyn” i „Hamleta transgatunkowego” w reżyserii Roberta Florczaka.

WARTOŚĆ TURYSTYCZNA

Bryła GTS, zaprojektowana przez światowej sławy architekta prof. Renato Rizzi, idealnie wpisuje się w kontekst miejsca. Powstaje unikat architektoniczny w skali światowej, który z pewnością w przyszłości stanie się dla turystów — obok słynnego „Żurawia” czy Fontanny Neptuna — jednym z obowiązkowych przystanków na gdańskiej starówce. Projekt teatru jest pod wieloma względami niezwykle. Architekt dokonał istnej rewolucji w sposobie podejścia do rekonstrukcji obiektu historycznego: drewniane wnętrze elżbietańskie umieścił w ciężkiej, ceglanej bryle, niczym skarb w szkatułce. Owa szkatułka otrzyma przy tym wyjątkową funkcjonalność — otwierany dach — przez co możliwe będą przedstawienia pod gołym niebem, przy naturalnym świetle.



NOWOCZESNA INFRASTRUKTURA SCENICZNA

Najbardziej zaawansowany technologicznie sposób funkcjonowania obiektu oraz jego nowoczesna infrastruktura otwierają szeroki wachlarz możliwości aranżacyjnych i scenograficznych. Unikatowe cechy obiektu to nie tylko otwierany dach i ścieżka spacerowa na murach wokół budynku. – *GTS to trzy rodzaje sceny plus wiele rozmaitych kombinacji, to też specyficzna widownia wzorem teatru elżbietańskiego. To daje możliwości, których nie ma żaden inny polski teatr* – zapowiada Włodzimierz Ziółkowski, zastępca Dyrektora Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego. Otwiera to nowe perspektywy dla trójmiejskich wydarzeń artystycznych, przyciągających widzów również z głębi kraju.



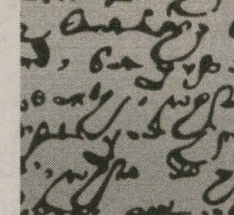
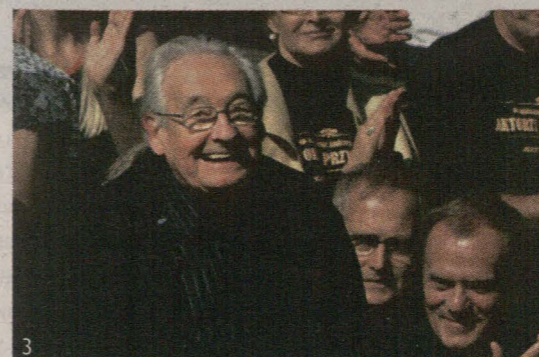
WYKORZYSTAĆ SZANSĘ...

Całkowity koszt inwestycji wyniesie około 86,4 mln zł. Budowa obiektu współfinansowana jest ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (75%), a także obu samorządów (łącznie 25%). Z własnych środków, czyli Miasta Gdańska i Urzędu Marszałkowskiego trudno byłoby takie przedsięwzięcie sfinansować. Koniec wienczy dzieło, więc wszyscy donatorzy i sprzymierzeńcy teatru wyczekują szczęśliwego

finалу inwestycji. Niemniej GTS żyje cały czas, korzystając na razie z gościnności innych scen. Dobrze podsumowują to słowa Mieczysława Struka, Marszałka Województwa Pomorskiego: *Choć budynek wciąż jest w budowie, to możemy bez wątpliwości powiedzieć, że to właśnie Gdańsk jest polskim domem tego największego teatralnego twórcy w dziejach. A zatem: jeżeli Szekspir, to jesteśmy w Gdańsku!*

GALERIA FOTOGRAFII

- 1 „Burza”,
Teatr Narodowy „Marin Sorescu” w Krajowej,
Rumunia (spektakl podczas 16. Festiwalu
Szekspirowskiego w Gdańsku),
fot. Greg Goodale
- 2 Widok placu budowy GTS
– stan z marca 2013 roku,
fot. Tomasz Zerek
- 3 „Aktorzy Przyjechali”,
Uroczystość wmurowania kamienia węgielnego,
fot. Przemysław Marczewski
- 4 „Hamlet Dwoch Czasów: Hamlet Transgatunkowy”,
reż. Robert Florczak,
fot. Grzegorz Mehring
- 5 „Hamlet Dwoch Czasów: Hamlet Transgatunkowy”,
reż. Robert Florczak,
fot. Grzegorz Mehring

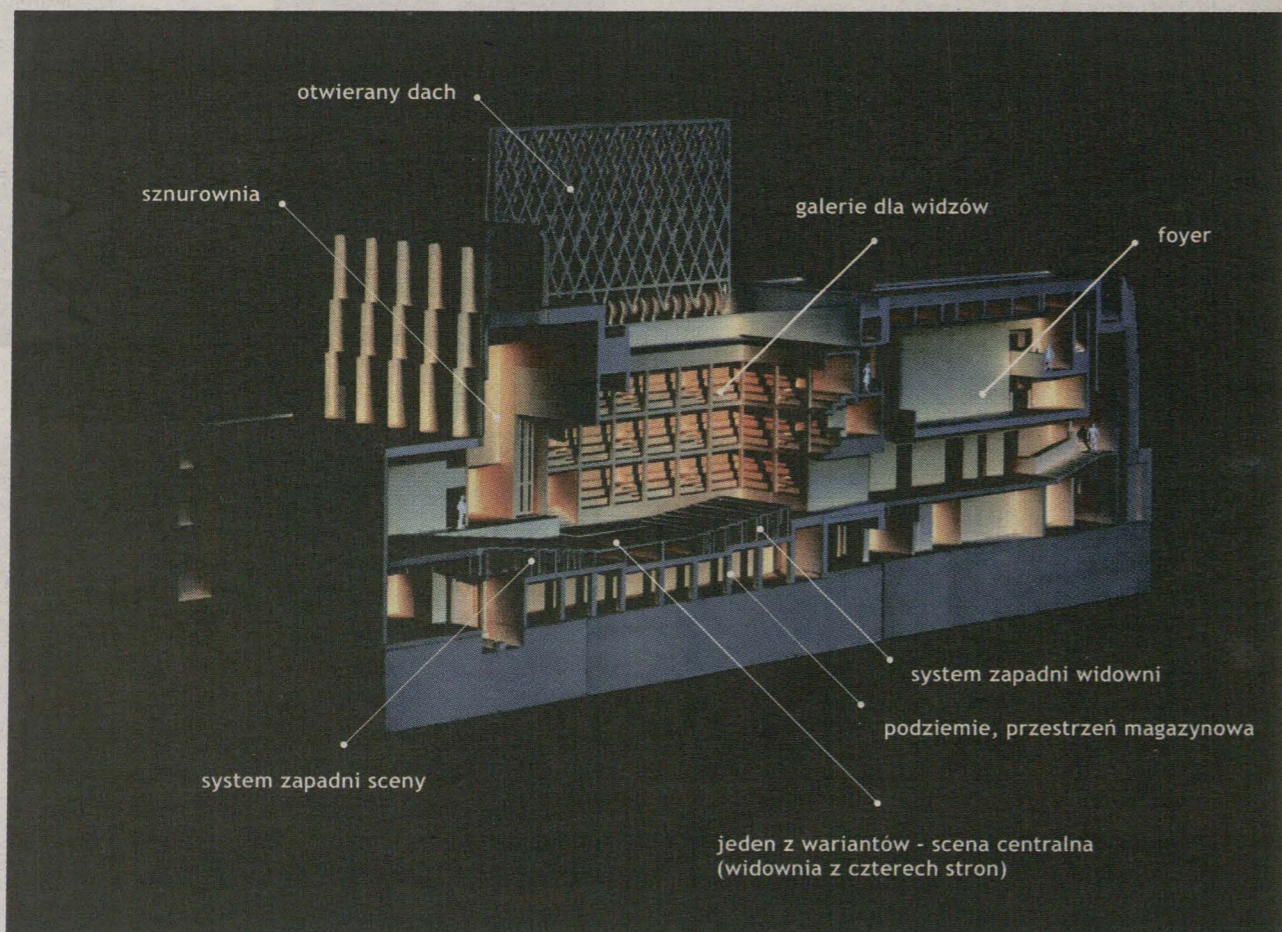


UNIKATOWA IDEA ARCHITEKTONICZNA TEATRU

— PRZEDSTAWIA PROF. RENATO RIZZI, ARCHITEKT GTS



„To niezwykle ciekawe, że w Gdańsku istniał teatr szekspirowski i uważa się, że był to pierwszy elżbietański teatr na kontynencie europejskim. Gdy spojrzymy na stare ryciny, mapy siedemnastowiecznego Gdańska, widzimy piękne miasto. Dzisiaj Gdańsk stracił swój blask i kształt przy innych miastach europejskich. Ale utrata charakteru to cecha kultury naszych czasów. Problem tkwi w tym, jak przywrócić miastu tożsamość, pamiętając o teatrze i Szekspirze. Przyszły teatr ma być spełnieniem marzenia o wolności. Jego dach będzie otwierał się niczym książka. A skoro możemy mieć budynek, którego dach się otwiera, rozwija skrzydła jak ptak, wszystko może się zdarzyć... Dzisiaj nie jest możliwe, aby całorocznie działający teatr stał pod gołym niebem. Jak zatem uzyskać jedno, nie poświęcając drugiego? W ciągu ostatnich trzydziestu lat w Gdańsku stało się coś bardzo ciekawego – pojawiła się Solidarność – najważniejszy ruch społeczny w ostatnich latach w Europie. Celem Solidarności było przywrócenie ludziom godności i wolności. Dlatego też ten teatr będzie przypominał o wolności. To wolność przełożona na architekturę. W takim teatrze będzie możliwy każdy rodzaj widowiska. Swoista architektura teatru ma dać miastu możliwość wyrażenia marzeń.”



Renato Rizzi - jeden z najwybitniejszych i najbardziej niekonwencjonalnych współczesnych architektów. Zwycięca i wyróżniany w wielu prestiżowych konkursach architektonicznych, między innymi na projekt Pałacu Sportu w Trento we Włoszech oraz gmachu Muzeum Egipskiego w Kairze. Współpracował przez 10 lat

ze znanym architektem amerykańskim Peterem Eisenmanem, z którym stworzył projekty: „Romeo i Julia” na Biennale w Wenecji, La Villette w Paryżu, Miasto Sławy we włoskim Rovereto oraz budynek Opery w Tokio. Laureat międzynarodowego konkursu na projekt Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego.

„TEATR JAK ŻADEN INNY”

WYWIAD Z PROF. JERZYM LIMONEM, DYREKTOREM GTS



Kiedy teatr otworzy swe podwoje i „ruszy” z repertuarem na własnej scenie?

JL: Otwarcie planujemy na lipiec 2014, ale to będzie możliwe, jeśli nie pojawią się niespodziewane przeszkody. Szkoda byłoby tracić sezon letni, gdyż nowy teatr, niezwykle w swoim kształcie architektonicznym i wyposażeniu, będzie niewątpliwą atrakcją turystyczną miasta, nie tylko dla teatromanów. Przypomnę, że teatr będzie instytucją o charakterze impresaryjnym, bez stałego własnego zespołu. Oczywiście, na lato chcemy produkować własne przedstawienie szekspirowskie, które będziemy pokazywać wieczorami, a w okrojonej wersji dla turystów w ciągu dnia.

Dlaczego GTS zrezygnował z wykonawcy inwestycji i ogłosił nowy przetarg?

JL: GTS został zmuszony do zrezygnowania z głównego wykonawcy przez niego samego. Po prostu tempo prac spadało z miesiąca na miesiąc i sytuacja nie ulegała zmianie. I to pomimo listów, ponagleń, ostrzeżeń. Myślałem, że tylko za komuny możliwa była sytuacja, że budowa stała, bo „nie dowieźli stali”, ale tu też takie niespodzianki się zdarzały. W końcu sytuacja stała się dramatycznie niekorzystna dla inwestycji, straciliśmy nadzieję na jakąkolwiek zmianę. Tak zwany „przerób” miesięczny wynosił niewielki ułamek tego, co przewidywał harmonogram. Nie było innego wyjścia: musieliśmy wypowiedzieć umowę i ogłosić nowy przetarg.

Nowym wykonawcą została sopocka firma NDI. Jaka przed inwestycją rysuje się teraz perspektywa?

JL: Nowy wykonawca podjął się zakończenia inwestycji w czasie nas satysfakcjonującym, czyli 11 miesięcy. Jeśli zostanie on dotrzymany, teatr będzie ukończony w terminie pozwalającym na otwarcie w połowie przyszłego roku.

GTS to oryginalna inicjatywa w skali europejskiej, a może i światowej, którą Gdańsk chce się pochwalić.

Jak przebiega promocja teatru w świecie?

JL: Promocję dopiero szykujemy. Skuteczna akcja w skali światowej wymaga jednak sporych pieniędzy a takich nie mamy. Chcielibyśmy, żeby władze miasta dostrzegły w teatrze doskonałą okazję do promocji Gdańska, jako miasta tysiącletniej, międzynarodowej kultury. Nasz teatr świetnie do tego się nadaje, łącząc tradycje różnych narodów, Anglików (aktorzy), Flamandów

(budowniczym teatru był Jakob van den Blocke), Niemców i Polaków. Dlatego liczymy na moment otwarcia teatru, przyjazd Wielkich tego świata, no i wynikające z tego nagłośnienie medialne. Marzy nam się też film, taki fabularyzowany dokument, najlepiej wyprodukowany przez BBC o wspaniałej tradycji działalności aktorów angielskich w Gdańsku. Sprawa jest „rozwojowa”.

Z jakim zainteresowaniem GTS spotyka się za granicą?

JL: Przede wszystkim z zaskoczeniem, że już w XVII wieku kontakty teatralne Gdańska z zachodem były tak żywe i intensywne. Niestety, do dziś żelazna kurtyna zbiera swe żniwo: wiedza o naszej kulturze jest zatrważająco niska. Jestem głęboko przekonany, że nasz teatr przebije się przez ten mur niewiedzy, tym bardziej, że planowane działania edukacyjne mają mieć charakter międzynarodowy. Trafienie z informacją do młodzieży jest naszym ważnym celem.

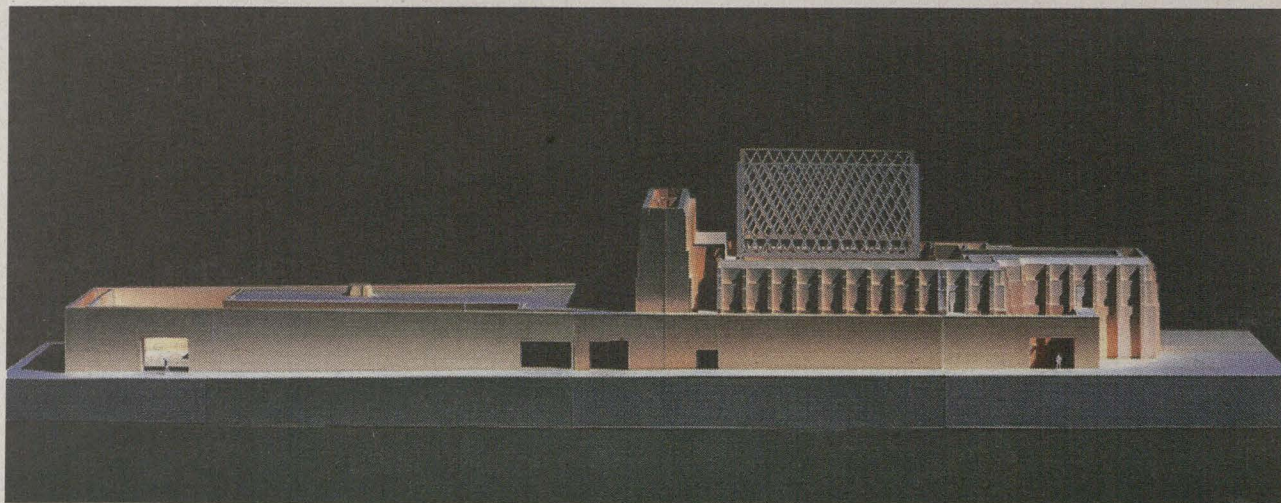
Przybytek kultury w budowie, ale teatr jako instytucja cały czas działa. Czego możemy spodziewać się w najbliższych miesiącach?

JL: W kwietniu planujemy wspaniały koncert flamandzkiej artystki Caroll Vanwelden, która zaśpiewa bardzo ciekawie zaaranżowane sonety Szekspira. Latem to międzynarodowy Festiwal Szekspirowski i sesja naukowa poświęcona „językom władzy / językom sztuki i teatru”. Inspiracją sesji jest 20. rocznica słynnej inscenizacji „Tytusa Andronikusa” Szekspira przez rumuńskiego reżysera Silviu Purcarete. Wydawało nam się, że jest to znakomita klamra czasowa, by się zastanowić nad tym, co się właściwie wydarzyło w ciągu tych dwudziestu lat, w sztuce, teatrze, estetyce, polityce; które z nadziei się spełniły, które nie; jak zmienił się język dyskursu o sztuce, języki sztuki i język polityki / władzy? Jest tu mnóstwo ciekawych zagadnień, dlatego zaplanowaliśmy to jako cykl paneli dyskusyjnych, z udziałem mądrych ludzi z różnych dziedzin, sztuki, polityki, dziennikarstwa, nauki. Planujemy też happening artystyczny „Pierwsze publiczne otwarcie dachu”, najprawdopodobniej na wiosnę przyszłego roku. Zapoczątkuje to szereg wydarzeń artystycznych poprzedzających otwarcie teatru. GTS, wraz z Teatrem Muzycznym w Gdyni, jest również zaangażowany w powołanie nowego kierunku na Uniwersytecie Gdańskim „Zarządzanie instytucjami artystycznymi”.

PATRON IDEI BUDOWY TEATRU SZEKSPIROWSKIEGO W GDAŃSKU
JKW KSIĄŻE WALII

Gdański Teatr Szekspirowski to:

- teatr powstający w miejscu XVII-wiecznej gdańskiej Szkoły Fechtunku, w której wystawiano sztuki Szekspira „pod gołym niebem”
- „postmodernistyczna rekonstrukcja” teatru elżbietańskiego
- budynek teatralny z otwieranym dachem – unikatowy projekt w skali światowej
- pierwszy od niemal czterdziestu lat teatr dramatyczny zbudowany w Polsce od podstaw
- inicjatywa, którą popierają między innymi: Andrzej Wajda, Sir Peter Hall, Kenneth Branagh, Tadeusz Mazowiecki
- nowoczesne centrum sztuki
- atrakcja turystyczna na skalę międzynarodową



Wszystkie zdjęcia makiet pochodzą z biura Generalnego Projektanta Arch. Renato Rizzi; Pro.Tec.O, Pool Engineering



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko. Dla rozwoju infrastruktury i środowiska.

GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI

Ogarna 101, 80-826 Gdańsk, tel./fax: +48 58 304 00 20, gts@teatrszekspirowski.pl

Każdego roku ponad pół miliona Polaków decyduje się na zabiegi estetyczne w gabinetach chirurgii plastycznej. Z roku na rok zainteresowanych jest coraz więcej. Pacjenci najczęściej wybierają: korekcję nosa, powiększenie piersi, plastykę powiek, lifting twarzy oraz plastykę brzucha.

dr n. med. Piotr Osuch
specjalista chirurgii plastycznej



Dziękuję za zaufanie
Piotr Osuch



DANUTA WALEWSKA, ADAM WOŹNIAK

Polskie silikonony, arabska liposukcja

Modelka Adriana Karembeu ma najczęściej kopiowany na świecie kształt nóg. Usta – oczywiście Angelina Jolie, nos – Nicole Kidman, brodę – Sandra Bullock, piersi – modelka Gisele Bündchen, a pupę – Jennifer Lopez. Wszystko to można sobie zafundować, a przy okazji jeszcze pozwiedzać, bo turystyka medyczna kwitnie. Celem wycieczek **amatorów operacji plastycznych** coraz częściej staje się **Polska**.

Za lifting twarzy trzeba w USA zapłacić ok. 16 tys. dolarów. W Polsce za ledwie 2,5 tys. dol. Zabieg liposukcji pośladka kosztujący w Stanach 14 tys. dol. u nas wyceniany jest na 1,5 tys. dol.

na którą przeznaczono ok. 4 mln złotych, ma przyczynić się do zwiększenia atrakcyjności polskiej oferty.

Kto się leczy w polskich gabinetach? Wzdłuż zachodniej granicy najczęściej jest Niemców, na Wybrzeżu sporo przyjezdnych ze Skandynawii. – Mamy ogromny potencjał. Możemy śmiało konkurować z Turcją, która jest liderem na rynku turystyki medycznej w Europie – mówi Magdalena Rutkowska z Ameds Centrum, członka konsorcjum przygotowującego program promocji. Turckie kliniki i gabinety już od sześciu lat promują za granicą swe usługi właśnie w porozumieniu z tamtejszym rządem.

W porównaniu z zagranicą Polska oferuje bardzo korzystne ceny. Za lifting twarzy trzeba w USA zapłacić ok. 16 tys. dolarów. W Polsce za ledwie 2,5 tys. dol. Zabieg liposukcji pośladków kosztujący w Stanach 14 tys. dol. u nas wyceniany jest na 1,5 tys. dol. W przypadku by-pasów ceny wynoszą odpowiednio: 44 tys. i 10,3 tys. dol.

Według raportu globalnej firmy badawczej TechSciResearch dynamiczny wzrost polskiego rynku turystyki medycznej ma być także rezultatem krótkiego czasu oczekiwania na zabiegi oraz bardzo wysokiego poziomu usług. Mamy świetnych lekarzy, wyposażenie gabinetów nie odbiega od tego, co można zobaczyć na Zachodzie. Dlatego według badań Grail Research Polska ma być w Europie jednym z trzech najbardziej perspektywicznych kierunków dla zagranicznych pacjentów.

Tanie zęby z Polski

Ogromnym powodzeniem cieszą się też polskie gabinety stomatologiczne. Nic dziwnego: różnice w kosztach sprawiają, że na leczenie ściągają tłumy Brytyjczyków, Skandynawów czy Niemców. Jeśli np. za wybielanie w Wielkiej

Brytanii trzeba zapłacić równowartość 3 tys. złotych, to w Polsce trzy razy mniej. Za wstawienie implantu, który na Wyspach Brytyjskich oznacza koszt 12 tys. zł, w polskim gabinecie płaci się 4,5–5 tys. zł. Przy czym obcokrajowcy nie muszą się czymkolwiek martwić: jeśli tylko sobie zażyczą, klinika odbierze ich z lotniska, załatwi hotel, nawet poleci restaurację. O barierach językowych nikt nawet nie wspomina. – Cały nasz personel, od recepcjonistek po lekarzy, mówi po angielsku. A ponieważ przybywa nam pacjentów z Włoch, nasi pracownicy posługują się także tym językiem – mówi Jadwiga Szymeczko, menedżer krakowskiej kliniki stomatologicznej Indexmedica. Klinika przyjmuje rocznie ok. 500 pacjentów i dynamicznie się rozwija. Gdy w połowie ubiegłego roku debiutowała na rynku NewConnect warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych, notowała prawie 40-procentowy wzrost obrotów i blisko 50-procentowy wzrost zysku netto.

Medyczny biznes na usługach dla cudzoziemców nie sprowadza się już wyłącznie do zabiegów. To kompleksowa oferta leczniczo-wypoczynkowa. Kliniki mają umowy z hotelami, które oferują pacjentom wycieczki ze zwiedzaniem miast i rekreację z polami golfowymi czy kortami tenisowymi.

Powodzeniem cieszą się także polskie uzdrowiska. – Operatywność lokalnych przedsiębiorców spowodowała, że kuracje lecznicze w naszym uzdrowisku zdominowali Niemcy – mówi Roland Marciniak, burmistrz Świeradowa-Zdroju. Podobnie jest w zachodniej części Wybrzeża. Giełdowa spółka turystyczna Interferie zainwestowała przeszło 100 mln zł w luksusowy 600-miejscowy hotel w Świnoujściu, którego głównymi pod względem liczby gości mają być kuracjusze niemieccy.

Leczenie ponad granicami

Bez względu na koszty promocji o napływie zagranicznych pacjentów decyduje wysokość kosztów ponoszonych na wyjazd do Polski. Aby obcokrajowcom opłacało się przyjeżdżać, różnica w cenach usług musi przekraczać

Polska wyrasta na jednego z liderów światowego rynku turystyki medycznej. Na operację w polskich gabinetach zdecydowało się w ub. roku aż 330 tys. obcokrajowców.

Wartość światowego rynku turystyki medycznej jest szacowana na 40–60 mld dolarów. I rośnie o 20 proc. rocznie. To jedna z najszybciej rozwijających się dziedzin na świecie. Na pierwszym miejscu umacnia się Brazylia, gdzie kult pięknego ciała jest najsilniejszy. Ale jednym z liderów tego wzrostu jest Polska. Według ostrożnych szacunków w ubiegłym roku na zabieg w polskich gabinetach zdecydowało się przynajmniej 330 tys. obcokrajowców. W kasach zostawili 900–950 mln złotych. Dynamiczny rozwój branży sprawił, że rząd zdecydował się nawet zaliczyć turystykę medyczną do grupy 15 polskich specjalności eksportowych, objętych specjalnym programem promocji za granicą. Promocja,

30 proc. Tymczasem wielkość tej różnicy w dużym stopniu kształtują relacje walutowe. A prognozy faworyzują złotego. W miarę jego wzmocnienia atrakcyjność leczenia w Polsce może się zmniejszać. Jednocześnie słabość złotego może też mieć dla polskich gabinetów złe strony. – Materiały do implantów sprowadzamy ze strefy euro. Rosną przez to koszty – tłumaczy Mariusz Duda, właściciel katowickiej Kliniki Implantologii i Stomatologii Kosmetycznej Duda Clinic.

Nową szansą dla polskiego rynku turystyki medycznej ma być tymczasem unijna dyrektywa o leczeniu transgranicznym. Wejdzie w życie jesienią tego roku. – Obywatele krajów unijnych na podstawie ubezpieczenia we własnym państwie będą mogli się leczyć na terenie całej UE. To spowoduje napływ pacjentów tam, gdzie jest dobra jakość, niższe ceny i mniejsze kolejki – twierdzi Artur Gosk, prezes Polskiego Stowarzyszenia Turystyki Medycznej. Jego zdaniem nowe przepisy sprawią, że w Europie branża wzrośnie w najbliższych dwóch-trzech latach nawet pięciokrotnie. A całkiem pokaźną część z tego tortu ma szansę zgarnąć Polska.

Ale zagraniczna konkurencja nie śpi. Dlatego dla przyciągnięcia większej liczby klientów potrzebne będą dodatkowe oferty. Wielu pacjentów klinik chirurgii plastycznej chętnie łączy pobyt w szpitalu ze zwiedzaniem kraju, gdzie zdecydowali się upiększyć czy odmłodzić. To dlatego Budapeszt wygrywa z Warszawą.

Poprawianie celebrytów

Zagraniczni pacjenci klinik piękności niechętnie zdradzają nazwiska. Różnią się tym od polskich celebrytów, którzy publicznie opowiadają nawet o planach „powiększenia punktu G” – jak obieściła to w programie telewizyjnym aktorka Ewa Kasprzyk. Maria Czubaszek przyznała, że poprawiła sobie powieki, a Kayah, że jest po korekcie nosa. Wcześniej zabiegi niemal na oczach czytelników przeprowadziły sobie celebrytki Anna i Maria Bojarskie, po czym chętnie relacjonowały, jak się czuły po odsysaniu tłuszczu.

Doda ma już np. zaplanowane, co zrobi na starość ze zmarszczkami. „Nawet jeśli po latach będę wyglądać tak jak teraz wygląda Brigitte Bardot, czyli będę pomarszczona jak brzoskwinia po przejściach, bez wahania naciągnę się jak guma w gaciach i nie będę się tym przejmować!” – deklaruje w rozmowie z serwisem Polki.pl.

Zagraniczni pacjenci nie zwierają się chętnie z tego, co i kiedy chcą sobie poprawić. Przyznają jedynie, że operacje plastyczne w Polsce i na Węgrzech są dla nich o wiele tańsze niż w klinikach na Zachodzie, a jakość usług jest porównywalna. Do tego stopnia, że na popra-

Zagraniczni pacjenci niechętnie zdradzają nazwiska. Różnią się tym od polskich celebrytów, którzy publicznie opowiadają nawet o planach „powiększenia punktu G”.

wę urody przyjeżdżają do Polski nawet lekarze z Zachodu. Jak znajdują kliniki? Najczęściej w Internecie. Wiedzą doskonale, jakie pytania powinni zadać, zanim zdecydują się na wybór i czemu się przyglądać już na miejscu.

Zabiegi w pakietach

Zdaniem Helmuta Wachowiaka z Uniwersytetu Sztuki Stosowanej w Bad Honnef w Niemczech, który zajmuje się oceną rynku turystyki medycznej, zaczynają się nią interesować również biura podróży, które oferują pakiet operacja plus zwiedzanie. I przypomina, że powodów, dla których cudzoziemcy wybierają „opcję wschodnią”, jest więcej niż jedynie niska cena: krótszy jest czas oczekiwania na zabieg bądź też nie jest on dostępny w ich kraju. Bardzo często zdarza się, że z potencjalnym pacjentem podróżuje jego rodzina, bo po bolesnym zabiegu miło jest mieć obok siebie kogoś bliskiego.

Ale i klinikom niemieckim udaje się ściągnąć zagranicznych pacjentów. Według wycenienia Niemieckiej Rady Turystyki w 2010 r. kliniki piękności w tym kraju ściągnęły 77 tys. cudzoziemców

chętnych do poprawienia urody, którzy wydali 930 mln euro. Byli to najczęściej Amerykanie, bo w ich kraju takie operacje, jak zresztą większość usług medycznych, są horrendalnie drogie. Przyjechali pacjenci z Rosji, gdzie warunki w szpitalach są fatalne, czy wreszcie z krajów Bliskiego Wschodu. Zdaniem prof. Wachowiaka polskie kliniki przy dobrze pomyślanym marketingu bez większych problemów mogą przejąć tych klientów. Tyle że w Niemczech już istnieją wyspecjalizowane agencje podróży, które są w stanie dotrzeć do Amerykanów, Rosjan i Arabów. Stefan Boeckle, dyrektor generalny Heliosa – niemieckiego biura podróży wyspecjalizowanego w takich usługach – podkreśla jednak, że pobyt w klinice musi stanowić część programu, a nie całość oferty. – Naturalnie, jeśli pozwoli im na to ich stan zdrowia po zabiegu – dodaje. Ale tacy klienci oprócz wizyty w klinice najczęściej rezerwują także pobyt w hotelu, limuzynę, nierzadko bilety do teatru czy opery. Boeckle podkreśla jednak, że jeśli jakieś biuro podróży jest zainteresowane taką działalnością, to powinno się pośpieszyć, bo kraje Zatoki Perskiej, zwłaszcza Zjednoczone Emiraty Arabskie, samę starają się wejść w ten segment turystyki. Już budują luksusowe szpitale i zatrudniają w nich specjalistów z Zachodu.

Podczas tegorocznych Międzynarodowych Targów Turystycznych ITB w Berlinie opublikowano raport dotyczący najnowszych trendów w turystyce. Autorzy wskazują w nim, że szukających możliwości zrobienia dobrej operacji plastycznej będzie coraz więcej, bo społeczeństwa się starzeją. Przestrzegają jednak, że pojawiają się nowe zagrożenia, jak chociażby kłopoty z matkami-surogatkami, nie mówiąc o pozyskiwaniu organów do transplantacji z nielegalnych źródeł. To dlatego kraje takie jak Węgry, Czechy i Polska mają zyskiwać na popularności, ponieważ oferują usługi na poziomie za niewygórowaną cenę. Na razie, jak wynika z badań firmy konsultingowej IPK International, 3–4 proc. światowej populacji podróżuje w celu naprawienia sobie defektów urody bądź podreperowania



zdrowia. Ale już 52 proc. Europejczyków dopuszcza możliwość, że mogliby zdecydować się na taką imprezę.

Claudia Staedle z Dr.Holiday, niemieckiej firmy zajmującej się turystyką medyczną, tłumaczy, że wykres wzrostu popytu na takie usługi będzie miał kształt kija hokejowego, czyli będzie rósł bardzo szybko. Dr.Holiday jest częścią niemieckiego biura podróży Rewe i specjalizuje się w ofertach wiązanych, jak na przykład zwiedzanie plus program odchudzający bądź wycieczki np. po Budapeszcie plus wizyta u stomatologa czy też zwiedzanie Stambułu i laserowa chirurgia oka. Ze statystyk podawanych przez Dr.Holiday wynika, że liczba takich wycieczek wzrosła w latach 2003–2007 z 30 do 300 tys., a Staedle prognozuje wzrost w tym roku o przynajmniej 18 proc. Dla porównania według danych Międzynarodowej Organizacji Turystycznej liczba turystów ogółem ma się w tym roku zwiększyć o ok. 4 proc.

Nie wszystko się udaje

Czy są zagrożenia związane z operacjami plastycznymi? Pewnie, że są. Tak jak w przypadku wszystkich innych zabiegów chirurgicznych. Pol-

Operacje plastyczne nie zawsze się udają. Brytyjski „Daily Mail” pisał ostatnio o Brytyjce, której odwróciła się silikonowa wkładka w pośladku.

ska pisarka i malarka Hanna Bakuła przez lata procesowała się po tym, jak uznała, że podczas liftingu została zakażona gronkowcem złocistym. Proces trwał dziewięć lat, zakończył się w sierpniu 2012 r. uniewinnieniem lekarza, który ten zabieg przeprowadził. Brytyjski „Daily Mail” pisał niedawno o Brytyjce, której odwróciła się silikonowa wkładka w pośladku i zamiast kształtnej pupy wg kultowego brazylijskiego wzoru miała jeden pośladek, z którego sterczała proteza. 25-letnia Laura Yardley za 4 tys. funtów zrobiła sobie w Wielkiej Brytanii operację powiększenia biustu z rozmiaru A do DD, bo nie chciała wyglądać jak chłopak. Jej problem zaczął się, gdy jedna z wkładek wypadła po tym, jak puścił szew.

Klinika uznała reklamację, stwierdzając, że organizm odrzucił implant, ale pacjentka musiała poczekać siedem miesięcy na ponowną operację, bo rana po pierwszym zabiegu musiała się zabliznić. Ostatecznie powtórna operacja się udała. Teraz jednak Yardley ostrzega: „Trzeba się dobrze zastanowić, czy jesteśmy gotowi na konsekwencje, kiedy taka operacja się nie uda”.

Piosenkarce Tony Braxton, która wydała kilkadziesiąt tysięcy dolarów na poprawę biustu, w jednej z piersi eksplodowała silikonowa wkładka. Od tego czasu mówi, że ma do skalpela zdrowy dystans. Jamie Lee Curtis też miała złe doświadczenia, bo kiedy odessała sobie tłuszcz z ud, okazało się, że wygląda nieproporcjonalnie, ponieważ gdzie indziej ma go zbyt dużo. – Od tej pory nie mogę się pokazać w kostiumie kąpielowym – przyznaje.

W Polsce zainteresowanie chirurgią plastyczną wzrosło od emisji programu „Sekrety chirurgii” o klinice, którą kieruje dr. Marek Szczyt. Teraz na operację trzeba w niej czekać nawet dwa lata. Nie ma jednak mowy, aby wyciągnąć od chirurga jakiegokolwiek nazwisko pacjenta, który sam publicznie nie ujawni, że przeszedł taki zabieg – jak zrobiła to właśnie Maria Czubaszek. Natomiast nie ukrywa on, że jeśli słyży, iż jakiś pacjent chce wyglądać jak Brad Pitt czy pacjentka jak Catherine Zeta-Jones, to trzeba ich przede wszystkim skierować do psychologa. I przyznaje: – Chirurg nie jest czarodziejem. Wszystkiego nie jestem w stanie zrobić, zwłaszcza gdy widzę, że pacjent ma zupełnie inny problem.

Mario Armando Lavandeira Jr., czyli Perez Hilton



MARIANNA SASKA

Bogowie blogosfery

Popularny bloger jest jak gwiazda rocka. Ma fanów, których inspiruje. Są blogerzy bardziej wpływowi niż politycy, inni posiadają własne imperia medialne. Są i indie blogerzy, którzy bojkotują wielkie wytwórnie i bezpośrednio docierają do wąskiej grupy odbiorców. Są i tacy, którzy ryzykują życie, aby przekazać prawdę o otaczającej ich rzeczywistości.

Internet pęka w szwach od rankingów próbujących uporządkować blogosferę. Najlepsze blogi. Najpopularniejsze blogi. Najbardziej wpływowi blogerzy. Jak ocenić, kto jest tak naprawdę najbardziej wpływowym autorem w sieci? Nie da się. A czy da się zrobić listę największych gwiazd rocka? Można spróbować, posługując się faktami. Liczbą sprzedanych płyt czy nagród Grammy. Dla blogerów może to być liczba followerów na Twitterze, e-mailowych subskrybentów, miesięcznych odwiedzin strony. Nuda. Poniżej przedstawiamy więc naszą subiektywną listę najciekawszych światowych blogerów. Każdy z nich na swój sposób zmienia świat. W większości przypadków na lepsze.

BeppeGrillo.it

Włoski polityk i bloger Beppe Grillo zaczynał karierę jako komik występujący w klubach, a potem w telewizji. W krótkim czasie udało mu się obrazić najbardziej prominentnych włoskich polityków. Doszło nawet do tego, że pod koniec lat 80. dostał zakaz występów w telewizji publicznej.

Misją Grilla jest oczyszczenie włoskiej sceny politycznej. Walczy ze status quo, korupcją i skandalami. W blogu opublikował listę parlamentarzystów, którzy byli skazani za jakiegokolwiek, nawet najdrobniejsze przewinięcia. Publikację nazywa Operacją Czysty Parlament. Beppe twierdzi, że nawet najniebezpieczniejsza dzielnica Neapolu ma niższy odsetek przestępców niż włoski parlament.



GIUSEPPE CACACE/APP

Grillo jest propagatorem wolnego Internetu. Wokół bloga BeppeGrillo.it zrzesza tysiące ludzi i za jego pośrednictwem organizuje uliczne demonstracje. Skutecznie udaje mu się omijać tradycyjne media i bojkotować telewizję. Swoją misję głosi w Internecie i na ulicach.

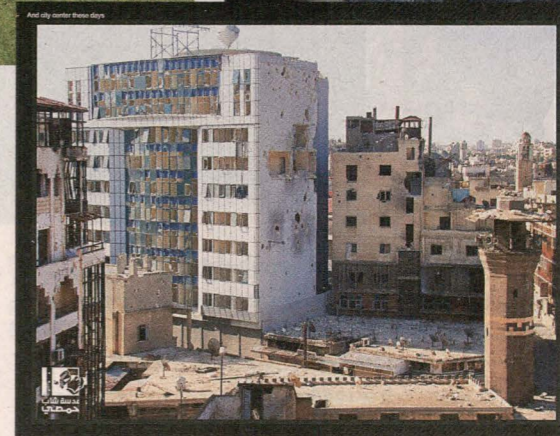
Jest nazywany księciem-clownem włoskiej polityki. „Moje słowa to moje pistolety. Zaczęłam coś, czego nikt nie będzie w stanie powstrzymać. To jest epidemia, ale ludzie wreszcie odnaleźli utraconą nadzieję” – mówi w CNN. A ze sceny krzyczy do wiwatującego tłumy: „Oni nadal nie rozumieją, co zmierzają w ich stronę!”

W 2009 r. Grillo założył ruch polityczny Movimento 5 Stelle (Ruch Pięciu Gwiazd). Sam Beppe nie kandyduje w wyborach. Jednym z powodów jest to, że w 1980 r. został uznany za winnego spowodowania wypadku drogowego, w którym życie straciły trzy osoby. W wyborach parlamentarnych w 2013 r. Ruch Pięciu Gwiazd zdobył ponad 25 proc. głosów.

Grillo jest krytykowany jako demagog i populistę. Przeciwnicy wytykają mu także styl życia, który nie zawsze stoi w zgodzie z jego postulatami, np. ekologicznym – wypominają blogerowi, że miał kiedyś jacht motorowy i ferrari.

IrinaGundareva.com

– Od dziecka marzyłam, żeby być dziennikarką, ale sądziłam, że nie mam



Na górze: Beppe Grillo, po prawej: Irina Gundareva, poniżej: zrzut z ekranu z bloga Big Ala.

talentu. Kiedy w końcu nią zostałam, chciałam być wolna. Nienawidzę kłamstwa, doprowadza mnie do szaleństwa. Gdy w redakcji natykałam się na cenzurę, zmieniałam pracę. W Rosji historie o korupcji są automatycznie blokowane. Nikt nie wyjaśnia dlaczego, to nieistotne. Właśnie dlatego zaczęłam prowadzić blog – opowiada w reportażu telewizyjnym Al-Dżazira Irina Gundareva, autorka bloga IrinaGundareva.com.

Irina mieszka w Czelabińsku, wielkim ośrodku przemysłowym na Uralu. Jednym ze skandali, które próbuje ujawnić, jest niewolnicza praca nielegalnych emigrantów na lokalnym wysypisku śmieci. Zabiera tam reportera Al-Dżaziry. W slumsach mieszkają przestraszeni ludzie, uciekają przed kamerą, ktoś dzwoni po „szefa”. „Będzie niebezpieczny” – ostrzega Irina. „Współpracuje z lokalnymi władzami, nienawidzi dziennikarzy. I dlatego lokalne media nie pokazują tego, co się dzieje na wysypisku. Tylko blogerzy i inni szaleńcy opisują takie rzeczy”.



ALISSA DE CARBONNEL/REUTERS/FORUM

Wywiązuje się szarpanina, „szef” próbuje wyrwać kamerę, straszy. „Moje dorosłe dzieci wiedzą, co robię. To im się nie podoba, więc próbują mnie powstrzymać. Ciągłe się o mnie martwią. Moja córka raz wpadła w histerię. Podpalono mój garaż, synowi podrzucono marihuanę, przetrzymywano mnie nielegalnie na komendzie policji, ciągnano po sądach. W końcu zrozumiałam, że nie powinnam mówić dzieciom o tych wszystkich perypetiach”.

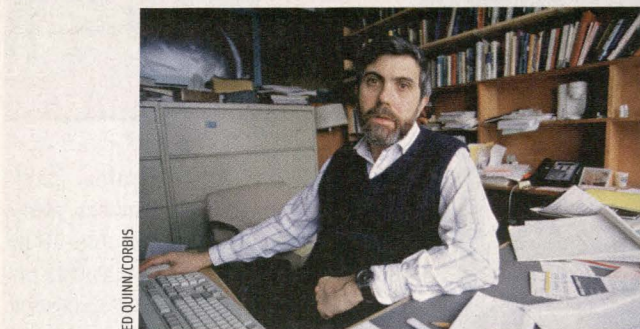
Kiedy Irina zaproponowała swoje mu wydawcy opublikowanie historii o wysypisku śmieci, odmówił. Chce najpierw się przekonać, jaka będzie reakcja władz po tym, jak Gundareva opisze historię w blogu.

BigAlBrand.blogspot.com

Big Al nie jest bohaterem. Kiedyś walczył o wolność, teraz stara się przeżyć. Al mieszka w Syrii, w Homs. Ogląda Simpsonów i słucha Nine Inch Nails. Lubi gotować. O swoim codziennym życiu pisze w blogu „Thoughts and feelings of a Syrian freedom fighter” (Myśli i uczucia syryjskiego bojownika o wolność – BigAlBrand.blogspot.com).

Protesty w Syrii rozpoczęły się w marcu 2011 r. Al był jednym z młodych ludzi, którzy wyszli na ulice. Wierzył, że protesty przyniosą wolność, jak w Egipcie i Tunezji. Ale nie w Syrii. Al zaczął blogować we wrześniu 2011 r., w swoim pierwszym poście napisał: „Nadchodzi wielki, zły wilk. Nikt nie wie, jak wygląda”. Kiedy zginął jego przyjaciel, Al napisał wiersz. Był zaskoczony tym, jak

GRUBE SPRAWY



THE SARTORIALIST

HOME SEARCH ARCHIVES PRESS BIOGRAPHY CONTACT BOOKS

Thursday, December 20, 2012

Style Profile...Ni'ma Ford



Prints!
American Apparel

CATEGORIES

- Men
- Women
- Fashion Shows
- Book Posters
- Style Profiles
- Vintage Photos

To browse photos by tags, keywords...
Use the advanced search

RANDOM POSTS

TIM KNOX/EAST NEWS



Todd Selby,
po prawej: blog
Marii Popovej



The It-Doesn't-Matter Suit: Sylvia Plath's Lovely, Little-Known Vintage Children's Book

By: Maria Popova

A charming cautionary tale about the perils of self-consciousness.

Sylvia Plath — celebrated poet, little-known artist, lover of the world, repressed "adict of experience", steely romantic — and children's book author? Given my soft spot for lesser-known vintage children's books by famous literary icons, I was delighted to discover *The It-Doesn't-Matter Suit* (public library) — a charming children's story Plath penned shortly before having her first child. Though her journals indicate it was written on or immediately before September 26, 1955, it wasn't until March of 1996 that the tale saw light of day with its first — and only — publication, featuring wonderful illustrations by German graphic designer and artist Rolfert Susanne Berger.



about

support

contact

bookshelf

newsletter

Ritzy Jukebox

sound

newsletter

Brain Pickings has a free weekly e-newsletter signed by Maria Popova and offers the weekly book picks, news, an excerpt, a link sign up.

Name

Email

Subscribe

Tip Jar

Brain Pickings receives advice and takes hundreds of hours a month in research and writing, and thousands of dollars to sustain. If you find any of our work to be helpful, please consider becoming a member and supporting with a recurring monthly donation of your choosing, between a cup of tea and a good dinner.

\$2 / month

Subscribe

You can also become a one-time patron with a single donation in any amount.

Subscribe

love's

high

trikes

it

drawings man

wiele osób go przeczytało i skomentowało. Postanowił kontynuować.

Dziennikarzom trudno zdobyć wiarygodne informacje pochodzące z Syrii. Relacje prasowe często opierają się na filmach i skrawkach informacji publikowanych w Internecie przez mieszkańców Syrii. Niektóre z nich okazują się nieprawdziwe. Stacja CNN dokładnie zbadała blog Ala i potwierdziła jego autentyczność.

Noblista bloguje

Paul Krugman to jeden z najbardziej znanych światowych ekonomistów. Jest laureatem Nagrody Nobla, profesorem na Uniwersytecie Princeton i publicystą „New York Timesa”. W serwisie internetowym gazety prowadzi blog „The Conscience of a Liberal” (Sumienie Liberała, krugman.blogs.nytimes.com).

Na początku tego roku w Stanach Zjednoczonych krążyły plotki o tym, że Krugman zostanie nowym sekretarzem skarbu. Noblista w odpowiedzi napisał, że bardzo mu miło, ale to okropny pomysł. Przy okazji w blogu opisał, jak widzi swoją rolę w życiu politycznym. „Bycie publicystą »Timesa« to poważne zadanie – jestem wdzięczny za to, że mi je powierzono. Ci, którzy wiedzą, jak efektywnie sprawować tę funkcję, mają znacznie większy wpływ na debatę na-

Powyżej: Arianna Huffington, poniżej: Paul Krugman, po prawej: blog Scotta Schumana

rodową niż, powiedzmy, większość senatorów. Czy ktokolwiek wątpi w to, że Biały Dom zwraca uwagę na to, co piszę? (...) Z mojego rachunku wynika, że praca w rządzie, nieważne na jak wysokim stanowisku, zmniejszyłaby mój wpływ. Sprawiałaby, że nie byłbym w stanie mówić publicznie tego, co naprawdę myślę. Poza tym najprawdopodobniej nie umiałbym wiele zdziałać w wewnętrznych debatach”.

PerezHilton.com

Perez Hilton to postrach celebrytów. Od 2005 r. w blogu PerezHilton.com publikuje plotki na temat ludzi show-biznesu. Informuje świat o tym, kto nie przyznaje się do bycia gejem, kto jest na odwyku, a kto nie nosi majtek. Dziś Hilton sam doskonale czuje się w roli celebryty. Jego prawdziwe personalia to Mario Armando Lavandeira Jr., a pseudonim utworzył z przekręconego imienia Paris Hilton i jej nazwiska.

Po pięciu latach ostrej blogowej jazdy Perez spokorniał. Podobno stara się

być lepszym człowiekiem... „Żałuję wielu rzeczy. Jestem świadomy swojej przeszłości, nie próbuję od niej uciec ani się przed nią chować, ale nie będę też przez nią definiowany” – powiedział w wywiadzie dla CNN.

Odnowa Pereza rozpoczęła się od tego, że wziął udział w kampanii przeciw prześladowaniu nastoletnich gejów (Perez sam jest homoseksualistą). Zdziwiło to celebrytkę Khloé Kardashian, którą Hilton wielokrotnie nękał w swoim blogu. Wtedy Hilton zapowiedział, że przestanie dokucać gwiazdom, nawet jeśli jego strona straci przez to na popularności. Rozszerzył też działalność o inne blogi: CocoPerez (blog modowy), FitPerez (serwis o fitnessie), TeddyHilton (o prawach zwierząt) i Perezitos (o gwiazdach i ich dzieciach).

Wyspij się!

Arianna Huffington, założycielka The Huffington Post, dziennikarka, autorka książek i polityk, urodziła się w Grecji. Wykształcenie zdobywała w Wielkiej Brytanii i dopiero w latach 80. trafiła do USA, by tam zrobić karierę medialną. Jej największy sukces, HuffPost, to serwis informacyjny i zbiorowy blog, który w 2011 r. został kupiony przez AOL za 315 mln dolarów. Arianna nadal jest szefową serwisu.

Wokół postaci Huffington i Huffington Post nie brakuje kontrowersji. HuffPost został zbudowany na dziennikarstwie obywatelskim: dziesiątki amatorów i bardziej doświadczonych publicystów piszą za darmo na łamach serwisu. Dlatego sprzedaż Huff Post spotkała się z falą negatywnych opinii, a nawet procesów sądowych. Przeciwnicy Arianny porównywali serwis do plantacji, na której pracują niewolnicy. W odpowiedzi w jednym ze swoich postów Huffington zacytowała Matta Welcha z serwisu Reason.com: „Istnieje podstawowa różnica pomiędzy niewolnictwem i własną decyzją, żeby na ochotnika pisać do jednego z najbardziej popularnych serwisów politycznych w kraju. Dla przykładu w przypadku niewolnictwa można było zostać pozbawionym wolności, rozdzielonym z rodziną, wychłostanym przez nadzorcę i zgwałconym przez szefa”.

Arianna jest ostatnio zaangażowana w nową misję. Wszystko zaczęło się od tego, że pięć lat temu straciła przytomność z wycieńczenia. Zemdlała w pracy przy biurku i złamała kość policzkową. Niedawno przydarzyło się to również Hillary Clinton. Obie kobiety zapracowały się do nieprzytomności. Dlatego Arianna stara się uświadamiać

ludzi, zwłaszcza kobiety, jak ważny jest sen i odpoczynek. Według niej to kobiety będą przewodzić społecznej zmianie i zdefiniują pojęcie sukcesu. „Ostatnio jadłam obiad z mężczyzną, który chwalił się, że spał tylko cztery godziny” – opowiadała na konferencji TED. „Pomyślałam wtedy: »Wiesz co, gdybyś przespał się pięć, to spotkanie byłoby znacznie bardziej interesujące!«”.

Arianna jest zaangażowana w politykę, starała się nawet zostać gubernatorem Kalifornii w 2003 r. (został nim wtedy Arnold Schwarzenegger). Ponieważ sama jest emigrantką, wyrosła na idei american dream, która według niej jest rujnowana przez obecnych polityków. Jej najnowsza książka jest zatytułowana „Ameryka Trzeciego Świata: Jak politycy porzucają klasę średnią i sprzeniewierzają się amerykańskiemu marzeniu”.

TheSartorialist.com

Dziennikarstwo i fotografia modowa od zawsze były zarezerwowane dla elity zrzeszonej wokół takich tytułów jak „Vogue”, „Elle” czy „Harper's Bazaar”. Niedostępny światek nowojorskich fashionistów. Ale i ich osiągnęła blogowa rewolucja. Rozpoczął ją Scott Schuman.

W 2005 r. Schuman rzucił pracę w branży modowej, żeby zająć się córką. Przy okazji zaczął chodzić po mie-

ście z aparatem. Kiedy zauważył kogoś szczególnie ciekawie ubranego, robił mu fotę. Niedługo potem zaczął umieszczać zdjęcia w blogu TheSartorialist.com.

Jego styl to fotografia uliczna połączona z modową. To, czy Schuman rzeczywiście jest dobrym fotografem, może podlegać dyskusji... Jak sam przyznaje, nie interesuje go wnętrze ludzi, których fotografuje, tylko ich styl.

Ostatni krzyk mody z The Sartorialist? Klapki Birkenstock i grube, wełniane skarpety. „To pomysł dla kobiet i mężczyzn. Sam muszę się przełamać i kupić parę. Żeby dobrze wyglądać, nie chodzi tylko o model buta, ale dopasowanie go do odpowiedniej skarpety. Ten styl jest odpowiedni tylko w październiku, listopadzie, kwietniu i maju, więc lepiej się pośpiesz” – radzi Schuman.

TheSelby.com

Zdjęcia odjechanych domów zdominowały serwis Pinterest, a wnętrzarskie blogi mają się całkiem nieźle. Jednak żeby wyjść ponad przeciętność, trzeba nawet do najoryginalniejszego designu podejść w jeszcze bardziej oryginalny sposób. Wie o tym doskonale Todd Selby, twórca bloga TheSelby.com. Trudno go właściwie nazwać blogiem dekoratorskim. Selby fotografuje ciekawych ludzi, zwłaszcza artystów w ich naturalnym środowisku – brooklyńskich mieszkaniach, pracowniach w Tokio czy meksykańskich hacjendach.

Selby zaczął blogować w 2008 r. Najpierw po prostu wrzucił na stronę zdjęcia znajomych zrobione w ich mieszkaniach. Czytelnicy z całego świata zaczęli zapraszać go do swoich domów. Dziś 100 tys. internautów dziennie odwiedza jego blog, a wielkie koncerty błagają o współpracę.

Selby nadal przyjmuje zaproszenia. Żeby zaproponować sesję, należy wysłać cztery zdjęcia domu i dwa osoby, którą Selby ma sfotografować.

Brainpickings.org

Swoim blogiem Maria Popova udowadnia, że prawdziwa, niezależna publicystyka jeszcze nie umarła. 28-letnia

My name is Heather B. Armstrong (some of you may remember me as Heather B. Hamilton):



dziennikarka pisze o kulturze i wszystkim, co ją interesuje, czyli przede wszystkim o książkach. Urodziła się w Bułgarii, studiowała w USA i tam już została.

W publicznych wystąpieniach często porusza problem, jakim jest finansowanie prasy internetowej, a przede wszystkim inicjatyw „indie i hippie”, jakim jest jej własny blog. W jaki sposób sama wiąże koniec z końcem?

W jej blogu nie ma reklam, współpracuje jednak z serwisem Amazon – jeśli czytelnik kupi książkę, używając jej linka, ona dostaje prowizję (czyli stosuje affiliate marketing). Jednak głównym źródłem przychodu bloga są bezpośrednie darowizny od czytelników. Okazuje się, że ludzie wspierają to, na czym im zależy – inaczej jej blog nie miałby racji bytu.

Popova nie uważa, że reklamy są złe, ale martwi ją, że jest to prawie jedyny znany sposób na finansowanie dziennikarstwa. Krytykuje fakt, że studenci nie są uczeni tego, jak inaczej zdobywać fundusze.

Dooce.com

Personal blogging jest dziś coraz mniej popularny, a przede wszystkim mało

dochodowy. Bardzo niewiele blogerom reprezentującym ten rodzaj pisania udało się osiągnąć internetowy sukces. Jedną z nich jest Dooce, czyli Heather B. Armstrong. Z opowiadania o swoim życiu jest dziś w stanie utrzymać rodzinę.

Dooce wychowała się w mormońskiej rodzinie, przez co jako dziecko była outsiderką. Po studiach przeprowadziła się do Kalifornii, gdzie pracowała jako web designer. Ponieważ po studiach odeszła z Kościoła, opisuje siebie w tym okresie jako „mormonkę na odwyku”. Jak wspomina: „Moje życie było wypełnione prezentacjami w PowerPointie i tequilą. Chodziłam na randki z aktorami i spotkałam kilku celebrytów. Wszystko, co kiedykolwiek słyszałeś o Los Angeles, to prawda. Zwłaszcza korki i aktorzy: naprawdę są okropni”.

To wtedy Dooce zaczęła pisać blog. Pisała o kulturze, muzyce i życiu singielki. Po roku wyrzucono ją z pracy, bo o niej też pisała. „Moja rada: NIE BĄDŹ GLUPI. Nigdy nie pisz o swojej pracy w Internecie. Chyba że twój szef wie o tym i aprobuje to, ŻE PISZESZ O PRACY W INTERNECIE”.

Ta historia nie zniechęciła Haether, która nadal dokumentowała swoje życie

Po lewej: Dooce, czyli Heather B. Armstrong, po prawej blog Clotilde Dusoulier.

Chocolate & Zucchini

about recipes books contact newsletter

follow c&z



Like us! 14 yrs.

search c&z

Custom Search

Search

about c&z

about Press & Awards Articles by Clotilde French Version Index

tools

Food Glossary Conversations Pink Food Markets Index

features

Recipe Index Index by Ingredients Feature Gallery Links

can't get it out of my head

Home by Edward Sharpe and the Magnetic Zeros

now reading



About Chocolate & Zucchini

Chocolate & Zucchini is a blog written by Clotilde Dusoulier, a 33-year-old Parisian food writer who shares her passion for all things food-related.

Here you'll find recipe ideas and cooking inspiration, plus musings on quirky ingredients, cookbook acquisitions, nifty tools, and restaurant experiences.

The blog was created in September of 2003 as a creative outlet. One thing led to another, some media attention was received, a book deal was signed, a day job was quit, and a new life as a full-time food writer began.

Clotilde Dusoulier now writes food and travel articles for magazines in English and in French, writes and edits guidebooks, and works as a recipe developer, public speaker, and food trend consultant.

If you have a project you'd like to discuss, please get in touch!



Clotilde

Frequently Asked Questions

Why Chocolate & Zucchini?

It is a good metaphor for my cooking style: the zucchini illustrates my focus on healthy and natural eating, fresh produce, artisan goods, and a preference for organic and local ingredients. And the chocolate represents my decidedly marked taste for baking in general, and chocolate in particular.

Although it wasn't what I had in mind initially, I later discovered that the two ingredients make quite the happy couple, in both [sweets](#) and [savoury](#) recipes.

How do I subscribe to Chocolate & Zucchini?

There are various options, all of them free.

- You can subscribe to the [c&z newsletter](#): it is sent out at the beginning of each month and includes news and announcements, as well as a digest of recent entries. Naturally, your email will never ever be used for any other purpose than sending you news from C&Z, and each newsletter you receive will include a link to unsubscribe.

- You can subscribe to the [RSS feed](#).

online. W jej blogu można przeczytać o tym, jak została bezrobotną alkoholiczką, poznała męża, mieszkała u matki w piwnicy, urodziła dziecko i jak cierpiała z powodu depresji poporodowej, przez którą wyłudowała w psychiatryku.

ChocolateAndZucchini.com

Rok 2003 był przełomowy dla blogów kulinarnych. Powstało wtedy kilka najbardziej prominentnych i do tej pory popularnych blogów poświęconych jedzeniu. Jednym z nich jest „Chocolate & Zucchini” (Czekolada i Cukinia) prowadzony przez Clotilde Dusoulier. Paryżanka, z wykształcenia inżynier oprogramowania, zaczęła pisać po to, by wyrzucić z siebie kreatywną energię. Była pierwszą tego typu blogerką we Francji. Dzisiaj bloguje na pełen etat, pisze książki i występuje publicznie.

Clotilde uczyła się gotować od mamy i babci. Dla „The Telegraph” tak opisała początek swojej blogerskiej kariery: „Kiedy skończyłam studia informatyczne i pojechałam pracować w Kalifornii, zorientowałam się, na czym polega moje kulinarne dziedzictwo. Po raz pierwszy musiałam sama dla siebie gotować i przez dwa lata uczyłam się nowych technik. Ciągłe odwiedzałam mnie znajomi i nie narzekali! Zaczęłam pisać blog ChocolateAndZucchini.com w 2003 r., żeby dzielić się tym, co odkryłam, z większym gronem odbiorców. Zorientowałam się, że pisanie



About Johnny B. Truant



I'm the one on the right.

I do two basic things.

You could be here looking for two totally different guys, but lucky you... I am both of them. So let's talk about me and my two sides. I can do that, because this is my site.

The two things I do are writing novels and talking about becoming “legendary”, which is my own hard-edged, punch-you-in-the-face-because-I-love-you brand of human potential and personal development.

Let's talk about each in turn, shall we?

Firstly, I write novels.

I've got a fairly impressive roster of books for sale today, but it didn't use to be that way. Let's take a journey in the Way-Back Machine...

Writing was my first love. I remember banging out a story on my grandmother's typewriter when I was like eight. All I remember about this story was that some guy was pushed into a super electric fence and exploded. This may or may not have been my first attempt at a story, because around the same time, I wrote a story about my cat Bob (who was female) and my stuffed dinosaur Staggy. This story contained the iconic line, “God jod Bob. I biev we ned this jod.” It also contained the epiphany that “Bob was to dom.”

Fast forward to high school, where I wrote a column for the newspaper. One of these spoke about how Barney was evil. (Ironic, looking back, that so much of my early writing centered around dinosaurs.)

I wrote my first real novel in 1999, while I was going what the experts call “shit out of my motherfucking mind” working a job that was stealing my soul. I wrote it as a way of reliving my happier days in college, then tried to submit it for publication, then gave up because nobody can actually make money selling stories. At least not in 2000, they couldn't.

In 2012, I dusted off that old manuscript, gave it a severe edit, and published it on Amazon. That book is now *The Bialy Pimps* and is my personal favorite out of all of my books. It didn't sell many copies at first, because I didn't know what I was doing. I didn't understand that you can't “publish and pray” anymore, and that while you can indeed make money selling stories today, you actually have to work your ass off to make it happen.

Fortunately, I had a friend, Sean Platt, who was working with a partner and actually damn near making a full-time living publishing fiction. I told Sean that we should do a podcast about self-publishing, despite the fact that I'd done it exactly once. Sean told me that he and his partner Dave were already planning to do a podcast. In retrospect, I now realize that Sean and Dave would NEVER have started that podcast, but at the time I did what felt like butting in, and together we launched the *Self Publishing Podcast*... and then later, *Better Off Undead*.

ojejzeniu sprawia mi większą przyjemność niż pisanie programów komputerowych”.

JohnnyBTruant.com

Johnny B. Truant (JohnnyBTruant.com) od zawsze chciał być pisarzem. Nie mógł znieść normalnej pracy, wpadł w tarapat, zżerał go stres. Wreszcie wziął się w garść. Dzisiaj żyje z pisania i pomagania ludziom w osiąganiu ich własnych celów. „Pierwszą powieść napisałem w 1999 r. Przechodziłem wtedy przez fazę, którą eksperci nazywają totalnym wyjebanieniem na pracę, która krađa moją duszę. Zaczęłem więc pisać, żeby jeszcze raz przeżyć szczęśliwe dni, które spędziłem w college'u. Następnie spróbowałem tę powieść opublikować. Po czym dałem sobie spokój, bo i tak nikt nie jest w stanie zarobić na sprzedaży historyjek. Tak przynajmniej było w 2000 r.”

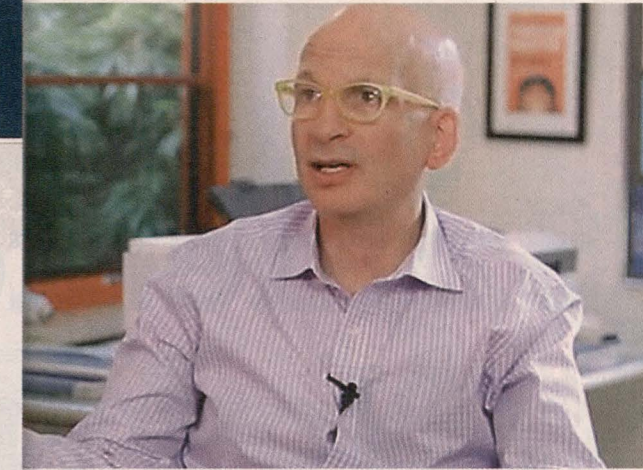
W 2012 r. Johnny odnalazł manuskrypt swojej powieści i opublikował ją na Amazonie. „Nadal się nie sprzedawała, więc już zupełnie nie miałem

pojęcia, co robić. Nie wiedziałem, że nie wystarczy już opublikować i się przeżegnać. Żeby dziś zarobić na sprzedaży historii, trzeba się przy tym cholernie napracować”.

Oprócz pisania książek Johnny prowadzi blog, na którym uczy ludzi, jak zostać żywą legendą. „Bycie legendarnym polega na tym, żeby być jak najzajebistym pod wszystkimi możliwymi względami w totalnie prawdziwy i nieprzekłamany sposób”.

Ale blog Truanta wcale nie jest skierowany do aspirujących celebrytów. Johnny uczy, jak być zajebistym na co dzień. Jak być legendarnym rodzicem, mężem, szefem. Uczy, co zrobić, żeby wstawać rano i nie pracować w weekendy. Jego styl polega na dawaniu czy-

Clotilde Dusoulier: „Zorientowałam się, że pisanie o jedzeniu sprawia mi większą przyjemność niż pisanie programów komputerowych”.



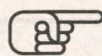
Po lewej: blog Johnny'ego B. Truanta, po prawej: Seth Godin.

telnikowi regularnego kopa w tyłek. Tytuły jego artykułów mówią same za siebie: „Wszczę świat ma cię w dupie”, „Umrzesz, a twój świat to kłamstwo” czy „Nie słuchaj się”.

Johnny prowadzi też społeczność Everyday Legendary (Codziennie Legendarni), do której dostęp jest płatny. Jest to platforma coachingowa i wspólnota ludzi, którzy chcą uczyć się od niego i siebie nawzajem. To właśnie z tego typu przedsięwzięć żyje dziś wielu słynnych blogerów. Za opłatą oferują swój czas ograniczonej liczbie płatnych użytkowników.

SethGodin.typepad.com

Seth Godin to autor bestsellerów, mówca, przedsiębiorca. O jego działalności można by pisać bez końca. Ale Seth jest także blogerem. Na SethGodin.typepad.com pisze o marketingu, ideach i zarządzaniu. O Internecie i oprogramowaniu. O pisaniu i blogowaniu. W jednym z postów doskonale ujął to, jak poznać, czy twórczość pisarza w ogóle ma sens: „Próbujemy uzbroić się przeciwko ostrej uwadze, atakowi ad hominem, osobie, której nie podoba się to, co robimy. Ale to jest informacja, która wraca do nas po tym, jak dotknęliśmy czyjegoś nerwu. Okazuje się, że nasza praca jest ważna na tyle, by zwrócić na nią uwagę. Najgorszą informacją zwrotną jest brak informacji. To oznacza, że nie stworzyliśmy nic poza banalnością” – pisze Godin w poście „Najgorszy feedback to obojętność”.



ANNA TARNAWSKA

Szydełkowanie w Nowym Jorku

„All you need is Olek” – napisał Huffington Post po wernisażu wystawy prac polskiej artystki na Manhattanie. Okrzyknięta przez amerykańską prasę królową szydełka Agata „Olek” Oleksiak znowu zwróciła na siebie oczy nowojorskiej metropolii.

Drobna blondynka o zadziornych, poskręcanych blond włosach i figlarnym uśmiechu jest w Wielkim Jąbłku znana nie od dziś. To za sprawą jej prac, które się narzucają, by wejść w interakcję z odbiorcą. Zalegają na chodnikach, trzymają się latarnianych słupów, zwisają z przeciwpożarowych schodów kamienic. Ich autorka, ubrana we własnoręcznie wydziergane sukienki, sama jest chodzącym performance'em. Często pojawia się w towarzystwie swojej świty – zasydełkowanych kolorowych mumii.

W metrze i w samolocie

Rowery, wózek na zakupy, samochody, dźwig, fortepian, dziecięcy wózek, trampki przerzucone przez sznur na pranie, drzewa w lesie, mieszkanie na dole Manhattanu. – Wyszydełkować mogę wszystko. Poświęcam temu tyle godzin, że w międzyczasie muszę robić coś jeszcze. Zazwyczaj oglądam filmy, bo przy okazji mogę się czegoś nauczyć. Kiedy ktoś pyta, ile czasu zajęła mi dana praca, odpowiadam: „5 pełnometrażowych albo 12 odcinków” – tłumaczy

Agata. I dodaje: – Dziergam w metrze, na przystanku, w samolocie. Mogę to robić wszędzie i o każdej porze.

Urodziła się i wychowała w Rudzie Śląskiej. W Poznaniu studiowała kulturoznawstwo. Pisała o kostiumach. Potem chciała je projektować. Dziś jest jedną z najbardziej uznanych na świecie artystek knit graffiti. Tak określane jest młody kierunek w sztuce, który oplata kolorową włóczką elementy miejskiej architektury. Z tradycyjnym graffiti łączy go kategoria sztuki ulicznej, kolor i ekspresja wyrazu oraz... nielegalność.

Gałganki i szydełko

„Polska nie jest na ciebie gotowa” – słyszała Agata od koleżanek, którym opowiadała o swoich pomysłach. Miłość do Nowego Jorku zaszczerpiła w niej scenografka Barbara Ptak. „Jeśli chcesz zrobić karierę, powinnaś lecieć do NYC” – zachęcała. Oleksiak uwierzyła jej na słowo. Wyjechała w 2000 r. Parała się typowymi dla początkujących emigrantów zajęciami: sprzątaniami, nianieniem dzieci, pracą w fabryce. Jednocześnie studiowała. Pierwszy projekt

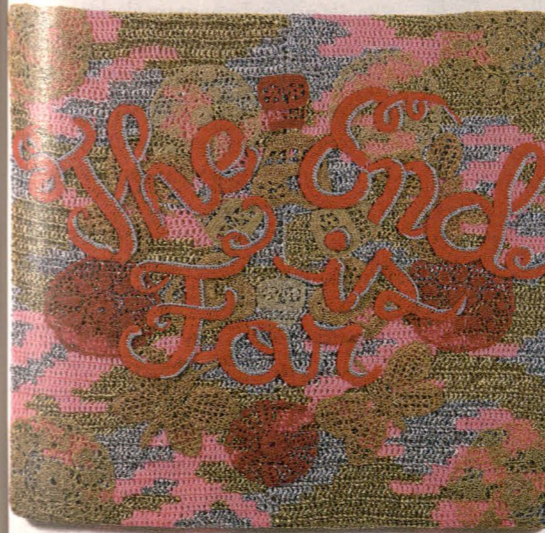
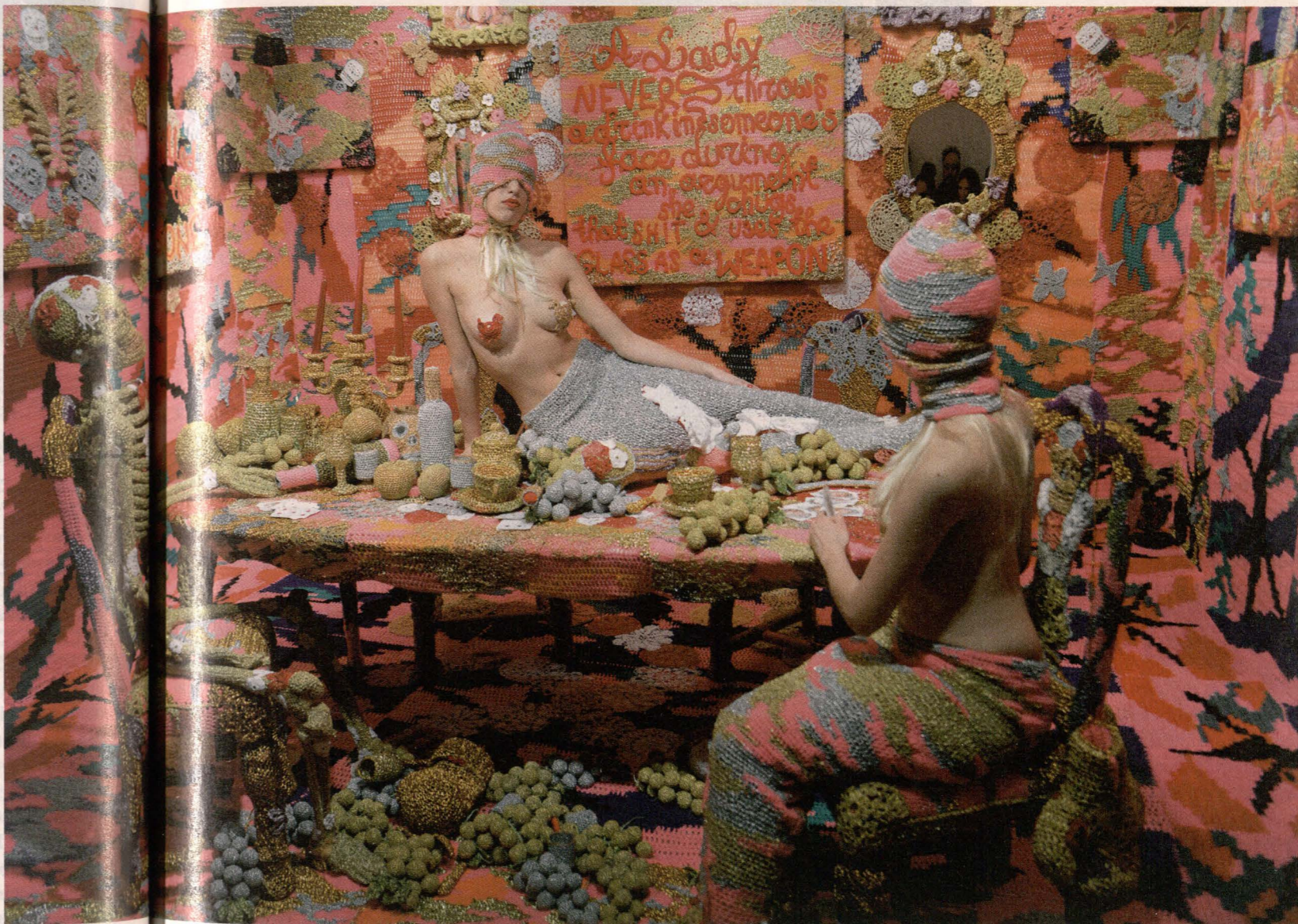
wykonała dla zespołu tańca artystycznego. Stroje powstały z pociętych szmat i starych ubrań, które artystka wiązała za pomocą sznurka.

Talent do rzeźbienia zauważył u niej profesor z college'u. Wytłumaczył, że dyscyplinę tę uprawiać można na różne sposoby, także z użyciem jej ulubionych sznurków i gałganków. Z niedowierzaniem postanowiła spróbować. Na darmo. Wychodzące spod jej palców kształty nie przypominały sobą niczego. Wtedy wpadła na pomysł, żeby do ręki wziąć szydełko. To było to! Na jej kolanach dziergana tkanina zaczęła się układać w niezwykłą formę. Efekt zachwycił profesora.

Od lalek do sztuki konceptualnej

– Szydełkowanie było najtańszym środkiem wyrazu, a dzięki niemu naprawdę można wyczarować cuda – zapewnia artystka. Pierwsze szydełko kupiła w popularnym sklepie „Wszystko za 99 centów”. Dziś nie ma podobnych zmartwień. Ulubioną włóczką akrylową dostarczają jej sponsorzy. Złote i srebrne nici, z których powstały najnowsze prace, przywiozła z podróży. – Chyba mam

W marcu w Nowym Jorku Olek pokazała swoje najnowsze prace, w tym całe dziergane wnętrze: bogato zastawiony stół, butelki, owoce. Włóczką okryte zostało wszystko łącznie z biesiadnikami. Co robi wśród nich kościotrup? Być może to swoiste włóczkowe „memento mori”.



to po matce. Ona robiła na szydełku, dopóki nie zaszła ze mną w ciążę. Wtedy ja przejęłam nią – tłumaczy Oleksiak. Już jako kilkuletnia dziewczynka potrafiła sprawnie szydełkować. Pod okiem ciotki, krawcowej, również szyła i haftowała. – Robiłam ubrania dla lalek i zawsze kombinowałam, jak wykraść ciotce kawałki materiału.

Do dziergania powróciła w liceum, ale wtedy nikt nie przypuszczał, że Agata zwróci uwagę świata na szydełko. Tymczasem ona z atrybutu naszych babć, kojarzonego przede wszystkim z ludowym rzemiosłem, uczyniła element nowoczesnej sztuki konceptualnej i performatywnej. – Przejście od

strojów poprzez rzeźbę do performance'u, przez scenografię do instalacji było bardzo organiczne i naturalne – twierdzi artystka.

Kryzys na giełdzie a sweter dla byka

Amerkanie nie potrafili wymówić jej nazwiska. Skrócili je do dźwięcznego „Olek”. Wydarzeniem, które otworzyło jej drzwi do wielkiego artystycznego świata, było ubranie w szydełkowe wdzianko słynnego byka z Wall Street. Była Wigilia Bożego Narodzenia 2010 r. Temperatura w architektonicznej delcie Manhattanu spadła do –7 st. C. Żeby osiągnąć grzbietu

wysokiego na 3,5 m i długiego na prawie 5 m byka, Agata stawiała na obłożonym charakterystycznym różowym splotem taborecie. Okiełznanie zwierza zajęło jej cztery godziny. – Wybieram przedmioty, które mają związek ze mną i z danym czasem. Byk został wykonany także „po partyzancku” przez Arturo de Modica w 1989 r. Nawiązywał do krachu na nowojorskiej giełdzie z końca lat 70. Ja swój projekt zrobiłam również w okresie świąt, także bez pozwolenia. I tak jak de Modica nawiązałam do giełdowego załamania – z 2008 r. W powietrzu czuło się, że ludzie potrzebują sztuki, żeby odreagować. Stwierdziłam, że jeśli byka stać na sweter, to cały następny rok będzie dostatni i dla nas.

Należyc i uciec

Chociaż sweter na jego grzbiecie ostał się tylko dwie godziny, na temat artystki rozpisala się amerykańska prasa. O jej prace zaczęły zabiegać najlepsze galerie, a ich autorka została zaproszona do wzięcia udziału w prestiżowej wystawie „40 under 40” w Smithsonian Museum w Waszyngtonie prezentującej twórczość 40 najwybitniejszych amerykańskich artystów rękodzieła przed 40. rokiem życia. – Wystawiać tam to dla artysty wielkie osiągnięcie, szczególnie w tak młodym wieku – komentuje „Olek”.

W 2011 r. obszydełkowała nowojorską „The Alamo”, rzeźbę sześcian Tony’ego Rosenthala. Kolorowym splotem napisała na niej „I’m still proud to say what I do for a living” – jedno z haseł ruchu Occupy Wall Street. – Kiedy je usłyszałam, od razu zainspirowało mnie do działania. Odnosi się do każdego, także do mnie – skomentowała. Była to jej najszybsza praca. Zajęła 20 min. – Nałożyłam i uciekłam – wspomina.

Ponieważ nie dostałaby pozwolenia na swoje projekty, po prostu o nie nie pyta. – Przecież nie robię niczego złego, nie niszczę tych prac, a jedynie zmieniam ich wygląd – tłumaczy. Problem z postawieniem jej zarzutów miewają



Żeby osiągnąć grzbiecie wysokiego na 3,5 m i długiego na prawie 5 m byka, Agata stawiała na obłożonym różowym splotem taborecie. Okiełznanie zwierza zajęło jej cztery godziny.

też policjanci, ponieważ nie wiedzą, pod jaki paragraf podciągnąć jej występ, ale i dlatego, że jej prace po prostu się im podobają. „To ty jesteś tą szydełkującą damą” – mówią, po czym rezygnują z wypisania mandatu.

Ubranie dla kota i splot na billboardzie

W kwietniu ubiegłego roku ubrała barcelońskiego kota, czyli „Gato de Botero”. – Były moje urodziny i chciałam zrobić coś dla siebie. Un gato – ja, Agata. Pomysł opierał się na grze słów. Zapytana o sposób pracy nad ubraniem swoich gigantycznych modeli mówi, że nigdy nie bierze wymiarów. – To tak jak z malowaniem portretu. Patrę na jakiś obiekt i następnie maluję go włóczką – wyjaśnia.

W 2012 r. wzięła udział w katowickim Street Art Festival. Tym razem za artystyczne tworzywo wybrała koparki. – Są dla mnie elementem śląskiego krajobrazu. Kojarzą mi się ze zmianami, jakie tam zachodzą. Mój tata pracował na koparkach. Jako dziecko widziałam je wszędzie. Chcę pokazać ludziom, jakie te maszyny są ważne – przebudowują ich rzeczywistość.

Do pracy Agata zaangażowała więźniarki z tamtejszego zakładu karnego. Dzięki udziałowi w projekcie jedna z nich wcześniej wyszła na wolność. „Olek” odniosła triumf nad okolicznościami. – Moja sztuka jest odzwierciedleniem moich przeżyć – powtarza – poprzez nią chcę zmienić świat.

Jeszcze podczas nowojorskiej wystawy, pojechała do Oakland w Kali-

fornii. – Stworzyłam pierwszy na świecie szydełkowy billboard. Nosila się z tym od dłuższego czasu. Czekałam na właściwy moment i miejsce. Wybrałam Kalifornię, bo tam narodził się Billboard Liberation Front. W głowie miałam kilka haseł. Ponieważ stanął nad autostradą, „BOYS” wydało mi się idealne. Oczywiście, że jest to pewnego rodzaju feministyczna zabawa. Billboardy instalują przecież mężczyźni – opowiada „Olek”. – Różowy splot to mój kamuflaż – dodaje, zaznaczając, że nie więcej na temat kolejnej nielegalnej instalacji nie zdradzi.

Kobiety kochają, mężczyźni komentują

– Moje prace, choć bardzo osobiste, mają również wymiar uniwersalny.

Dostaję e-maile od kobiet, które piszą o uczuciach, jakie wzbudza w nich to, co robię. Słyszę, że dzięki temu czują się lepsze i silniejsze – cieszy się Agata.

Na temat jej pracy wypowiedział się brytyjski rzeźbiarz Anthony Gromley, kiedy w maju 2012 r. obszyła jego słynną „Another Place” stojącą na Crosby Beach, zwróconą w stronę morza postać.

– Bardzo mu się to spodobało. Byłam zachwycona, że taki artysta rozumie i docenia moją sztukę. Nadaję staremu nowemu sens – mówi podekscytowana. – Można sobie wyobrazić zdziwienie przechodniów, kiedy dany obiekt widzą nagle w zupełnie innym wydaniu. I to w jakim!

Zapytana o reakcje przyznaje, że są różne. Wspomina, jak w Poznaniu podpalono odzianego przez nią „Starego



AGATA „OLEK” OLEKSIK

Znana także jako Crocheted (szydełkowa) Olek. Ur. w 1978 roku w Rudzie Śląskiej artystka knit graffiti, dziś mieszka i pracuje w Nowym Jorku, tworząc rzeźby, instalacje.

Marycha”. Sarkastyczne komentarze dobiegają od mężczyzn. „Ale ktoś miał dużo czasu” – rzucają od niechcenia.

Na wernisaż wystawy, która w marcu odbyła się w manhattańskiej Jonathan Levine Gallery, przybyły tłumy. Pojawił się Jerry Saltz, krytyk sztuki z „New York Magazine”, i jego żona Roberta Smith z „New York Timesa”. Przyglądali się scenerii zamkniętej w przestrzeni niby-kajuty pirackiego okrętu. Instalację tworzyły siedzące współ z oplecionym złotą nicią kościotrupem syreny. Wszechobecny charakterystyczny splot wypisał na ścianach slogany „All We Need is Love and Money”, „Don’t Change”, „Happiness is an Inside Job”. Nad całością, niczym groźba sukcesu, który dopiero ma nadejść, ciążył tytuł wystawy „The End Is Far”.

Najczęściej do czynienia z akcjami „Olek” mieli do tej pory nowojorczyści: podczas zwykłego spaceru mogli się natknąć na odkryte dziełami strojami rowery, wózki sklepowe czy okna. W ubiegłym roku włóczkowe ubranko zyskał też słynny barceloński kot (autorstwa Fernando Botero). „Olek” ubrała go z okazji swoich urodzin.



ROZMAWIA KAROLINA SULEJ

Pokochoać powieść i człowieka

„Intryga małżeńska” wybitnego amerykańskiego pisarza **Jeffreya Eugenidesa** trafiła do naszych księgarni. Autor daje do zrozumienia, że nigdy nie mówilibyśmy, że kogoś kochamy, gdyby ktoś nam tego wcześniej nie opowiedział. Niezależnie od tego, czy jest to francuski filozof, Jane Austen czy komedia romantyczna.

JEFFREY EUGENIDES

ur. w 1960 r. Jeden z najważniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich. Autor opowiadań i powieści „Przekleństwa niewinności” (1993), „Middlesex” (2002), „Intryga małżeńska” (2011).

Po przeczytaniu twojej książki zostaje wrażenie, że jedyne szczęśliwe zakończenie dla intrygi małżeńskiej to brak szczęśliwego zakończenia i brak małżeństwa.

Nie napisałem książki historycznej, która miałaby stanowić powtórzenie we współczesnej scenografii tego, co działo się w książkach Jane Austen czy Henry’ego Jamesa, tamtych miłosnych dylematów, rozterek i związków. Scenariusze współczesnych intryg małżeńskich znacząco różnią się od tych XIX-wiecznych, co widać szczególnie wyraźnie w mojej powieści – główna bohaterka, Madelaine, przeżywa burzliwe miłosne uczucia, dla których szuka, ale nie znajduje formy, jednocześnie zaś zajmuje się naukowym badaniem wątków i schematów małżeńskich w literaturze wiktoriańskiej. Jej praca magisterska nosi tytuł „I Thought You’d Never Ask: Some Thoughts on the Marriage Plot” (Myślałam, że już nigdy nie zapytasz. Refleksje na temat intrygi małżeńskiej).

Perypetie Madelaine przeglądają się więc w perypetiach bohaterki, których losy krytycznie analizuje. Dzisiaj historia kobiecego życia nie kończy się na ślubie, jak to miało miejsce w czasach Jane Austen. Pisząc książkę o miłości i o wpływie, jaki czytanie o miłości ma na jej postrzeganie, współczesny pisarz ma większe pole do popisu i więcej opcji, jeśli chodzi o zakończenie. Może eksperymentować, wyginać i zapętlać swoją intrygę, niekoniecznie wyprowadzając ją potem z tego bała-

ganu. Od XIX w. nie zmieniła się jedna rzecz – nadal uważamy, że rozważna dziewczyna wybierze na chłopaka kandydata statecznego i rojącego społecznie, a ta romantyczna zakocha się w społecznym wyrzutku. Chciałem jednak pokazać, że ani romantyczność, ani normalność, ani rozsądek nie są pojęciami oczywistymi. Wszyscy jesteśmy po trosze rozważni, romantyczni, po trosze kobiecy i po trosze mężczyźni.

Współczesne dziewczyny muszą jednak odczuć jakiś sentyment do powieści Jane Austen. Ostatnio zapanowała istna mania ekranizowania wszystkiego, co napisała, a w tych adaptacjach grały najbardziej utalentowane aktorki, jak Kate Winslet czy Gwyneth Paltrow.

Powieści Jane Austen postrzega się dzisiaj jako lekkie komedie romantyczne, gdy tymczasem nie są one zupełnie zabawne. Jane Austen pokazuje świat, w którym scenariusz życia osobistego i emocjonalnego jest rozpisywany na społeczne gry, z których nie można się wyzwolić. Komedie romantyczne dzielą niektóre aspekty powieści Jane Austen – jak dwoje kochanków, którzy zostają rozdzieleni przez okrutny los, nie mogą być razem, ale w końcu przezwyciężają wszystkie przeszkody i żyją długo i szczęśliwie, natomiast dawka komedii, jaka tam się znajduje, jest zupełnie obca klasycznej intrydze małżeńskiej. Tam wszystko jest na poważnie. W końcu ślub, jak już wspominałem, to sytuacja ostateczna.

Czy nie jest jednak tak, że po prostu tradycyjna, bardzo angielska intryga małżeńska z XIX w. została zastąpiona przez jej amerykańską, XX-wieczną wersję?

Komedia romantyczna nie zaczęła się wraz z adaptacjami Jane Austen. To gatunek filmowy w kinie obecny od lat 30. Rzeczywiście służy on do tego, żeby konstruować romantyczne iluzje, nadzieje, wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać miłość. Odkąd zobaczymy taki film po raz pierwszy, wzrastamy w przekonaniu, że musi nas koniecznie spotkać właśnie coś takiego, co nam pokazano. Podobny emocjonalny klimat stwarzały powieści Jane Austen. Oczekiwanie, szukanie tego jedyne, to dla ich bohaterek najważniejsza rzecz w życiu. Tego samego uczą nas komedie romantyczne. Poszukiwanie miłości jest zaś dla wszystkich ważne i trudne, więc ludzie uznają te historie – które ich uspokajają, że w końcu się uda – za konieczne pocieszenie i wsparcie w wysiłkach. Myślę, że podobnie mogły oddziaływać powieści wiktoriańskie na ich czytelników.

Czytelników czy czytelniczki?

Nie uważam, żeby wielkie wiktoriańskie powieści takie jak „Portret damy” Henry’ego Jamesa były adresowane wyłącznie do kobiet, chociaż faktem jest, że podobnie jak dzisiaj większość odbiorców literatury stanowią kobiety. „Portret damy” to jedna z moich ulubionych powieści. Podobnie nie uważam, żeby dzisiaj komedie romantyczne były



oglądane tylko przez kobiety. Hollywoodzka komedia romantyczna „Bringing up a baby” z lat 50., z Carym Grantem i Katherine Hepburn, to jeden z moich ulubionych filmów. Intryga małżeńska powinna być interesująca dla wszystkich, bo pokazuje schematy myślenia o miłości u mężczyzn i u kobiet, z obu perspektyw. Komedia romantyczna uczy nas, jaki wzorzec związku może ci zagwarantować kobierzec. Idziesz do kina z twoim ukochanym i doświadczacie dwóch miłości na raz – tej własnej i tej na ekranie – porównujecie, wyciągacie wnioski, niby się dystansujecie, jecie popcorn, ale tak naprawdę kalkulujecie: „Czy to ona? Czy to on?”

Mówimy o miłości i małżeństwie jednocześnie. A przecież małżeństwo to tylko jedna z form, w jakich możemy umieścić miłość.

Od razu przypomina mi się piosenka Franka Sinatry, w której śpiewa „Love and marriage go together like a horse and carriage”. To był hit w latach 50., podobnie zresztą jak małżeństwo w Stanach Zjednoczonych tej epoki. Ona – perfekcyjna gospodyni, on – perfekcyjny pracownik, a wokół nich radosne brzdące. Ta staromodna już dziś piosenka pokazuje, że istnieje taka dyrektywa kulturowa, żeby naciskać, aby miłość i małżeństwo rzeczywiście szły w parze. Na szczęście, chociaż jest tak, że jesteśmy zachęceni, aby nasze uczucia włożyć w małżeńską foremkę, zakochujemy się cały czas, bardzo często społecznie nieprzyzwoicie i nie każda miłość kończy się obrączką. Nie każda miłość musi zostać uświęcona takim performatywem jak ślub i sakramentalne tak. Czasem wystarczy inny performatyw – zwyczajnie Kocham cię. Kultura na pewno stara się poskromić nasze rozbuchane uczucia za pomocą rozmaitych społecznych umów. Nie zapominajmy jednak, że miłość także jest kulturowym konstruktem, na który wszyscy się umawiamy, nie przylatuje do nas z kosmosu. W swojej książce pytam więc: „Do jakiego stopnia miłość to fikcja? Czy zaś świadomość, że miłość to scenariusz, sprawia, że przestajemy kochać?”

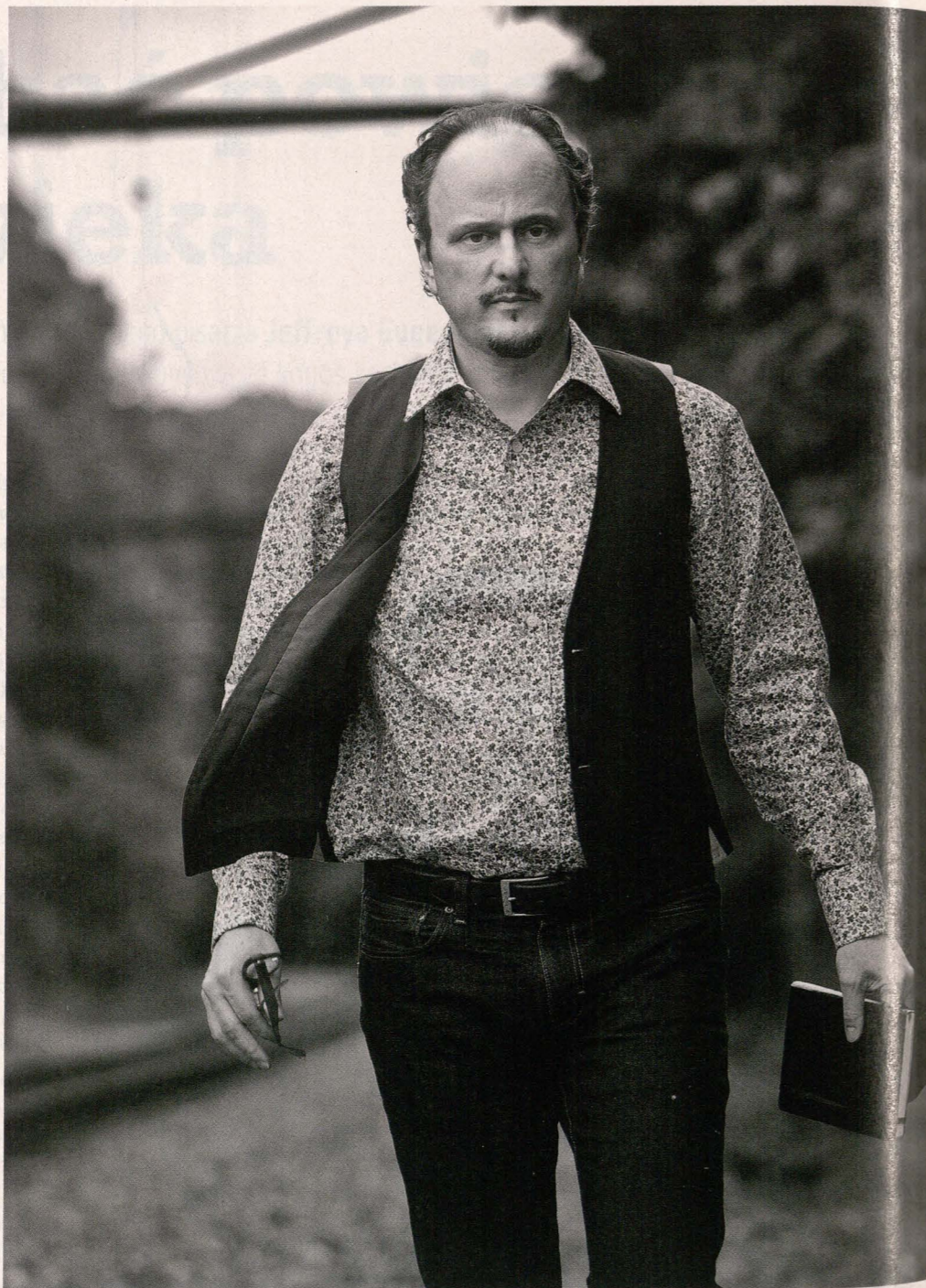
Madelaine zakochuje się w Leonardzie na zajęciach o francuskich semiotykach, czytając „Fragmety dyskursu miłosnego” Rolanda Barthesa. Jednak uogólniając, większość osób nie czeka na poznanie Barthesa, żeby nauczyć się kochać. Wystarczy im bajka o Kopciuszku, o Śnieżce. Czy miłość, która rodzi się z intelektualnego impulsu, jest lepsza niż taka, która rodzi się z prostej opowiadki z morałem?

Oczywiście takie narracje, jak książka Barthesa, nie są powszechnie znane, a przynajmniej nie do tego stopnia, co wspomniane komedie romantyczne, popularne powieści czy bajki. Barthes nie jest jednak pierwszym autorem piszącym o miłości, z którym zetknęła się Madelaine. Każdy ma na koncie jakiegoś Kopciuszka. Gdy tylko stajesz się świadomy, od razu jest ci wykładane o miłości, o byciu w parze i o małżeństwie – najczęściej jednocześnie. Dzieci zastanawiają się, kogo poślubią, zanim jeszcze zrozumieją, co tak naprawdę to oznacza. Pamiętam, że moja córka do pewnego wieku uważała, że poślubi swoją mamę, bo kocha ją najbardziej na świecie.

To Barthes jednak zdecydował, jak Madelaine chce myśleć o miłości jako dorosła osoba. Nie można zresztą nigdy mówić o miłości w ogóle. Można przytaczać konkretne historie. W mojej książce jest to historia trzech osób. Dziewczyny, która kocha dwóch chłopców, i dwóch chłopców, którzy kochają jedną dziewczynę. Madelaine, Leonarda i Mitchella. Jest rok 1982, Stany, kampus uniwersytecki. Czytanie francuskich filozofów przez studentów kierunków humanistycznych jest modne. Dziewczyna czyta akurat Barthesa.

Może miłość to iluzja? Wymyślamy ją, żeby ułatwić sobie życie?

Właśnie po to napisałem powieść o trójce ludzi poszukujących miłości, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ale nie chciałem udzielać jednoznacznej odpowiedzi. To nie jest traktat. To historia o młodych ludziach, którzy po raz pierwszy tracą głowę z miłości i nie wiedzą do końca, co się z nimi dzieje, ile to potrwa, jak sobie z tym radzić.



Porównują swoje sny z rzeczywistością, czasem kochają głupio, z czasem mądrzej. Uczą się siebie samych i tego, co naprawdę kryje się pod sformułowaniami: ten jedyny, ta jedyna. Uczą się, jak pisze Facebook, że to skomplikowane.

To Madelaine, a nie Leonard czy Mitchell, jest jednak dla mnie postacią centralną twojej po-

wieści. A szczególnie jej walka o to, żeby móc wybierać ukochanego na własnych zasadach, żeby nie dać się zamknąć w małżeńskiej klatce, żeby pozwolić sobie na błądzenie – przede wszystkim w poszukiwaniu siebie.

Możesz widzieć w kobiecie postać centralną, jednak starałem się, żeby każde z trójki moich bohaterów – Madelaine, Leonard i Mitchell, dostało ode mnie

„Nasze życie to cykle – buntujesz się, odpuszczasz, buntujesz się, odpuszczasz, i tak w koło”.

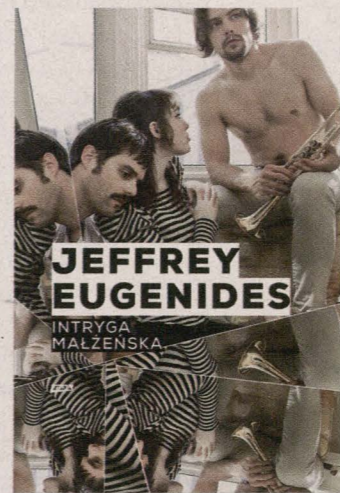
tylko samo atencji. Nie jest tak jak w klasycznej intrydze małżeńskiej, że mężczyźni widzisz przez pryzmat uczuć kobiety, bo występują tylko w roli starających się. To nie jest książka o księżniczce, dobrym i złym księciu. To książka o księżniczce, która sobie z tą rolą nie radzi i o książkach, którzy nie do końca pasują do szablonu.

Moim zdaniem jest także o tym, jak przełamuje się stereotypowo męskie i kobiece sposoby myślenia o drodze życia. Męski, czyli kim chcesz być, a kobiecy – z kim chcesz być.

Madelaine stara się żyć życiem, którego nie mogła mieć jej matka. Stanowi przedstawicielkę jednego z pierwszych pokoleń, które, jak pisała Virginia Woolf, „chce całego życia”. Oczywiście, że się zakochuje ze wszystkimi tego konsekwencjami, jak każdy człowiek, ale jednocześnie szuka swoich naukowych zainteresowań, chce mieć zawód i karierę. Od strony rodziny i znajomych czuje jednak nacisk, że to źle, że tak być nie powinno, boi się swojej samodzielności. Boryka się – najpierw zastanawia się, czy w ogóle iść na studia, potem się nie dostaje, w końcu studiuje, ale nie wie, czy właściwy kierunek, czy jest wystarczająco dobra – dla dziewczyny w 1980 r. to nie jest tak jak dzisiaj, ciąg prostych wyborów, to stąpanie po cienkim lodzie, z niepewnością siebie. O ironio, opublikowanie jej

tekstu o intrydze małżeńskiej w czasopiśmie uniwersyteckim staje się jej pierwszym pewnym krokiem w stronę kariery. To również ważne, co romantyczne odkrycia, których dokonuje w tym czasie.

Zakochana Madelaine, kiedy zwraca się w końcu ku małżeństwu, traktuje je jak ucieczkę, receptę na ból i smutek.



Intryga małżeńska
Jeffrey Eugenides,
tłum. Jerzy
Kozłowski, Znak
2013, cena 39,90 zł

Małżeństwo działa więc dla Madelaine trochę jak formuła magiczna, która ma ją uratować od samej siebie, od konieczności wybierania, brania odpowiedzialności.

Czy miłość, jako tekst kultury, nie przypomina nieco zbioru formuł magicznych, które zaklinają w nas pewne wybory i cechy?

Kochając kogoś, praktykujemy kulturę, ale jednocześnie ta wiedza wcale nie powstrzymuje nas przed kochaniem kogoś w dalszym ciągu. Ta świadomość nie jest krokiem do zmiany postępowania. Nadzieja, że czytanie Barthesa wyzwoli cię od miłości, bo ją zintelektualizujesz, jest bardzo złudna. Nadzieja, że wyzwoli cię od niej lekka komedycja romantyczna, bo dzięki niej wyśmiejesz miłość, jest złudna w podobnym stopniu. Na początku Madelaine czyta Barthesa tylko po to, żeby zrozumieć zakochanie jak fikcję filozoficzną i je odrzucić, ale czytając, zakochuje się na zabój – w książce i w chłopcu. Możesz więc jednocześnie być świadomym swojego zdeterminowania i się od niego uwalniać. Myślę, że wszyscy potrzebujemy opowieści, żeby zrozumieć, że jesteśmy ludźmi. Bez opowiadania i bycia bohaterem cudzego opowiadania nie będziemy potrafili być sobą. A bez opowieści o miłości nie będziemy umieli być ze sobą.

Masz potrzebę dekonstruowania języka?

Jestem świadomy jego kruchości, ale się nie zapędzam w swojej niszczycielskiej pasji, bo łatwo wtedy dojść do punktu, gdzie żadne zdanie nie ma już znaczenia. Ale oczywiście jako autor nie jesteś noworodkiem, czujesz echo innych pisarzy, tradycji, czujesz ten ciężar, który na tobie wisi jak pijany kumpel.

Uczysz creative writing na Uniwersytecie Stanforda. Naprawdę można kogoś nauczyć, jak opowiadać literaturę?

Nie można chować ludzi przed kulturą w jakiejś specjalnej dziurze. Ludzie

uczą się literatury, odkąd poznają alfabet. Uczą się pisać od reklam, bajek, gazet, magazynów, powieści, komiksów. Nie można robić z pisarza jakiegoś dzielnego chłopca, który wychodzi z dżungli tylko z tobołkiem swojego geniuszu.

Zamiast jednak siedzieć na creative writing i uczyć się pisania intryg małżeńskich, można iść w świat i przeżywać intrygi małżeńskie.

Ale przecież kiedy się uczysz, nie przestajesz żyć. Można uczyć się pisać i uczyć się żyć w tym samym czasie. Te kursy jednak przede wszystkim uczą czytać. Większość moich studentów wcale nie chce być pisarzami, ale po prostu uwielbiają obcować z literaturą.

Czy tylko w młodości możemy przeżywać życie naprawdę intensywnie?

Nie sądzę. Ludzie mogą odczuwać świat równie intensywnie przez całe życie. W młodości bardziej się rzucasz, jesteś bardziej spontaniczna i działasz z rozmachem, jesteś nadekspresyjna, przechodzisz radykalne transformacje, jedziesz na koniec świata i z powrotem. Potem nie są one już tak wielkie, ale uczucia pozostają tak samo radykalne, nawet jeśli skorupa pozostaje nienaruszona. Wiek, w którym jestem teraz, jako pięćdziesięcioparolatek, jest tak samo trudny, jak wtedy, kiedy byłem 20-latką. Może i mam świadomość swojego postępowania, ale przyplawy emocji pozostały podobne. Myślę, że kiedyś o tym napiszę. Nasze życie to cykle – buntujesz się, odpuszczasz, buntujesz się, odpuszczasz, i tak w koło. Czerpiesz zarówno ze swojej apollinijskiej części – tej uporządkowanej, poważnej, jak i z tej dionizyjskiej – szalonej, romantycznej. Podobnie z pisaniem książek. Pisarz nie jest ani księgowym, ani Hankiem Moodym z „Californication”. Nie jest szczęśliwy na tyle, żeby wyjść na piwo z przyjaciółmi, zamiast stukać w domu samotnie w klawiaturę, ale nie jest w depresji na tyle, żeby siedzieć nieruchomo na krześle i patrzeć w ścianę. Rozumie, że w życiu szczęśliwe zakończenia wcale nie muszą oznaczać happy endu. ☺

Maciej Nowak

Idź do dupy po posadę



ARTUR KOT

System chóru się lęka. Chóru krytyki. Chóru oburzonych. Chór generuje energię zbiorowości, a ta nie jest miła rządzącym. Przedmiotem obecnej władzy jest indywidualizm, które ideologicznie wyniesiono na piedestał wyjątkowości, a w rzeczywistości skutecznie poddano opresji. Każda próba jednoczenia jednostek budzi podejrzenia. Wszystkie rozwiązania prospołecznościowe wywołują niechęć. Na cenzurowanym są związki zawodowe, spółdzielnie, komunikacja zbiorowa, publiczna służba zdrowia, ubezpieczenia społeczne, szkolnictwo powszechne, kasy zapomogowo-pożyczkowe, zespołowe instytucje artystyczne. Zbiorowość budzi niechęć. No chyba że jest to organizacja pozarządowa, skrupulatnie realizująca rządowe lub samorządowe zlecenia.

Teatr chóralny Marty Górnickiej wydobywa nieokreśloną siłę zbiorowości. W dwóch poprzednich realizacjach, „Tu mówi chór” (2010) i „Magnificat” (2011), była to wspólnota kobiet, zjednoczonych w opozycji przeciwko patriarchatowi. Ostatnia premiera, „Requiemaszyna”, wyzwala energię rozgniewanej gromady kobiet i mężczyzn. To narkotyczne doznanie dać się ponieść skandowaniu 30-osobowego zespołu choreutek i choreutów, wykonującym na wzór wielkiej maszyny synchroniczne układy ruchowe. Jakże to wyzwalające z codziennej samotności i niepewności! Kilka tygodni temu w wywiadzie dla „Wszystkiego o kulturze” TVP 2 Olga Tokarczuk powiedziała mi, że Oburzeni przegrywają, bo nie mają swojej muzyki. Nie śpiewa dla nich Janis Joplin, nie kiwają się przy balladach Joan Baez, nie pogują przy punk rocku. Reżyserka Marta Górnicka, kompozytorka IEN, i choreografka Anna Godowska nadrabiają tę zaległość. „Requiemaszyna” daje Oburzonym rytm. Wychodzisz ze spektaklu i nieustannie pulsują ci w głowie: „Dam-ci-je-dną-do-brą-ra-dę/Idź-do-dupy-po-po-sa-dę”, „Nie-mam-za-co-jeść-i-pić, trze-

**„Nie-mam-za-co-jeść-i-pić, trze-ba-ro-bić-aby-żyć”, „Co-dzień-do-pracy, tak-jak do-boju”.
Teksty z lat 20. i 30., z okresu wielkiego kryzysu, w gardłach chóru współczesnych brzmią niezwykle aktualnie.**

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

ba-ro-bić-aby-żyć”, „Co-dzień-do-pracy, tak-jak do-boju”. I wiesz, że to samo wibruje w głowach innych, ściąga mięśnie do wspólnego działania. Nie jesteś już sam.

Skrzydlate frazy „Requiemaszyny” wyjęte zostały z wierszy Władysława Broniewskiego. Teksty z lat 20. i 30., z okresu wielkiego kryzysu, w gardłach chóru współczesnych brzmią niezwykle aktualnie. To paradoks, że w okresie powojennym ograniczyliśmy ogląd jego twórczości do liryki. Tak jakby wcześniejsza poezja polskiego Majakowskiego, politycznie zaangażowana i opowiadająca o niesprawiedliwości społecznej, była czymś wstydlivym. Maria Janion pisała, że Broniewski to największy liryk polskiej poezji, ale czy przypadkiem dziś nie pociągają jeszcze bardziej te utwory, w których wykorzystuje on „słowo jako narzędzie walki”. To oryginalne określenie samego Broniewskiego brzmi niczym ze współczesnych podręczników performatyki. Słowo – narzędzie walki. Poeta – robotnik słowa. „Myślicie, że pisać wiersze/to tak jak w wojsku na zbiórce (...) Ja bym chętnie nie pisał/ale muszę...”.

W finale „Requiemaszyny” brzmi narastający kaskadowo zwrot: „Broniewski jestem. Polak. Katolik. Alkoholik. Polak. Katolik. Alkoholik. Polak. Katolik. Alkoholik”. W kontekście wcześniej skandowanych wierszy pieśni Broniewskiego wyzwala się w tym momencie z samego siebie. Przestaje być autorem tekstów, a może nawet ich podmiotem lirycznym. Staje się współczesnym jedermanem. Polak. Romantyk. Bezrobotny. Katolik. Alkoholik. Chór polskich jedermanów brzmi groźnie. ☞

Więcej o spektaklu „REQUIEMASZYNA” w programie WSZYSTKO O KULTURZE (TVP 2, 21.04, godz. 23.10)

„REQUIEMASZYNA”
reżyseria: Marta Górnicka,
partytura: IEN,
choreografia: Anna Godowska,
Instytut Teatralny
im. Zygmunta Raszelewskiego
w Warszawie, prapremiera: 24.03





PAWEŁ T. FELIS

Pan Everybody?

„Spring Breakers” Harmony’ego Korine’a to bez wątpienia jeden z najważniejszych filmów tego roku. Kim jednak jest sam Korine, który do tej pory nazywany był ikoną niezależnego kina ze Stanów, a dziś rozbiera młode aktorki Disneya i z wprawą mistrza filmuje ich falujące biusty i pośladki?

Kilka dni temu przyjechał ze Stanów mój znajomy. Ma ferie na uczelni, ale pojawił się sam – jego dziewczyna, jak wszystkie „porządne” Amerykanki, polecała na Florydę, by świętować „spring break”. Świętować, czyli bawić się do upadłego dniami i nocami, pić i paradować w kostiumie kąpielowym, poznawać nowych ludzi, szaleć, a potem wrócić do domu.

O tej właśnie tradycji, Polakom obecnej, Amerykanom bliskiej od pokoleń, opowiada najnowszy film Harmony’ego Korine’a. Film, który okazał się sensacją ostatniego festiwalu w Wenecji, a raptem w tydzień po premierze zarobił w Stanach pięć milionów dolarów (kosztował

dwa). W rolach głównych: James Franco i gwiazdeczki kojarzone dotąd z Disneyem (m.in. Selena Gomez i Vanessa Hudgens). Temat przewodni: nieokiełznana zabawa z domieszką seksu i przemocy. O co więc tyle szumu?

O popkulturze jej językiem

W „Spring Breakers” na Florydę jadą cztery kumpele z college’u: jedna z nich to nawet nabożna katoliczka, co nie przeszkodzi jej zorganizować brutalnego napadu z bronią w rękę na miejscowy bar (za coś trzeba się bawić). Warto, bo na Florydzie jest tak, jak w otwierającej sekwencji godnej rasowego wideoklipu: w rytm elektronicznych dźwięków Skrilleksa prężą się doskonale ko-

biece piersi i męskie klaty, kiwają pośladki i huśtają nogi. Ferie kolorów, alkoholi, narkotyków i transowego seksu, z którym kojarzy się wszystko. W końcu – jak słyszymy – „bikini to jedyne, co w życiu ważne!”.

Nawet jeśli cztery kumpele zostaną zaaresztowane, szybko posterunek policji opuszczą. I trafią pod opiekę ujmującego gangstera o imieniu Alien (James Franco w modnych, srebrnych nakładkach na zęby), który urządzi im zabawy ciąg dalszy. Być może ktoś umrze, być może posunie się za daleko. W końcu specyficznym leitmotiwem jest u Korine’a uporczywie powracający odgłos ładowanej broni. Ale bez obawy: żadnego morału nie będzie, żadnej kary za grzechy też nie. Przecież czy to nie cool robić to, czego robić nie wolno?

Nie tylko nastoletnia publika przekaz ten odczytała dosłownie i pognąła do kina. A Harmony Korine śmieje się w duchu i bije brawo. „Spring Breakers” wymyślił bowiem sobie jako pastisz doskonały: jesteśmy w świecie rozkosznego kiczu, cudnie przejawskrawionych, popkulturowych klisz, śpiewanych przy księżycu ballad Britney Spears i tęsknot do świata rodem z teledysku w telewizji VIVA. Bo Korine bezlitośnie obnaża popkulturę jej własnym językiem – jakby skierował kamerę na nas wszystkich i kazał się przyjrzeć sobie samym: takie jest dzisiejsze pokolenie 20-latków, tacy jesteśmy wszyscy, taki jest świat, który zazeramy i wydalamy bez świadomości nawet, że nie ma przed tym ucieczki.

„Beautiful losers” z Nowego Jorku

Sympatyczny jest w tym filmie rys autoironiczny: w końcu na falujących biustach i pośladkach zarobi solidnie reżyser, który od mainstreamu chciał się zawsze trzymać jak najdalej. Owszem, bawił się jako dziecko w rodzinnym Nashville na placach zabaw, na których kolegom ucinano głowy, ale potem wracał do domu i oglądał filmy Godarda i Fassbindera. Chciał wyrwać się z Tennessee do „lepszego” świata, ale po to tylko, by tworzyć sztukę przez duże S.

Tym światem miał być Nowy Jork, ale na studiach z dramaturgii Ko-

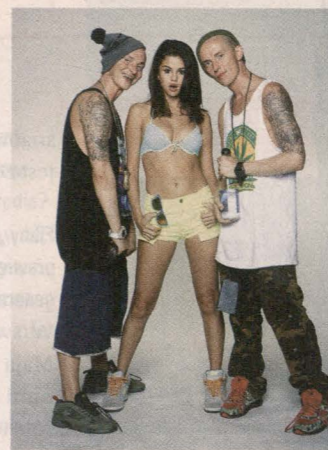
rine wytrzymał rok. Miał 18 lat, więc bardziej pociągaly go imprezy i jazda na deskorolce („Nigdy nie uważałem skateboardu za sport: zawsze był to dla mnie rodzaj sztuki, jak taniec”). Pewnego dnia przejeżdżał przez Washington Square Park i spotkał tam Larry’ego Clarka, słynącego z portretów młodych ludzi fotografa, który zaczął robić mu zdjęcia. Po kilku minutach rozmowy zawarli już niemal biznesową umowę: Clark poprosił 19-latkę, żeby napisał scenariusz specjalnie dla niego: o sobie i swoim pokoleniu. Tak w trzy tygodnie powstał scenariusz „Dzieciaków”, jednego z najważniejszych filmów lat 90.

Główną rolę dziewczyny próbującej ostrzec zarażonego HIV chłopaka zagrała w nim 21-lletnia wówczas Chloë Sevigny. Zaczęli spotykać się z Korine’em w czasie zdjęć do „Dzieciaków” i oboje zachłysznieli się Nowym Jorkiem. Sevigny pojawiała się w kolorowych magazynach jako modelka i stała się ikoną mody. Korine’a wciągnęła nowojorska bohema – muzycy, graficy, artyści, performerzy i reżyserzy, nazwani później „beautiful losers”, którzy działali zgodnie z zasadą „do it yourself”. Korine: „Kierował nami jakiś dziwny przymus, żeby na swój sposób opowiedzieć własną historię”.

Narkotyki i życie trampa

Ocierał się o show-biznes, ale chciał odgrywać w nim rolę „nieznośnego dzieciaka”. Po ogromnym sukcesie „Dzieciaków” dawał się zaprosić Davidowi Lettermanowi, ale potem odpowiadał na jego pytania w telewizji półśłówkami i zachowywał się, jakby był naćpany. W wywiadach kreował się na mentalnie ograniczonego. Za to konsekwentnie powtarzał dziennikarzom, że „będzie robił filmy, jakich nikt nigdy wcześniej nie widział”.

Takim filmem miały być debiutankie „Skrawki” (1997), który recenzentka „The New York Times” uznała za najlepszy film roku, a który dla Wernera Herzoga był dowodem na „nowy, wybitny talent wśród reżyserów”. „Pomysł był prosty: rozdać kamery i postawić



na szczerłość” – tłumaczył Korine pomysły na „Skrawki”. „Swojej siostrze dałem więc Super-8, najlepszemu przyjacielowi Polaroid i powiedziałem: filmujcie to, co widzicie, wyłapujcie momenty, które są esencją życia. I nagle obrazy zaczęły spadać z nieba”.

Nic dziwnego, że reżyserem zainteresował się Lars von Trier, który w 1995 r. ogłosił z kolegami manifest Dogmy. Tak powstał „Julien donkey-boy” (1999) Korine’a, pierwszy zrealizowany poza Europą film Dogmy o tytułowym bohaterze, schizofreniku, który zapładnia własną siostrę i ma bardzo nietuzinkowego ojca (w tej roli sam Werner Herzog), spacerującego po domu w masce gazowej Niemca. Dla niektórych to jedynie nieznośny zbiór chaotycznych obrazów, dla nielicznych: kino wybitne i hipnotyczne. Ale z pewnością zasadam Dogmy, jak pisał Korine w specjalnym „wyznaniu »Juliena

W końcu lat 90. sukces zaczął Korine’a przynosić. Odkrył narkotyki i powoli wszystko zaczęło się sypać.

donkey-boya” było różnie. Bo np. balony w scenie przyjęcia zostały napompowane przez aktorów, a cięża głównej bohaterki granej przez Chloë Sevigny, udawana: „Próbowałem ją zapłodnić naprawdę, ale się nie udało. Przyszynaj, może to moja wina”.

W końcu lat 90. sukces zaczął Korine’a przynosić. „Kiedy go poznałam, nie palił, nie pił kawy, brał prysznic dwa razy dziennie i spędzał większość czasu na pisaniu, chodzeniu do muzeów i szukaniu inspiracji. Ale potem odkrył narkotyki i powoli wszystko zaczęło się sypać” – wspominała Sevigny. Sam Korine przyznaje, że być może wiele rzeczy potoczyło się w jego życiu zbyt szybko: „Mieszkałem wreszcie w Nowym Jorku, wreszcie zacząłem robić filmy, ale moja rzeczywistość całkowicie się zmieniła. Miałem wrażenie, że wszyscy chcą tylko sięgnąć po mój portfel. Biegłem i nie wiedziałem dokąd. Zaczęłem brać, bo chciałem zwolnić”.

Tygodniami nie wstawał z łóżka. Rozstał się z Sevigny, pokłócił z przyjaciółmi, spalił za sobą mnóstwo mostów. Rozczarowało go też kino – przez kilka lat nie nakręcił filmu, bo nie był w stanie znieść towarzyszącej im biurokracji. „Żyłem jak tramp, miałem wrażenie, że już nic mi nie zostało” – wspominał reżyser. Uratowała go agnès b., kultowa projektantka i jedna z najbarwniejszych postaci świata mody – wspólnie założyli firmę produkcyjną o nieprzypadkowej nazwie O’Salvation, a agnès b. wyprodukowała kolejne filmy Korine’a: „Pana Samotnego” (2007), „Trash Humpers” (2009) i „Spring Breakers”.

Nonszalancki lump kręci teledyski

Czy faktycznie Korine jest dziwakiem, czy tylko za takiego chce być uważany? Fizycznie kreuje się na nonszalanckiego lumpa. W wywiadach opowiada niestworzone rzeczy, które wymyśla niczym rasowy mitoman. Ale przez to właśnie nie przestaje fascynować.

Jako ikona amerykańskiego kina niezależnego może sobie pozwolić na wszystko. Choćby na dokument o przyjacielu iluzjoniście, który postanowił 44 dni spędzić w szklanym pudle nad Tamizą bez jedzenia („David Blaine: Above the Below”) albo fabułę o komunie, w której żyją sobowtóry Michaela Jacksona, Marilyn Monroe, Charlie’ego Chaplina, Jamesa Deana i papieża („Pan Samotny”). Może też zrobić eksperyment w rodzaju „Trash Humpers”, który przypomina język pokazany publiczności. Na ekranie prawie nic nie widać (film zrobiony został w konwencji zniszczonej kasety VHS), a jeśli coś uda się dojrzeć, to bohaterów przypominających „Idiotów” von Triera, którzy uwielbiają niszczyć, uprawiać seks ze śmietnikami albo wyżywać się na sobie nawzajem.

Jednocześnie potrafi kręcić teledyski (m.in. „Sunday” Sonic Youth z Macaulayem Culkinem), na poły amatorskie, krótkie filmiki wrzucane na YouTube, reklamy, ale też filmy w rodzaju „Czwartego wymiaru”, zamówionego przez znaną markę piwa tryptyku, którego jedną z części zrealizował Jan Kwieciński. Opublikował parę książek (bohaterami

„A Crack Up at the Race Riots” są m.in. M.C. Hammer i Vanilla Ice!), albumów ze zdjęciami, napisał tekst dla Björk („Harm of Will”), a nawet razem z Brianem Degrawem z Gang Gang Dance wydał płytę „SSAB Songs”. Chociaż twierdzi, że nie wie, co na niej jest, bo słuchał jej tylko raz. Nadmiar pomysłów?

Być panem Everybody

4 stycznia Harmony Korine skończył 40 lat: trochę za dużo, by ciągle funkcjonować jako „wschodząca nadzieja kina”. „Być może mogłem przez ten czas zrobić więcej, lepiej, inaczej” – mówił niedawno. „Ale wciąż uważam, że lepiej zaryzykować i ponieść porażkę, niż iść przetartym szlakiem i wygrać”. Jeśli któreś z jego filmów odniosły komercyjny sukces, to pierwszy, do którego napisał scenariusz – i ostatni, który również wyreżyserował. Zresztą, czy „Spring Breakers” nie są w pewnym sensie kontynuacją „Dzieciaków”?

Blisko 20 lat temu film Larry’ego Clarka szokował, bo z naturalistyczną dosłownością pokazał małych, dla których sposobem na „zabawę w dorosłych” był seks: prząsny, banalny, odpychający i na dodatek obciążony niebezpieczeństwem HIV. W „Spring Breakers” bohaterowie są nieco starsi, ale też w dorosłych tylko się bawią. Ale seks to już powszedniość – liczy się opakowanie, sceneria, ciało, gadżet. A wiosenne wakacje to mało – dorosłość nie ma sensu, jeśli nie będzie niekończącą się zabawą. Czy sam Korine z niej wyrósł?

„Moje życie stało się ostatnio zaskakująco... komfortowe i ułożone. I trochę mnie to przeraża” – przyznawał niedawno. W „Spring Breakers” jedną z dziewczyn gra jego żona, młodsza o 14 lat Rachel Korine, którą poznał na planie teledysku „No More Workhorse Blues” Bonnie „Prince” Billy’ego, kiedy miała 17 lat. Po nowojorskim szaleństwie Korine wrócił do rodzinnego Nashville, kupił ziemię i dom tuż obok szkoły, do której chodził w dzieciństwie.

„Kiedy miałem siedem lat, najbardziej chciałem być jednym z sąsiadów, zwyczajnym panem Everybody. I to marzenie chyba się powoli spełnia”.



Kino jak trip po narkotykach

Harmony Korine w rozmowie z Moniką Brzywczy

Skąd pomysł na tego rodzaju film? Czy jako nastolatek miał pan jakieś doświadczenia ze „spring break”?

Nigdy nie byłem na „spring break”! Ale zanim napisałem scenariusz, spędziłem kilka lat, zbierając materiały, obrazki z Internetu, z różnych miejsc w Stanach, w których celebryci się tę wiosenną przerwę. Myślę, że to wyjątkowy – w skali globalnej – amerykański zwyczaj, święto, karnawałowy tydzień pełen alkoholu, narkotyków i seksu, po którym wracasz do szkoły i udajesz, że nic się nie stało. To świetny punkt wyjścia i tło dla akcji filmu.

Większość pana filmów opowiada o nastolatkach, zaczynając od scenariusza legendarnego filmu Larry’ego Clarka „Dzieciaki” przez „Gumbo” czy „Julien donkey-boy”. Dlaczego lubi pan filmować dzieciaki?

Dobre pytanie! Hmm... Sam nie wiem, ale rzeczywiście kilka moich filmów opowiada o nastolatkach lub raczej o „dude culture”. Może dlatego, że nastoletniość to czas lekkomyślności w życiu każdego z nas, kiedy zasady czy logika nie odgrywają większej roli, kiedy bardziej liczy się emocjonalność, sek-

sualność, a myślenie o konsekwencjach jest zepchnięte na dalszy plan.

Filmy „Dzieciaki” i „Spring Breakers” dzieją się prawie 20 lat. Jaka jest różnica między tymi generacjami nastolatków? Coś się zmieniło?

W swojej niedojrzałości są podobni. Mają te same potrzeby, idee, kierują nimi podobne impulsy. Różni je sposób, w jaki odnoszą się do siebie nawzajem. Kiedy robiliśmy „Dzieciaki”, nasi bohaterowie byli bardziej zmarginalizowaną grupą społeczną, to była taka subkultura ukryta w cieniu. To były nastolatki, które chciały uciec od kłopotów, ze swojego życia. Teraz obserwujemy odwrotny proces. Media społecznościowe, technologia, wszystko to sprawia, że dzieciaki stają się coraz bardziej ekshibicyjne. Wszystko kręci się wokół tego, żeby pokazać siebie, zostać odkrytym, jak najskuteczniej dzielić się z innymi swoim życiem. Więc zmieniło się całkiem sporo.

Mówi pan o pokoleniu wychowanych na YouTube, grach wideo, telewizji. Jaka jest różnica w ich mentalności, są po prostu bardziej brutalni, bardziej bezwzględni?

Nie sądzę. Myślę, że po prostu są inni, że idea „brutalności” bardziej odzwiercudla to, co dzieciaki oglądają w grach komputerowych czy telewizji. Przez co jest bardziej wyabstrahowana.

Scenariusz „Spring Breakers” pisał pan podczas spring break w Panama City, w centrum wydarzeń... Tak pan o tym opowiadał: „Widziałem dzieciaki rzygające na moją wycieraczkę, uprawiające seks w korytarzu, podpalające różne rzeczy”. Zawsze przygląda się pan rzeczom, które chce sfilmować, z tak bliskiej odległości?

Lubię tak pracować. Łapię wtedy wiele detali, kolorów, atmosferę miejsca, zazwyczaj widzę film trochę inaczej niż producenci. Inaczej wizualnie. Dlatego lepiej rozumiem, o czym piszę. Staram się, by film był pewną kondensacją realnego świata, bardziej namacalny, bardziej fizyczny, jak trip po narkotykach. I dlatego spędzam w lokacji dużo czasu, pozwalam się sobie zagubić. Pięć szybko, ale trawię temat przez pewien czas. Napisanie „Spring Breakers” zajęło mi 10 dni, ale myślałem o tym filmie, śniłem go przez rok.

Głównymi bohaterkami filmu są dziewczyny, które można by nazwać utożsamieniem tzw. głupiej amerykańskiej blondynki... To parodia? Nie, nie, nikogo nie chcę parodiować, nie zrobiłem jakiegoś „exposé” czy nawet dokumentu. Zrobiłem po prostu film, w którym występują takie, a nie inne charakterystyczne postaci.

Liquid narration lub pop-poem to określenia nowego stylu narracji filmowej. Bardziej przeżywać film, niż tylko go oglądać.

Tak. Rozwijam tę technikę już od pewnego czasu. Staram się, żeby film opierał się raczej na pewnym typie energii, uczuciach niż tradycyjnej logicznej narracji. Chcę, żeby moje filmy były dzikie, nieokielzane, zaprzeczające logice. I do tego używam właśnie płynnej narracji.

Co na to aktorzy? Potrzebują czegoś ekstra, by wdrożyć się w ten sposób filmowania? Stwarza im pan jakieś specjalne warunki do pracy?

Trochę tak, kreuję odpowiednie otoczenie. Projektuję, a potem zachęcam, ośmielam. To jest jak z chemikaliami. Wrzucasz coś do butelki, potrząsasz, a po chwili oglądasz eksplozję.

Świetnie sfilmował pan środowisko gangstera, doskonale łącząc dźwięk z obrazem. Czy dostał pan już propozycję nakręcenia hiphopowych klipów?

(Śmiech) Nie, jeszcze nie, ale marzę o tym! Mógłbym filmować te wielkie pupy dziewczyn na okrągło!

Filmy kręci pan według własnych pomysłów, scenariuszy, jest to od prawie dwóch dekad kino autorskie, czy to znaczy, że nie ma pan propozycji od producentów mainstreamowych?

Jestem otwarty na propozycje, ale zazwyczaj widzę film trochę inaczej niż producenci. Inaczej wizualnie. Dlatego najczęściej sam piszę scenariusze, bo tylko tak mogę zagwarantować sobie jako reżyserowi obrazy i sceny, które naprawdę chcę nakręcić.

Gdy kończy się plan, film jest nakręcony, co najchętniej pan robi? Ma pan jakieś specjalne sposoby, żeby się zrelaksować?

O tak. Maluję obrazy, czasem tworzę instalacje. Takie moje dzieła sztuki.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Ulrich Seidl
Austria/Francja/Niemcy, 2012,
Against Gravity, 120 min
👍👍👍👍

DRAMAT
Raj: wiara

Owładnięta religijną obsesją kobieta prowadzi działalność misjonarską w domach austriackich „strasznych mieszczan”. Wszystko zmienia się z chwilą, gdy w jej własnym domu pojawi się niepełnosprawny mąż muzułmanin. Środkowa część tryptyku o cnotach – może nie tak wybitna jak „Miłość”, ale na pewno nieodbiegająca od niej spójnością formalną i stężeniem sarkazmu. Z powodzeniem broni się nie tylko jako analiza okoloreligijnych wynaturzeń, ale także (a może przede wszystkim) jako kapitalne, choć wyjątkowo ciężkostrawne studium toksycznego związku. Seidl kolejny raz udowadnia, że jak nikt potrafi przełamywać makabrę smolistym poczuciem humoru, co jego wizję czyni tym dotkliwszą.



reż. Djinn Carrenard
Francja, 2010, Stowarzyszenie
Nowe Horyzonty, 133 min
👍👍👍👍

DRAMAT
Donoma

Triumf kreatywności nad mamoną – plotka głosi, że „Donomę” nakręcono za... 150 euro. Jednak to nie budżetowa dyscyplina imponuje tu najbardziej, ale bystre oko twórcy filmu. Patchworkowa historia paru ząbających się romansów okazuje się bowiem zaskakująco trafną analizą współczesności, do której słowami kluczami wydają się m.in. samotność, egoizm, przymus bycia „cool” czy wizualne à la Instagram „podkręcanie” codzienności. Carrenard ma narracyjny dryg, potrafi też świetnie prowadzić aktorów, zarzucić mu można jedynie to, że ewidentnie nie potrafi się rozstać z nakręconym materiałem. Kilka interwencji nożyczkami wyszłoby filmowi tylko na dobre. Ale generalnie – czwórka z dużym plusem.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Szykujcie się

Smoki, magia, miecz i podstępne intrygi nadchodzą! Trzeci sezon „Gry o tron” od 1 kwietnia w HBO.

„To juuuuz koniec?!” – przeciągły jęk zawodu przebiegł przez salę kinową po pokazie prasowym pierwszego odcinka „Got”. Wszyscy chcieli więcej – i bardzo dobrze, w końcu właśnie takie uczucia powinien budzić w widzach prawidłowo skonstruowany serial. A jeśli budzi je w krytykach filmowych – ludziach z definicji zblazowanych i marudnych – to już w ogóle epickie zwycięstwo. Na brak epickiego rozmachu z pewnością nie będziemy narzekać. Produkcja osiągnęła blockbusterowy poziom, a fabuła się zagęszcza: Daenerys (Emilia Clarke) zbiera armię i tuczy smoki, klan Starków jeszcze mocniej zwiera szereg i szuka bitki, a Lannisterowie dostarczają emocji – Cersei (Lena Headey) knuje, Jaime (Nikolaj Coster-Waldau) ucieka, a Tyrion (Peter Dinklage) konfrontuje się z ojcem (Charles Dance). Jak zwykle jest też autorem bezbłędnych bonmotów i obezwładniających ripost. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to nie jestem megafanką „Got” – doceniam urodę, lubię polityczne rozgrywki i mam słabość do smoków, ale „nie płakałam po Nedzie Starku”, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ze Starków wciąż najbliższy jest mi Tony (taki żarcik dla nerdów), jednak czuję gigantyczny szacunek dla twórców tego show. David Benioff i Daniel B. Weiss robią dobrą robotę, choć nikt się tego nie spodziewał. Jak sami wspominali podczas hollywoodzkiej premiery „Got”: „Siedem lat temu spotkaliśmy się z Georgem R.R. Martinem po raz pierwszy, by podczas trwającego pięć godzin lunchu przekonać go, by pozwolił nam sfilmować swoją wspaniałą sagę. Choć nigdy wcześniej nie produkowaliśmy serialu. Ani filmu. Ani nawet internetowego filmiku”. I to jest naprawdę krzepiąca pointa.



PIOTR STELMACH

Bóg, honor i syntezator

Najnowsza płyta Depeche Mode „Delta Machine” właśnie trafiła do sklepów. I choć daleko jej do najlepszych albumów zespołu, fani mogą się czuć dopieszczeni.

Wydają się niezniszczalnymi herosami. Ponad 30 lat stażu. Gigantyczna i prawdopodobnie największa obecnie na świecie społeczność fanów. Płyty będące wyborem pomostem między elektroniką a rockiem, stanowiące popkulturowy kanon („Violator”, „Songs of Faith and Devotion”). Dziesiątki znakomitych, odnoszących sukcesy na listach przebojów po obu stronach Atlantyku singli. Wielkie, brawurowe koncerty. Triumfalne trasy. Zero roztopiania swojego dorobku poprzez udział w projektach typu „nowe wersje naszych starych kawałków”. Zero desperackich prób wykazywania dodatkowych źródeł dochodu i zwoływania fanów na spedy z gościnnym udziałem orkiestr symfonicznych. Dyktans do cwanej autopromocji w formie niezliczonych koncertów charytatywnych. Jeśli porażki, to tylko na własne życzenie. Ale zazwyczaj zwycięstwa.

Elektroniczna rehabilitacja

Są prawdopodobnie jedynym zespołem muzycznym z najwyższej półki, w którego skład wchodzi... niemuzyk. Worek złota można ofiarować w ciem-

no biografowi, który we wnikliwym elaboracie opisałby twórczą rolę Andy’ego Fletchera. „Fletch” to rzecznik prasowy grupy, prospołeczna podpora dla muzycznego i literackiego pryncypała tria – Martina Gore’a. A pierwsza linia frontu? Wokalista – Dave Gahan – po raz trzeci w obszernej dyskografii Depeche Mode wzbogaca całość własnymi kompozycjami. Napisane wspólnie z mało znanym producentem Kurtem Uenalą piosenki „Secret to the End”, „Broken” i „Should Be Higher” są najbardziej komercyjnymi, co nie znaczy, że przestrelonymi fragmentami albumu. „Delta Machine” to rehabilitacja po poprzedniej, najgorszej w historii zespołu płycie „Sounds of the Universe” (2009). Jest też zdecydowanie najbardziej twórczą propozycją Depeche Mode od premiery krążka „Exciter” (2001). Elektroniczna przede wszystkim, dopiero później bluesowa, gitarowa, singlowa i kto wie, jaka jeszcze. I co ciekawe, pokazująca potencjał, jaki drzemie w instrumentalnym asortymencie wystawianym na sprzedaż we wszelkiej maści sklepach internetowych. To właśnie za ich pośrednictwem Martin Gore wzbogacał w ostatnich latach swoją i tak już potężną kolekcję syntezatorów i przeróżnych przetwarzających

dźwięk cacek. Ich brzmienia mocno wzbogaciły „Deltę”.

Optymistycznie, ale nudno

Teraz minusy. Zaskakujący jest fakt, że na promocję albumu wybrano utwory „Heaven” i „Soothe My Soul”. Pierwszy – pomimo najbardziej optymistycznego tekstu w historii zespołu – jest najnudniejszym kawałkiem nagrany kiedykolwiek przez DM. Podobnie drugi. Gdzieś kąśliwie zauważono, że są to utwory napiętnowane tzw. objawami odstawiennymi, bo lider kilka lat temu (i podobno skutecznie) rozstał się z butelką. Wydaje się też, że ekipa radośnie uwierzyła w wątpliwą umiejętność uszczęśliwiania odbiorców na siłę. „Delta...” jest bowiem płytą za długą. Do wspomnianej wcześniej dwójki dodaj bez żalu śpiewaną przez Gore’a balladę „The Child Inside”. Przeszłość Depeche Mode pokazała jednak, że zestawianie zwartych, zamkniętych całości w obrębie dziesięciu lub piętnastu dobrze skonstruowanych piosenek może być twórczym majstersztykiem. „Delta...” wprawdzie i tak nigdy nie dochrapałaby się statusu płyty wybitnej („Violator” i „Songs of Faith and Devotion”), ale trio już od kilkunastu



„Fletch” czyli Andy Fletcher (w środku) to keyboardzista, rzecznik prasowy grupy i dusza towarzystwa, prospołeczna podpora dla muzycznego i literackiego pryncypała tria – Martina Gore’a (z lewej). A pierwsza linia frontu? Jak zawsze wokalista – Dave Gahan.

ANTON CORBIN

at z uporem maniaka ignoruje zasady „mniej, a smaczniej”. Szkoda.

Techniczna szpanerka bez młotka

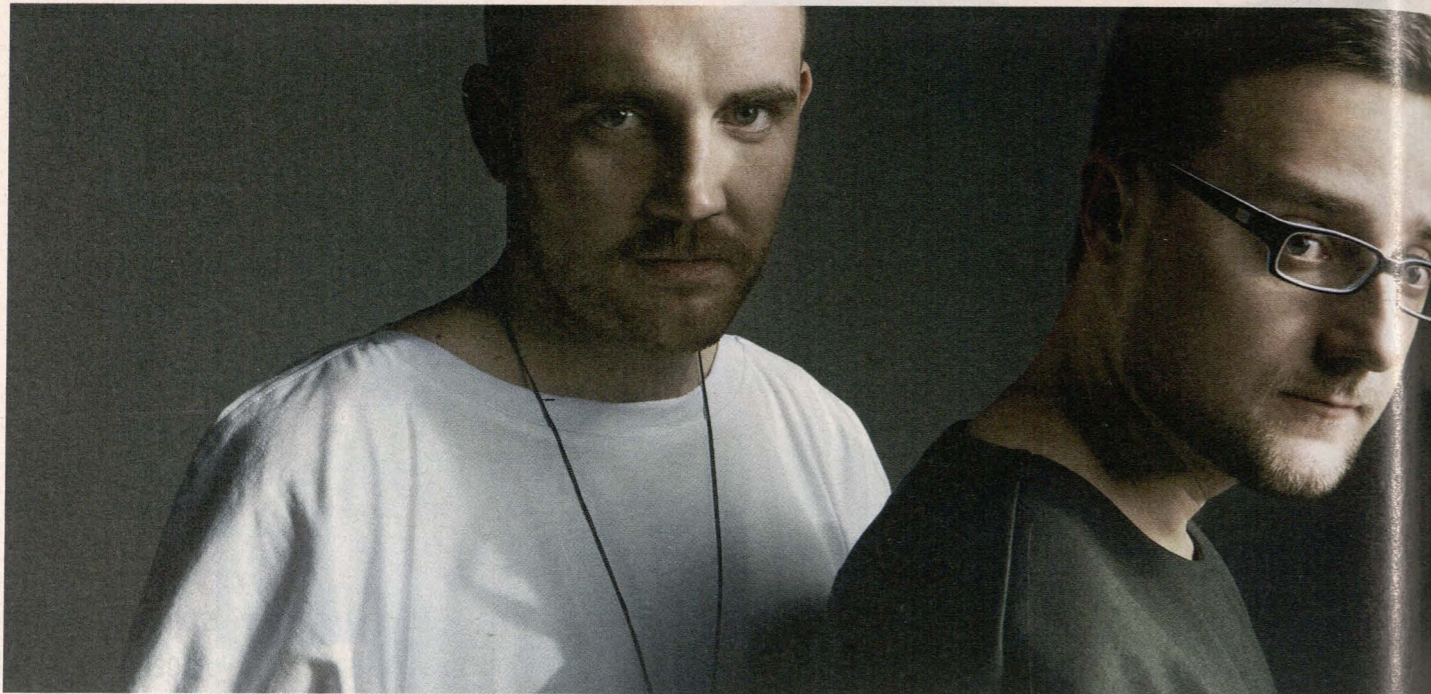
Przejdźmy jeszcze na chwilę na jasną (czytaj: lepszą) stronę mocy. Dobra, wyraźnie zarysowana linia melodyczna i niezły materiał na hit, bo wciąż mamy prawo tego od nich oczekiwać. Takie są dwie najbardziej zapamiętywalne piosenki z tej płyty – „Broken” i „Should Be Higher”. Otwierająca całość „Welcome to My” kusi dubstepowymi wstawkami i mocnym, znakomicie zaśpiewanym przez Gahana refrenem. Bluesior wspomagany elek-

troniką to zresztą główna linia programowa tego albumu. Nie tak przebojowa i chwytająca za gardło jak „Personal Jesus” i „Surrender” sprzed lat, ale na pewno warta uwagi. Tego typu stylistyka jest tu jeszcze eksploatowana w utworach „Angel”, „Slow” i „Goodbye”, którego riff ewidentnie kojarzy się ze wspaniałym „I Feel You”. „My Little Universe” z kolei jest dziś dla zespołu tym, czym w 1983 r. był dlań utwór „Pipeline”. Różnica polega jednak na tym, że ten starszy powstał wyłącznie z brzmień preparowanych za pomocą młotka i innych narzędzi, uderzających w metalowe konstrukcje

lub ich części. Obwołano go jednym z pionierskich dokonań w dziedzinie samplingu. „My Little Universe” to już techniczna szpanerka w nowoczesnym studiu nagraniowym przy rozkręconych na full elektronicznych zabawkach.

Depeche Mode wciąż są w grze. „Delta Machine” nie stanowi wprawdzie kolejnego fascynującego rozdziału poświęconego wybitnym płytom w ich historii, ale w jakiś zaskakujący sposób każe czekać na następny. Na pożegnalny chyba jeszcze nie. ☞

Autor jest dziennikarzem radiowej „Trójki”.



DOMINIKA WĘCŁAWEK

Elektronika po polsku

Grają regularnie w Berlinie i na Ibizie, jeżdżą w trasy po Ameryce, wydają od Rosji po Grecję, a słuchani są już naprawdę wszędzie. **Polscy autorzy muzyki elektronicznej** robią coraz więcej dobrego. W ojczyźnie mało o nich słyhać. Na razie.

Od początku kierunek był jeden. Świat – mówi Marcin „Groh” Grośkiewicz, założyciel wytwórni U Know Me wyspecjalizowanej w wydawaniu winyli z nową, złożoną rytmicznie i aranżacyjnie muzyką elektroniczną.

Teielte, płocki producent, którego debiut „Homeworkz” zainaugurował w 2010 r. działalność nowej oficyny, proponuje muzykę charakterystycznie klekoczącą, zderzającą organiczne, „drewniano-szklane” dźwięki kaskadowo spadającej perkusji z samplami i szatkowanymi dźwiękami syntezato-

rów. Jego najnowszy album „Crystal-line” eksportować można od ręki. Kto chce mieć własny egzemplarz, powinien się pośpieszyć. U Know Me swoje winyle przygotowuje zawsze w limitowanym, sięgającym maksymalnie 500 sztuk nakładzie.

Kixnare świętuje

– Większość starszych krążków jest już wyprzedana. Sporo nabywców pochodzi z Niemiec i z Anglii, tamte rynki bardzo szybko wchłonęły naszych artystów, ale przykładowo płyty najlepiej sprzedają się w Japonii – zauważa Groh. Po-

House'owy duet Catz'n Dogz ze Szczecina tworzą Grzegorz Demiańczuk i Wojtek Tarańczuk. Są jedynymi polskimi artystami w historii, których produkcja i kompilacja trafiła w zeszłym sezonie do top 10 podsumowań roku prestiżowych branżowych magazynów.

dobno dla Polaków en2ak jest zbyt eksperymentalny. – On jest jednym z niewielu na naszej scenie, którzy mają swój bardzo wyrazisty styl – wyjaśnia nam Teielte. Docenili to jurorzy Red Bull Music Academy, dzięki czemu en2ak, jako jeden z 63 szczęśliwców wybranych z kilku tysięcy, pojedzie pod koniec kwietnia na warsztaty muzyczne do Nowego Jorku. W międzyczasie światowa premiera będzie mieć trzecia jego płyta.

Tymczasem Kixnare, inny reprezentant U Know Me, już świętuje. Wydał kolejny album – to nawiązująca dialog z tym, co dzieje się w światowej elektronice, a zarazem osobista płyta „Red”. Poza tym udało mu się przyciągnąć uwagę 150 tys. użytkowników YouTube'a, którzy odtworzyli klip do jego piosenki „Gucci Dough”. To tylko potwierdza inne słowa Groha – jeśli coś jest dobre, ludzie w końcu do tego dotrą, nawet jeśli nie wydano milionów na kampanię reklamową. – Powoli ziszcza się to, o czym marzyłem, czyli stajemy się elementem ogólnoświatowej kultury i nie jest już istotne, skąd pochodzimy – mówi.

Polska elektronika?

O tym, że granice administracyjne nie mają sensu, przekonywać może wielu polskich artystów, choć oczywiście znacznie łatwiej jest im o tym mówić, gdy zaznaczyli swoją obecność gdzieś

dalej. Filip Kalinowski, turntablista z eksperymentalnego kIRk, doskonale wie, że specyficzną atmosferę nagrań i występów jego trio doceniano początkowo przede wszystkim poza Polską. Sam termin „polska elektronika” uważa za nieuprawniony. Brakuje mu regionalnych wyróżników czy też elementów spajających skrajnie różnorodnych twórców.

– Nie znoszę tych wszystkich narodowych dodatków przy nazwach gatunków. Inaczej sprawa ma się z krautrockiem czy francuskim electro, które to określenia nakierowywały nie tylko na kraj pochodzenia, lecz także pewne specyficzne brzmienie artystów wywodzących się z owych nurtów – twierdzi Kalinowski.

Faktycznie, jeśli ktoś przesłuchałby album „Zła Krew” wydany w lutym właśnie przez kIRk, a zaraz po nim sięgnął po wydane w podobnym czasie minialbumy innego polskiego producenta, Bartosza „The Phantom” Kruczyńskiego, nie odnajdzie wspólnego mianownika. kIRk serwuje ciężkie, mroczne i rozbudowane kompozycje zderzające typowo hip-hopowy didże- jing z brzmieniem żywej trąbki i elektroniczną produkcją. The Phantom zaś jest artystą niezwykle wszechstronnym, choć raczej nie zapuszcza się w te ponure rewiry co trio kIRk, spoglądając głów-

Filip Kalinowski, który jest turntablistą w trio kIRk, twierdzi, że w przeciwieństwie do krautrocka czy francuskiego elektro, trudno o wskazanie wyróżników „polskiej elektroniki”. I dlatego ten termin uważa za nieuprawniony.

nie w stronę parkietów. Paradoksalnie głównym ogniwem łączącym jest atencja zagranicznego słuchacza, najwyraźniej umiającego docenić taką różnorodność. Kruczyński zaczął z przytupem, jego klasyfikowany jako UK funky debutancki numer „Cambodia” grały najróżniejsze zagraniczne radiostacje, w tym... BBC Radio 1. Ostatnio przygotował remiks piosenki wokalistki Yelle wydany na winylu przez prestiżową francuską wytwórnię Kitsune. Pracuje właśnie nad solowym debiutem. W tym samym czasie koledzy po fachu przecierają szlaki.

Xilent pakuje sprzęt

– Wszystko wskazuje na to, że pierwszym Polakiem na głównej scenie dużego festiwalu w Europie będzie Xilent, którego kariera rozwija się błyskawicznie od momentu, kiedy wyniósł się z Polski na Wyspy Brytyjskie – mówi Marcin Żyski, prowadzący ftb.pl, portal poświęcony wszelkim odmianom muzyki elektronicznej. Chwali Xilenta za świetne wyczuwanie aktualnych trendów. – Tworzy przebojową muzę oscylującą między dubstepem a drum'n'bassem, mocną i hałaśliwą, a przy tym bardzo melodyjną, przypominającą czasami dokonania popularnego na świecie duetu Nero – ocenia. Xilent właśnie paku-

je sprzęt i lada chwila opuszcza Europę, by udać się w trasę koncertową po Ameryce.

Adam Zasada wrócił z Ibizy. Grywał imprezy w Warszawie, ale sporo jego w życiu się zmieniło, gdy wygrał międzynarodowy konkurs BURN Residency, dzięki któremu mógł regularnie prowadzić imprezy w klubie Mambo. Tym samym nasz reprezentant w wieku 19 lat wywalczył sobie pozycję na wyspie uważanej za jedno z imprezowych centrów Europy. Wróci na nią zresztą, ale nie jako konkursowicz, tylko pełnoprawny artysta. Po powrocie nie spoczął na laurach. Wystartował serią interaktywnych imprez audiowizualnych SLOWmotion, które w 2013 r. odbędą się m.in. w Sopocie i Krakowie. W wakacje będzie grać w Londynie. Pracuje też nad premierowymi utworami. Zwiastunem nowego minialbumu może być utwór „Destiny”, który doczekał się oglądanego przez tysiące internautów klipu.

Adres i debiut za granicą

Uciec pod zagraniczny adres: zameldowania albo przynajmniej e-mailowy. Takie posunięcie wydaje się racjonalne choćby dlatego, że nad Wisłą wciąż brakuje agencji, odpowiedniego managementu, struktur i mechanizmów pozwalających odpowiednio wypro-



mować artystę elektronicznego. Większość wybiera jednak drogę pod górę i pokonuje ją małymi krokami. Luto Lento, muzyk, a zarazem właściciel wytwórni Sangoplasmo specjalizującej się w eksportowaniu muzyki elektronicznej na kasetach, swoją markę budował cierpliwie, zwracając się przede wszystkim ku rynkom zagranicznym. – Co ciekawe, jego odbiorcy, a ma ich niemal w każdej części świata, słuchają tych kaset, a nie tylko je kolekcjonują – zauważył inny wydawca płytowy.

Pierwszym „poszukującym” muzykiem elektronicznym, który wydał kasetę poza Polską był Bartosz „Pleq” Dziadosz. Zaczął od tego, że wysyłał demówki do zagranicznych wytwórni.

W ten sposób jego debiutancki „Lucid dream” ukazał się w Niemczech nakładem także startującej wówczas oficyny Halbsicht. – Potem przyszła seria zagranicznych wydań. Często ludzie nie dowierzali, że jestem z Polski, przeważnie strzelali, że Pleq to Japończyk albo Francuz – mówi producent. Potwierdza też to wielobarwność rodzimej muzyki elektronicznej, niemożliwość podpięcia jej pod jeden schemat. Przykład Xilenta wydaje się pokazywać, że mniej wyrafinowany, bardziej intensywny repertuar do „wyżycia się” popłaca. Z tym że Bartosz udał się akurat w przeciwnym kierunku. Wspomina, że uwagę przyciągnął w chwili, gdy skupił się na bardziej bezbitowej muzyce. Eksperymenty owocowały płytami w duetach z Hideką Umezawa, Marihiko Harą, Jasonem Corderem i wieloma innymi zagranicznymi muzykami. – Do tej pory trzymam się kooperacji, dzięki temu zacząłem częściej grywać za granicą niż w naszym kraju – przyznaje Pleq.

Zapraszani i lubiani

Artysta może się pochwalić jeszcze jednym ważnym osiągnięciem. – Zostałem kuratorem moskiewskiego labelu Dronarivm, który prowadzi razem z Dmitrem, i drugiego małego wydawnictwa w klimatach techno deep minimalu, którym kieruję razem z moim dobrym znajomym z Anglii Harrym Towellem – wylicza.

Jednocześnie tworzy kilka pobocznych projektów, na przykład The Frozen Vaults. To składający się z pięciu osób żyjących w różnych częściach świata zespół, który łączy elektroniczne brzmienia z dźwiękami skrzypiec, wiolonczeli i fortepianu. – Zawsze marzył mi się projekt orkiestra, który tak naprawdę rozwija się poprzez Internet. Z Frozen Vaults jestem bardzo dumny, także dlatego, że nasz utwór znalazł się na kompilacji charytatywnej wydanej przez amerykańskie Headphone Commute, dzięki czemu jesteśmy obok takich artystów jak Max Richter, Olafur Arnalds czy Peter Broderick.

Najważniejsze jest nie bycie obok, ale bycie razem. Tu nasuwa się przykład KDMS, twórców nowego, bezprezjonalnego disco chwalonego chociażby przez krytyków dziennika „The Guardian”. KDMS zauważył Snoop Dogg, a lubi go ponoć sama Madonna! To w trzech czwartych polski projekt. Muzycznie odpowiada za niego Max Skiba. Gdy jest na scenie, towarzyszą mu Jurek Zagórski i Wojtek Sobura. Wokalistką w KDMS jest natomiast obdarzona świetnym głosem Brytyjka Kathy Diamond. Takie pełnowymiarowe, polsko-zagraniczne przedsięwzięcia mówią o polskim potencjale więcej niż imprezowe bookingi i oferty wydawnicze. Jeżeli wchodzący dopiero w poważne życie polski producent i wokalista Oscar Burnside jest zapraszany do projektu przez ikonę wyspiarskiego acid house’u, jaką jest A Guy Called Gerrald, to znaczy, że naprawdę jesteśmy traktowani na równi i kompleksy można zostawić w szafach.

Prekursorzy inwazji

Żeby stać się częścią światowej sceny muzycznej, nie trzeba wymieniać paszportu. Udowadniają to inni ceniący twórcy, którzy najpierw przetarli szlaki, a teraz pomagają też innym. Jak mówi Marcin Żyski, przez wiele lat naszymi czołowymi przedstawicielami na świecie byli panowie pochodzący z Warszawy i Poznania. Pierwszy to specjalista od minimalistycznego techno Jacek Sienkiewicz, drugi to Marcin Czubała.



Kixnare: „Stajemy się elementem światowej kultury i nie jest już istotne, skąd pochodzimy”.



en2ak jako jeden z nielicznych Polaków ma niezwykle wyrazisty styl. Docenili to jurorzy Red Bull Music Academy, zapraszając go na warsztaty muzyczne do Nowego Jorku, które odbędą się pod koniec kwietnia.

Jacek Sienkiewicz, specjalista od minimalistycznego techno, uważa, że jakość i liczba utworów made in Poland rośnie m.in. dzięki dostępowi do taniejcych instrumentów i sprzętu.



SZYMON ROGINSKI

Obaj wydawali co prawda dla prestiżowych zachodnich wytwórni (Cocoon, Mobilee), obaj prowadzą też jednak własne wydawnictwa płytowe. Sienkiewicz, założyciel labelu Recognition, zauważa, że ostatnie lata przyniosły kilka zmian. Najłatwiej zauważyć te banalne, związane z upowszechnieniem dostępu do dobrych i niedrogich instrumentów czy programów. Dzięki temu jakość i liczba nowych nagrań od młodych twórców w Polsce systematycznie rośnie. Co za tym idzie, coraz trudniej słuchaczowi rozróżnić się w tym, co wartościowe. Dawniej wyznacznikiem mogło być wydanie płyty w dużym wydawnictwie. Teraz jest inaczej. Jak mówi Sienkiewicz, ludzie zrozumieli, że nie ma co liczyć na duże wytwórnie, więc starają się wydawać sami. – Ja też pomagam twórcom w ramach Recognition. Interesują mnie zwłaszcza ci, którzy nie gonią za karierą i nie próbują być modni za wszelką cenę, tylko przekazują coś świeżego i osobistego – tłumaczy Jacek. Wśród wydawanych przez niego twórców są choćby ciepło oceniani przez zagranicznych recenzentów Chino, czyli katowicki specjalista od detroit techno, ale też młody, pomysłowy Tomek Sroczyński, czyli – jak to ujął wydawca – twórca bardziej melodyjnych, czasem nawet zabawnych utworów ze słowiańską duszą.

U podstaw na piątkę

Dzięki pomocy Marcina Czubała zaistnieć mogła choćby popularna za naszą zachodnią granicą Viadrina, on też (między innymi) wydaje wspomnianego The Phantoma. Prace u podstaw na piątkę zalicza również duet didżejsko-producentki Catz 'n Dogz. – To szczecinianie, którzy porzucili techno dla muzyki house i poczuli się w tych klimatach tak dobrze, że pod koniec ubiegłego roku stali się jedynymi polskimi artystami w historii, których produkcja i kompilacja trafiła do top 10 podsumowań roku prestiżowych branżowych magazynów – mówi Żyski. Catz 'n Dogz, czyli Grzegorz Demiańczuk i Wojtek Tarańczuk, mogą mówić o prawdziwie harmonijnej karierze o tyle, że od początku obecni byli zarówno w kraju, gdzie mieli choć-

by audycję radiową, jak i poza nim – tam przede wszystkim grywali imprezy. Gdy już ugruntowali swoją pozycję, wystartowali z Pets Recordings, własnym wydawnictwem, w którym, jak mówi Wojtek, rozwijają ideę łączenia Polski z resztą świata. Dobrym przykładem jest dwupłytkowa składanka „Friends Will Carry You Home Too”, którą panowie właśnie wydali. Wśród kilkunastu autorów utworów i remiksów można znaleźć wielu ciekawych twórców, zagranicznych i rodzimych, choćby Kamp!, Eltrona Johna, Chmarę Winter czy Adama Zasadę.

W 100 procentach polskim, wypromowanym przez nasze festiwale i nasze portale towarem eksportowym na scenie melodyjnej elektroniki jest Kamp!. – Zaczynali od dosyć mocnych dźwięków electro, ale na debiutanckim albumie zdecydowanie skręcili w kierunku klimatów z lat 80. i melancholii – opowiada Żyski. Szerszy odbiorca pokochał kempowe klimaty, co pokazuje remiks piosenki „Dancing Shoes” Brodki z ponad 700 tys. wyświetleń na YouTube. Sam zespół marzec rozpoczął od występów na ważnym amerykańskim festiwalu SXSW, skąd ruszył na kolejne występy w USA.

Na żywo i unikatowo

Co ciekawie, członkowie Kamp! mogą się pochwalić metalową przeszłością. Podobnie basowy producent Substep Infrabass. Teielte i Kixnare byli hiphopowcami, Sobura wywodzi się z jazzu, a Krojc, autor zremiksowanego właśnie, chwalonego „Pirxa”, pamiętany jest jako gitarzysta rockowego (między innymi) Lao Che, stamtąd zresztą wyniósł zwyczaj nagrywania albumów ściśle podporządkowanych pewnym konkretnym koncepcjom. Do tego dokłada granie na żywo unikatowych kompozycji. – Po prostu szkoda mi czasu na długie przygotowania, których celem jest jak najbardziej wierne odegranie płyty. Wolę tworzyć nowe rzeczy – mówi muzyk, ale dodaje jednocześnie, że nowe fragmenty przeplata motywami znanymi już z albumów, żeby publiczność wiedziała, na jakim koncercie się znajduje.

Płyty ocenia Angelika Kucińska

POP

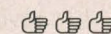
Groupie na salonach

Była pierwsza dama z wstydliwą przeszłością skutecznie się kamufluje – na „Little French Songs” Carla Bruni jest wzorem dyskretnej elegancji.

Kiedy Sarkozy oświadczał się eksmodelce, oburzeni Francuzi protestowali, bo przecież prezydentowi nie wypada zakochać się w kontrowersyjnej celebrytce. Bruni to sprytna groupie nowego typu – muzyków porzuciła dla miliarderów, by tych potem odstawić dla mężczyzny z władzą. Francja może jej nie wybaczyć niegdysiejszych skandali, sama Bruni jednak już dawno o nich zapomniała – „Little French Songs” to płyta skandalicznie grzeczna (pomijając tekst, w którym



Carla Bruni, „Little French Songs”, Universal



ERIC FEFERBERG/AP

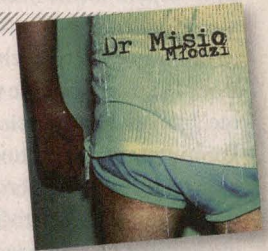
przyznaje, że tęskni za towarzystwem Keitha Richardsa). Bardzo skromnie zaaranżowane, akustyczne piosenki sięgają do folkowej tradycji, ale w uniwersalny popowy sposób. Nie przeszkadzają, ale i nie angażują. Tytuł zresztą obnaża wszystko – francuskie, więc przyjemne, ale faktycznie nie wielkiego.

ROCK

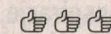
Kiedy aktor gra wokalistę

Arek Jakubik obsadza się w roli, której nie dał mu nawet Smarzewski – niewyżytego rockmana.

Każdy chłopiec chciałby mieć rockandrollowy zespół, wiadomo. Nie każdy powinien. Dr Misio, zespół dowodzony przez śpiewającego aktora, sprawdza się jako egzotyczny epizod w życiorysie (taka ciekawostka), ale ciężko doszukać się na „Młodych” szczególnej wartości muzycznej. To płyta rockowa, jednoznacznie i po polsku – prosta i głośna, może nawet sympatyczna w bezkompromisowej naiwności. Nie błyszczy piosenkami, ale przyciąga uwagę drugim planem, bo teksty napisał pisarz i publicysta Krzysztof Varga, mieszając cyniczne linijki o śmierci z sieciowego hipermarketu z sentymentalnym lamentem, że „nawet ładne dziewczyny chcą tylko wyjść za mąż”. Podstarzali chłopcy to kupią.



Dr Misio, „Młodzi”, Universal



MONIKA BRZYWCZY

Panowie z kwiatami

Poznańskie Jeźyce. Na parterze jednej ze starych kamienic w połowie marca otworzyła się awangardowa kwiaciarnia Kwiaty & Miut.

Tu nie rządzi pani Bożenka, która pyta: „Z przybraniem czy bez?”. I czy w celofan pakować. W Kwiatach klientów obsługuje Łukasz Marcinkowski, blondyn o hipsterskich atrybutach: koszula i broda. Z zawodu jest florystą. Skończył Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu, ale po zrobieniu magisterki z ogrodnictwa nie do końca wiedział, co ze sobą zrobić, postanowił więc studiować wnętrzarsztwo na ASP. Trzy tygodnie temu obronił dyplom z projektowania mebli. Ale przez cały okres drugich studiów, w wolnych chwilach, pracował w jednej z poznańskich kwiaciarni, zajmował się dekoracjami roślinnymi na różne okazje. – Gdy kończyłem studia, wyklarowała mi się wizja, co chcę dalej robić. Dotarło do mnie, że nie wyobrażam sobie, bym do końca życia siedział przed komputerem i projektował wnętrza dla bogatych ludzi. Stwierdziłem, że bardziej mnie pociągają rośliny, kompozycje kwiatowe – opowiada Łukasz. Tak powstał pomysł na Kwiaty & Miut.

Meble, inspiracje, upominki, tekstylia

– Nie chciałem kolejnej prowansalskiej szafy z lawendą czy budy z kwiatami. Nie wyobrażałem sobie, żeby moja kwiaciarnia znajdowała się w centrum handlowym – deklaruje Łukasz. – Początkowo miałem pomysł, żeby zrobić kwiaciarnio-kawiarnię. I pewnie do tego jeszcze wrócę w przyszłości. Bo moją ideą jest stworzenie miejsca spotkań. Właśnie taki charakter mają

Kwiaty & Miut. To nie tylko standardowa kwiaciarnia. Można tu też znaleźć unikatowe przedmioty: drewnianki Lamperii, kartki Headmade, odnawiane meble z lat 70., autorskie torby bawełniane ze skórzanymi rączkami i linię poduszek (to w ramach linii sygnowanych przez same Kwiaty & Miut, która ma być powiększana o nowe produkty w limitowanych kolekcjach). Są też grafiki i rysunki poznańskich artystek: Magdy Wolnej, Anny Pol i Agaty Marszałek.

Lewkonie, amarylisy, gerbery, paprocie

Ale na pierwszym planie są jednak kwiaty. Jaskry, zawilce, ciemierniki, goździki, hiacynty, chryzantemy, frezje, róże, gerbery, kalina, storczyki, arlstermeria, amarylisy, buplerym, lewkonie, lwie pyszczki, anturium, zantedeschia, miłek. Łukasz chce, żeby gatunki były

popularne w latach 70. i 80.: sansiewerie, paprocie, asparagusy, geranium.


– Wiele gatunków kupuję bezpośrednio z Holandii. Są to najczęściej kwiaty nieosiągalne na poznańskiej giełdzie. Pozostałe rośliny staram się zdobywać po prostu na giełdzie ogrodniczej. Lubię osobiście sprawdzać jakość i świeżość kwiatów – opowiada Łukasz.

Bo chodzi o zarażenie ludzi pasją do kwiatów. – Chcę odczarować obciachowy charakter ich sprzedawania, stereotypowe podejście do nich. Zbudować nową formułę kwiaciarni, nie do końca jak Warsztaty Woni. Nie chcę być „ą ę”. Moim planem jest, by docierać do młodych ludzi, którym kupowanie kwiatów kojarzy się z imienniami u ciocie i różyczką w celofanie ze złotą wstążką. Ceny są więc przystępne. Nie wyższe niż w innych poznańskich kwiaciarniach. – W całym podejściu do tej inicjatywy staraliśmy się, żeby wszystko było spójne, począwszy od logotypu, skończywszy na wnętrzu kwiaciarni. Zaprojektował je Łukasz, a identyfikacją wizualną zajął się jego współlnik Radek Berent, fotograf i grafik (lat 34), który wziął na siebie również promocję i strategię marketingową Kwiatów.

Nastolatki, sąsiedzi, ciekawscy, starsi

Skąd się wzięła nazwa? – Chcieliśmy, żeby była prosta i kojarzyła się nadal z kwiatami. A jak wiadomo, miód jest z pyłku kwiatowego, jest słodki i przyjemny w smaku. Nazwą zaznaczamy, że

sezonowe. Stara się kupować kolory i odmiany nieprzeciętne, czasem dziwne i zaskakujące. Podobnie jak i doniczkowe: ornitogallum, rypsalis, phalaenopsis, grubosze, a także te, które były

 **Bo chodzi o zarażenie ludzi pasją do kwiatów. – Chcę odczarować obciachowy charakter ich sprzedawania, stereotypowe podejście do nich.**



w naszej kwiaciarni poza kwiatami jest jeszcze to coś – ów Miut, coś miłego. A poza tym Radek ma dysleksję, każdy, kto go zna, wie, o co chodzi. Nasi klienci często pytają o nazwę i wtedy łatwiej podjąć rozmowę, zagać...

Po dwóch tygodniach funkcjonowania do „Kwiatów” trafia mnóstwo dziwnych, barwnych i ciekawych postaci. – Od nastolatek po starsze osoby z różnych grup społecznych.

Przychodzą okoliczni mieszkańcy po porady dotyczące roślin czy po prostu pogadać. Podobnie jak u fryzjera albo w osiedlowym sklepiku. Zawsze staram się odpowiedzieć na ich pytania, nikogo nie zbywam, nawet jeśli klient niczego nie kupi, to w przyszłości na pewno wróci. Przychodzą też ludzie, którzy widzieli nasz profil na Facebooku lub dostali kwiaty z naszą metką. Są to często osoby z innych dzielnic Poznania. Nawet jak kupią trzy goździki, to dla nas OK.

Czy z tego da się żyć?

– To się dopiero okaże – odpowiada Łukasz. Na razie w urzędzeniu wnętrza i rozkręceniu biznesu pomogli rodzice i bank. A przed nimi jeszcze dużo pracy, ciągle są jeszcze w fazie inwestowania.

– Niebawem robimy pierwszy warsztat florystyczny. Zamierzamy zorganizować cykliczne spotkania i warsztaty poświęcone dekoracjom roślinnym i pielęgnacji roślin. Chcielibyśmy zainicjować pomysł ogródków ulicznych na Jeźycach, przy współpracy z Fundacją Malta. Chcemy mieć w ofercie miody od wielkopolskich pszczelarzy i sezonowo przetwory owocowe od naszych mam, bo obaj pochodzimy z wioch – śmieje się Łukasz. Będą zaprojektowane przez nas opakowania i etykiety.

A klienci już się zachwycają, bo chociaż Jeźyce to penerska (czyli po poznańsku menelska) dzielnica Poznania, to wchodząc do Kwiatów, czują się europejsko, ba, nawet światowo.

ŁUKASZ BIENIECKI

Kwiaty & Miut, Poznań, ul. Szamarzewskiego 11/1

Lista 500

**Sukces to rzecz osobista.
Dowiedz się czym tak naprawdę jest
dla największych polskich
przedsiębiorców**



**NOWY NUMER
w sprzedaży**

Czytaj m.in.:

**Relikwie
na sprzedaż**

*Pamiątki po gwiazdach
kosztują majątek*

**Garnitur
szyty na miarę**

*Oto tajna broń współczesnego
biznesmena*

**Marissa
Mayer**

*Uratowała Google.
Zarabia miliony dla Yahoo!*



KUBA DĄBROWSKI

Froncek na ratunek

O międzywojennej katowickiej gwiazdzie – polski komiks z ery przedtytusowej.



Katowice, rok 1932. Dziennik „Polonia” to największy gracz na rynku wydawnictw lokalnych. Założona w 1924 r. przez Wojciecha Korfantego gazeta jest tytułem bardzo poważnym: rzetelnie donosi o wydarzeniach na świecie, publikuje zaangażowane felietony, walczy o polską tożsamość Śląska. Nakład dziennika to 40 tysięcy egzemplarzy, czytany jest głównie przez inteligencję i klasę średnią. Wojciech Korfanty, a wraz z nim cała redakcja, jest zdecydowanym krytykiem Piłsudskiego i polityki sanacyjnej, na łamach daje nieskrępowany upust swoim poglądom. Sprowadza to na redakcję spore kłopoty: pojawiają się ingerencje cenzury, sądowe wstrzymywanie nakładu, ręczne wycinanie pojedynczych artykułów z maszyny drukarskiej. Wielka „Polonia” staje na skraju bankructwa.

W wydawnictwie rodzi się szalony pomysł: zamiast ciąć koszty i walczyć o przetrwanie, lepiej przejść do ofensywy i utworzyć nowy tytuł. Ma on być bardziej przebojowy i trafić do masowego odbiorcy. Powinien być przedłużeniem linii politycznej i światopoglądowej „Polonii” – mówić to samo, ale prostszym językiem i przy użyciu mniej abstrakcyjnych argumentów. W sobotę 21 maja na rynku pojawia się popołudniówka



Froncek ma już dość nędzy, braku pracy i pleniędzy. Takie życie – do pierona, lepiej, że na drzewie skona...



Jeszcze na świat zwrócił oczy zanim w ciemną przepaść skoczy. Zaraz sznurkiem gardło ściśnie, a biedny Froncek zawładnie.

„Siedem Groszy”, „dziennik ilustrowany dla wszystkich o wszystkim”, w którym przeczytać można „wiadomości ze świata – sensacyjne powieści”.

Jedną z głównych atrakcji „Siedmiu Groszy” jest rysowana przez Franciszka Struzika historyjka obrazkowa o Bezrobotnym Froncku. Bezrobotny Froncek to mieszkający w wynajętym mieszkaniu w Katowicach „zredukowany” górnik spod Bytomia. Sytuacja życiowa zmusza go do kombinowania i imania

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

się wszelakich zajęć – od kucharzenia u lokalnego włościanina po opróżnianie biedaszybów. W śląskiej gwary (a w historyjkach gwary używa się sporo) można powiedzieć, że Froncek jest typowym „elwrem”. Froncka i jego wiernego towarzysza psa Ciapka w karykaturalnej formie dotykają wszystkie problemy, które mogą dotknąć „prostego Ślązaka”: z jednej strony są to miłość do Andzi i codzienne sąsiedzkie spory, z drugiej mniej lub bardziej otwarcie przemycane są treści społeczno-polityczne – bezrobocie, kryzys, utarczki z Niemcami (szczególnie po dojściu do władzy Hitlera). Czasami pojawiają się tematy „światowe” – Froncek wysyła się w paczce do Afryki, żeby w Abisynii walczyć przeciwko wojskom Mussoliniego. Struzik rysuje codziennie, rymowane podpisy pod kadry (dymków nie ma) wymyślają rotacyjnie dziennikarze z redakcji. Froncek szybko staje się śląską gwiazdą. Powstaje podwórkowa piosenka „O Fronckowym weselu”, w sprzedaży pojawiają się porcelanowe figurki przedstawiające komiksowego bohatera. Komiks jest jedną z głównych sił napędowych popularności „Siedmiu Groszy”. Gazeta osiąga nakład 100 tysięcy egzemplarzy, zarabia na sobie i pozwala utrzymać się „Polonii”.

Seria o Froncku umiera wraz z wybuchem drugiej wojny światowej i zamknięciem „Siedmiu Groszy”. Jej autor Franciszek Struzik w 1940 r. zostaje rozstrzelany przez hitlerowców. Po wojnie wskrzesić Froncka próbują komunistyczne tytuły „Jutro” i „Dziennik Zachodni – Wieczór”. W nowej odsłonie Froncek nie jest już bezrobotnym kombinatorem, pracuje i sumiennie przykłada się do budowy nowego ładu. Popularność nie wraca.

CEZARY POLAK

Samopsza prze na talerz

Kasza zbożowa, podstawa słowiańskiej kuchni, po dekadach odstawiła powoli wraca na nasze stoły. I nic dziwnego, bo jest zdrowsza niż wszechobecne ziemniaki i ryż, a także modna ostatnio quinoa – zarówno dla Polaków, jak i potomków Inków oraz Azteków.

Kotlety kaszowe to nasz przebój. Zamawiają go nie tylko wegeterianie. Kaszowce stanowią alternatywę dla tradycyjnych dań mięsnych – są równie pożywne i sycące, zawierają sporo białka i minerałów, dużo mniej zaś tłuszczu i złych kalorii. To świetny smakowy substytut kuchni mięsnej – mówi bufetowa w warszawskim barze Vega. Dodaje, że w czubie sprzedażowego rankingu popularności są także krupnik z pęczakiem oraz kasze jęczmienna i gryczana. – Mamy klientów, którzy przychodzą do nas specjalnie na gotowaną kaszę, którą jedzą saute lub z zestawem surówek – wyjaśnia.

Wysokie notowania kaszy w modnej knajpce w centrum stolicy nie dziwią Mieczysława Babalskiego, jednego z pionierów polskiego rolnictwa ekologicznego, który wraz z żoną od blisko 30 lat prowadzi gospodarstwo biodynamiczne w Pokrzydowie koło Brodnicy. Babalscy produkują kaszę gryczaną, jęczmienną, orkiszową oraz od niedawna owsianą. Zdaniem pana Mieczysława kasze zbożowe są jednym z największych kulinarnych dobrodziejstw pod naszą szerokością geograficzną. – Kasza jęczmienna stymuluje mądrość i siłę, owsiana daje płodność i witalność, dlatego zaczyna się nią dzień, jadając na śniadanie. Pszeniczna daje energię,

gryczana zaś pomaga w koncentracji i łagodzi zmęczenie – tłumaczy.

Perlice jak koty

Ta typologia ma jednak sens tylko wtedy, gdy kasza pochodzi z upraw ekologicznych – również pod względem smaku. Kasza, przy produkcji której używa się chemikaliów, ma goryczkę, ekologiczna zaś jest słodkawa. Ziarno trzeba dokładnie odplewić, oczyścić i połamać. Babalscy kontrolują wszystkie etapy produkcji – mają własny młyn, czyszczarnię, pakownię. Pan Mieczysław mówi, że gospodarstwo prowadzone według tych zasad jest autoregenerującym się organizmem. W ekorolnictwie stosuje się wyłącznie środki naturalne: pasze, komposty, nawozy zielone i zwierzęce oraz minerały występujące w przyrodzie. I nie tępi się szkodników ani chwastów. – Struktura ziemi doskonale broni się sama, życie glebowe się samoreguuje – mówi. Szkodniki nazywa strażnikami, którzy interweniują, kiedy równowaga w przyrodzie została zachwiana. Chwasty ziołami leczniczymi, które pojawiają się, kiedy w glebie jakiegoś pierwiastka robi się za dużo. – Rolnik ekologiczny nie niszczy chwastów, bo są one sygnałami, które wysyła mu ziemia – dodaje.

Rośliny, zwierzęta i ludzie są nieusuwalnymi elementami tego łańcucha. – Moja kasza nie byłaby tak dobra, gdy-

by nie perlice – śmieje się pan Mieczysław i zanim zdąży zapytać, co ma piernik do wiatraka, tłumaczy, że te domowe nieloty nie tylko dostarczają smacznych jaj, ale pełnią także rolę trutki na gryzonię. Ptactwo wszczynają bowiem straszliwy jazgot, którego nie znoszą myszy i szerokim łukiem omijają ich siedliska. Żeby zachować zbiory, nie trzeba więc inwestować w koty, których drapieżcze skłonności bywają uciążliwe – wystarczy umieścić obok spichrza kurnik z perlicami. – Skuteczność gwarantowana – podsumowuje rolnik.

Babalscy mają mocną pozycję na rynku ekoproduktów także dlatego, że eksperymentują. Jako jedni z pierwszych w Polsce zaczęli produkować kaszę orkiszową, jeszcze zanim produkty z orkisz, odmiany pszenicy znanej od około 4,5 tysiąca lat i propagowanej przez św. Hildegardę z Bingen, stały się u nas modne. Teraz oferują niepaloną kaszę gryczaną, która ma krótszy okres przydatności oraz lekko mdławy, mniej wyrazisty posmak, ale dzięki temu zachowuje właściwości i mikroelementy, które traci ziarno poddawane obróbce termicznej. Babalscy eksperymentują ze starymi odmianami zbóż. Oprócz orkisz uprawiają także zapomniane gatunki pszenicy – wysokobiałkową płaskurkę, odznaczającą się właściwościami antynowotworowymi, oraz sa-

moję, wykorzystywaną w leczeniu chorób przewodu pokarmowego.

Gotowanie kaszy wbrew pozorom nie jest łatwe. Pani Aleksandra Babalska radzi, żeby zaopatrzyć się w garnek z grubym dnem. Potem trzeba podgrzać w nim odrobinę oleju lnianego z pierwszego tłoczenia, wsypać kaszę i podsmżyć. Kiedy zacznie lekko strzelać i pachnieć, należy wlać wrzątek i gotować na małym ogniu, aż zgęstnieje. Wtedy trzeba zwinąć garnek w koc i odstawić, aż „dojrzeje”. Sól dodaje się pod koniec gotowania.

Odpowiedź na sushi

Pęczak i gryczana wracają na nasze stoły także w formie polskiej odpowiedzi na sushi. Kaszi, kompozycję kaszy, warzyw i owoców – w innych wersjach także serów i wędlin – zawiniętych w algi morskie wymyślił i opatentował Andrzej Zamojski, założyciel Fundacji Ochrony Zdrowia Karoliny Zamojskiej. – Kasze są podstawą piramidy żywienia i powinny być jednym z głównych składników menu, znacznie bliższym nam kulturowo niż ryż – mówi. Kaszi można kupić m.in. w warszawskich delikatesach i sklepach z biożywnością. Można też pokrzepić się nim w barach Warszawy w pociągach na kilku trasach międzynarodowych. I właśnie w ekspresie z Warszawy do Berlina skosztowa-

wał kaszi niemiecki biznesmen, który planuje rozpropagować polskie kulinarium na rynkach międzynarodowych. Kupnem patentu interesują się także Szwajcarzy.

Nawet jeśli kaszi nie zawojuje Europy, wygląda na to, że kasza, jadana na polskich ziemiach już w czasach prasłowiańskich, odzyskuje miejsce, które straciła na rzecz ziemniaków. Sprawcą rewolucji kulinarnej, która wyrzuciła płaskurkę, samopszę i orkisz z naszych talerzy, był pośrednio Krzysztof Kolumb. Przywiezione przez konkwistadorów inkaskie bulwy zadomowiły się na ziemiach Rzeczypospolitej w XVIII w. „Jabłka zaś ziemne, czyli ziemniaki, a po terazniejszemu kartofle (...) na końcu panowania Augusta III (...) znajome były wszędzie w Polsce, w Litwie i na Rusi” – notował Jędrzej Kitowicz.

Babalscy eksperymentują ze starymi odmianami zbóż. Oprócz orkisz uprawiają także zapomniane gatunki pszenicy – wysokobiałkową płaskurkę, odznaczającą się właściwościami antynowotworowymi, oraz samopszę

Niszczycielska komosa

Ostatnio popularność zdobywa u nas i na Zachodzie kolejny wiktuał z Nowego Świata, mianowicie quinoa, wysokobiałkowa i naszpikowana mikroelementami kasza z komosy ryżowej. Sęk w tym, że – jak alarmował niedawno „Guardian” – światowy boom na quinoę doprowadził niektóre rejony w Boliwii i Peru na skraj głębszej ekologicznej.

Farmerzy na wielką skalę karczują lasy pod uprawę komosy, a wielohektarowa monokultura powoduje erozję gleby i wpływa na zmniejszenie populacji lam. Komosowa hossa odbija się też na diecie i zdrowiu tamtejszych rolników. Quinoa, która jeszcze kilkanaście lat temu stanowiła podstawę ich menu, teraz zupełnie z niej wypadła, bo stała się artykułem luksusowym. Farmerzy sprzedają całą produkcję komosy (jej cena od roku 2006 wzrosła trzykrotnie) i przerzucają się na tanie, śmieciowe jedzenie zachodnie.

Może więc zamiast quinoi zapiekanej z orzechami warto zaordynować na obiad placuszki z kaszy jaglanej, kaszi albo krupnik z polskiego pęczaku. Będzie taniej i zdrowiej – nie tylko dla nas, ale także dla potomków Inków i Azteków. ☞



DOROTA WIDOWIŃSKA-ROZBUJKA

Przepisy Bartka Polaka szefa Kuchni Funkcjonalnej



KRZYSZTOF KOZANOWSKI

Placuszki z kaszy jaglanej

- kasza jaglana – szklanka
- 2 jajka
- garść lub dwie maki białej pszennej, orkiszowej lub razowej
- czosnek
- cebula
- por
- sól i pieprz

Kaszę jaglaną ugotować, dodać jajko i żółtko, nieco maki, najlepiej orkiszowej lub razowej. Wedle upodobania można dodać cebulę pokrojoną w kostkę, wyciśnięty czosnek, sól i pieprz, bardzo dobrze robi drobno pokrojona zielona część pora. Uformować placuszki (łyżką bezpośrednio na rozgrzanej patelni) i usmażyć na złoto. Polecam olej rzepakowy tłoczony na zimno. Jest złotopomarańczowy, ma piękny aromat, świetnie się na nim smaży i jest zdrowy!

Salsa z buraków:

- 3 buraki
- pęczek kolendry
- 1 chilli
- 1 cebula słodka lub 2 szalotki lub zwykła cebula zamarynowana 30 minut w miodzie i cytrynie
- ocet balsamiczny, sos Worcester

Buraki upiec w piekarniku lub ugotować (koniecznie w mundurkach). Pokroić w dość drobną kostkę. Dodać nieco octu balsamicznego, może być też sos Worcester, oliwa z oliwek lub olej rzepakowy tłoczony na zimno, kolendra – całe listki lub drobno posiekane, sól, pieprz, może być nieco chilli (świeże, pokrojone), delikatna cebulka pokrojona w drobną kostkę – cukrowa lub szalotka.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Odurzeni winem

Czy często wążacie mleko? Chleb? Marchewki? **A wino się węża.**

Jedni wężają tylko jedną dziurką, drudzy wkładają do kieliszka cały nos, wciągają aromat malin i jeżyn krótkimi, łapczywymi oddechami. Jeszcze inni stawiają kieliszek na stole, czekają, aż pierwsze, nieśmiałe zapachy same dojdą do nozdrzy. Następnie kulturowy moment degustacji: zakręcenie kieliszkiem. Mistrzowie po latach ćwiczeń po kilka godzin dziennie potrafią zabujać wino w kieliszku idealną sinusoidą.

Wino zakręcone uwalnia nowe aromaty, te głębsze, bardziej schowane, którymi wino jest podbite albo wręcz podszyte. Do tego z każdą chwilą zapachy wina się zmieniają. Pod wpływem tlenu jedne związki się utleniają w inne. Te najłżejsze, najświeższe aromaty pochodzące z winogron – owoców, kwiatów, roślin – ustępują nutom uzyskiwanym w czasie starzenia win, np. dębowej beczki, masła, wanilii i innych przypraw. Jest jeszcze trzecia rodzina zapachów, które pojawiają się w winach leżakujących wiele lat w butelkach: skóra, kawa, miód, ocet balsamiczny, a nawet spocony koń czy piwniczny grzyb. Aromatyczność win zależy od... chłodnych nocy. Im większa różnica temperatur pomiędzy dniem a nocą, tym więcej tzw. prekursorów aromatycznych. Dlatego wina z Północy są generalnie bardziej pachnące od tych z Południa. Ale wiele też zależy od szczepu winorośli. Sauvignon, riesling, traminer, muscat to zapachowcy, za to nie szukajcie bujnych bukietów w chardonnay czy merlocie.

Wino to najwyższe wcielenie idei zapachu. Aromat wina jest bardziej wielowymiarowy niż zapach kwiatów, bardzo realny i konkretniejszy niż perfum. Wino ma bukiet, profil aromatyczny, wino konsumujemy w naczyniach specjalnie

zaprojektowanych za miliony euro, żeby nam bardziej pachniało. Jak żaden inny byt przemawia do wszystkich naszych zmysłów. Ale do węchu najbardziej. Poza kolorem (o tyle mniej istotnym, że dziś większość win wygląda dokładnie tak samo) jest pierwszą rzeczą, które dociera do nas z wina. Determinuje naszą percepcję, buduje oczekiwania, stanowi pierwszy akord tej zmysłowej symfonii, jaką jest butelka wina.

Ostatnie lata to dynamiczny rozwój nauki o zapachach. Panowie i panie w białych kitlach rozbierają bukiety na czynniki pierwsze, analizują coraz bardziej skomplikowane cząsteczki, które znajdują w winie. Idzie im całkiem nieźle. Całą rodzinę zapachów występujących m.in. w cabernet sauvignon i sauvignon blanc, do których należą m.in. zielona papryka, mięta, mentol, czarna porzeczka i jej liść, liść pomidora, zidentyfikowali jako związki chemiczne zwane pirazynami. A słynną, lekko gryzącą nutę sauvignon blanc, przez jednych znienawidzoną, przez innych ukochaną, z naukową precyzją określili jako 4-merkapto-4-metylo-2-pentanon. Z kolei naftowa nuta charakterystyczna dla starszych rieslingów to nic innego jak 1,1,6-trimetylo-1,2-dihydronaftalen. Jeżeli chcecie błysnąć w towarzystwie, a nie macie głowy do długich chemicznych nazw, zawsze możecie powiedzieć, że ten pyszny riesling ma wyraźny aromat TDN.

Praca naukowa wre, ale bardzo dużo zostało do zrobienia. 4MMP i TDN to kropla w oceanie wina, związki, które akurat najłatwiej było rozpoznać. O wiele trudniej jest z malinami albo jabłkami. A przecież cudowność zapachu wina polega na jego skomplikowaniu.



1 Colomé Torrontés 2011, mandarynka, papaja, tulipany, ok. 35 zł

2 Bolognani Moscato Giallo 2011, winogrona, frezje, galaretki, ok. 69 zł

3 Beaujolais L'Ancien 2010, czereśnie, porzeczki, piwonie, ok. 69 zł

Maliną pachnie tanie beaujolais z supermarketu, natomiast najlepszy burgund pachnie konfiturą malinową rozsmarowaną na świeżej chałce, weinaną w deszczowy wiosenny dzień na tarasie. Dobre sauvignon to nie tylko kocie siki, ale i pokrzywa, szpinak, melisa, grejfrut i passiflora, i to wszystko w jednym kieliszku. W tym momencie naukowcy rozkładają ręce. Oni się zajmują analizą, a wino to synteza.

Do tego dochodzi czynnik ludzki. Mój znajomy, świetny degustator, przyszedł ostatnio na wino dzień po powrocie z Tajlandii. Nic mu nie smakowało, bukiety były stłumione, wina nie miały intensywności. Opowiadał o niesamowitych kolorach i zapachach Azji. Po powrocie do Polski wszystko wydawało mu się szare. Przypomniała mi się wizyta u jednego z najlepszych producentów chablis, zimną zimą o ósmej rano po zbyt długiej biesiadzie. Te legendarne butelki nie miały praktycznie w ogóle bukietów.

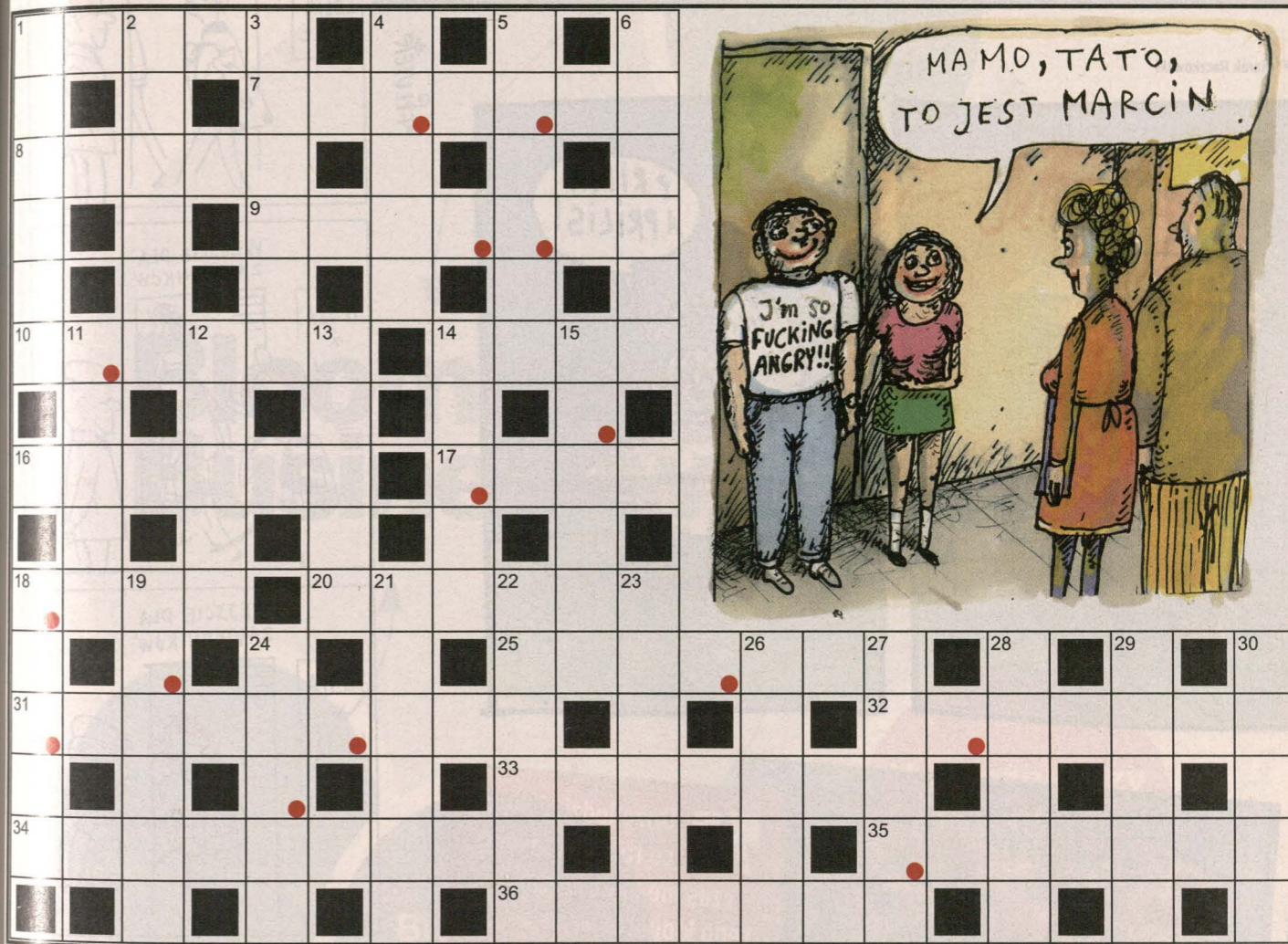
Na szczęście okres zatkań nosów i wysuszonego kaloryferami powietrza już mamy za sobą. Czas na wiosnę, czyli na zapachy. Swoje pięć minut będą miały trawiasty sauvignon, grejfrutowe verdejo, kwiatowe moscato, egzotyczny riesling, duszny viognier, orientalny gewürztraminer. A także wina różowe i król bukietu wśród czerwonych – pinot noir. Ja już mam przygotowanego świetnego burgunda z Volnay o cudownym zapachu czereśni i fiołków. Nie mam pojęcia, czy odpowiedzialne są za niego α -, czy od β -jonony. Zamierzam po prostu wsadzić nos do kieliszka.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winicyjatywa.pl, nieustraszonego eksploratora win marketowych i wszelkich innych.

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

- 1. NABĄDZ
- 7. PIERWSZE Z BRZEGU
- 8. POCIĄG OSOBOWY
- 9. WOLOWINA BEZ MIĘSA
- 10. UDAJE GREKA
- 14. IDEALNIE ZBUDOWANA DO KOSZYKÓWKI
- 16. PSUJE EFEKT
- 17. PATRON SIĘ SKLEPÓW
- 18. PRZYPARTA DO MURU
- 20. KLUCZE KONIA
- 25. WIARA DLA NIEWIARZĄCYCH
- 31. KIJOWY BIZNES
- 32. WYDZIELNICA
- 33. KONTROLER W TEATRZE
- 34. NIE GOLI WAŚÓW
- 35. GARA EMINENCJA
- 36. SŁOWO NA „K” NA MURZE

PIONOWO:

- 1. NARZECZE
- 2. CZAPA W SĄDZIE
- 3. DZIAŁA W PODZIEMIU
- 4. ZAWSZE W FORMIE
- 5. NIE PODAJE SIĘ JEJ GOŚCIOM
- 6. 1:3 W MECZU
- 11. WYSTĘPUJE PRZED WYSTĘPEM
- 12. SPRAWA DLA REPORTERA
- 13. OJCIEC MATKI GORKIEGO
- 14. WYRYWA LASKI GÓRALOM
- 15. NA CZELE GÓRNIKÓW
- 18. POSTAĆ NA WIEKI
- 19. STRUGA WARIATA
- 21. GADKA STADKA
- 22. ZA NIM LIS GOŃCZY
- 23. CIAŚNE, ALE WŁASNE
- 24. GWIAZDOZBIÓR
- 26. INDIAŃSKI FAST FOOD
- 27. ROBI SIKU
- 28. OPUŚCIŁ ŁÓDŹ
- 29. OTWIERACZ DO ZAMKÓW
- 30. CHATA NA LATA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Go Wspinaczka. Trening z Instruktorem na filmie DVD” autor Nigel Shepherd, wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesłać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 13”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 7 kwietnia 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 10

Helena Harenza, Łańcut; Wincenty Czyż, Wrocław; Janusz Puszk, Tarnobrzeg; Bożena Długosz, Zielona Góra; Krystyna Kasińska, Kłodzko; Henryk i Bronisława Wątrobowie, Chelmek; Leon Malkiewicz, Branice; Grazyna Błażejewska, Legnica; Teresa Brzezińska, Cybinka; Romuald Napiórkowski, Wojcieszów

ROZWIĄZANIE Z NR. 11

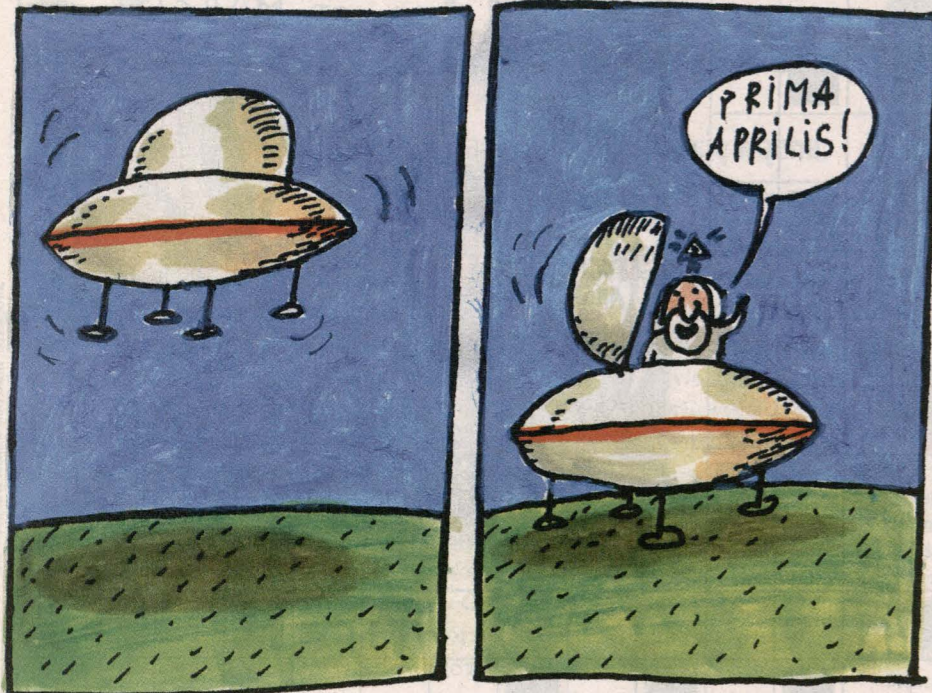
KRZYŻÓWKA: SZPIEG Z PRZYPADKU

POZIOMO: 1. NIE PUSZCZA ZAJĄCZKA – SIDŁO 7. PRZEŻYWA DRAMAT – PUBLIKA 8. PASUJE NA RYCERZA – UBIÓR 9. PRZYSPOSBIENIE DO ŻYCIA W RODZINIE – ADOPCJA 10. TRZECI BŁIŹNIAK – TROJAK 14. ZRZUCA SIĘ NA WESELE – WAGA 16. GUMKA NAĆ – PĘCEK 17. ŻELAZOWA DOLA – RDZA 18. CHODZI PO DWORZE – DAMA 20. PRZEDMIOT EGZEKUCJI – SZAFOT 25. BOGA NIE MA – ATEISTA 31. POCIĄG OD DO – PRZEDZIAŁ 32. FUJARA NA FLECIE – RZĘPOŁA 33. CZŁOWIEK POKOJOWO NASTAWIONY – DOMATOR 34. MINUSIŃSKI – OKULARNIK 35. ARTYSTA RZEŹBY – ATLETYK 36. POJAZD NA LINIE – AUTOBUS

PIONOWO: 1. KOPYTKA SERWUJĄ – STUKOT 2. DZIECKO KOCHANOWSKIEGO – DZIEŁO 3. PASUJE DO OCZU – OPRAWA 4. ZJAWISKO PARA NORMALNE – OBŁOK 5. PRACUJE W KOPALNI „WUJEK” – CIOCIA 6. PRZE-MARSZ – PARADA 11. PODKRĘCONA NA IMPREZIE – RZĘSA 12. KOLEM SIĘ TOCZY – JAZDA 13. BAŃKA NA MLEKO – KOKOS 14. JAK DZIURA W MOŚCIE – WYRYWA 15. BURZY SPOKÓJ – GRZMOT 18. W RAMACH UZNANIA – DYPLOM 19. DOM SPOKOJNEJ STAROCI – MUZEUM 21. NOCE I DNI W TELEWIZJI – ZMIANA 22. WISI NA KALORYFERZE – FAŁDKA 23. SIADA NA OBIAD DO STOŁU – TERMIT 24. WYMAŻONA – IDEAŁ 26. DUŻO ZŁOTYCH W BANKU – SZTAB 27. MIASTO KOJARZONE Z WAWIELEM – ARRAS 28. SKRZYPCZE DROBNIOWE – GEŚŁE 29. STROFUJE UKOCHANĄ – POETA 30. KURZE ZIARNO – JAJKO

ROZMAITOŚCI

Marek Raczkowski



FFLUTER



LENGREN

Szarmantkie ssaki



Czy dama smuci czy nuci?

W dziejach ogólnopolskiej rozpacz tejoroczny marzec zajmie wysoką lokatę. To pewne. Niby wiadomo, że nikt się nie smuci dla zgrywu ani na wyścigi, ale da się zauważyć, że epidemia smutku zagarnia ostatnio nawet tych, co do smucenia się w ogóle nie mieli drygu. Niewykluczone więc, że nieszczęsny ci, aspiranci narodowego smutku ulegają trendom i smucą się, choćby i wbrew sobie. Żeby się jako tako w tym smutku, wyodrębnić, szukają nowych modeli smutoekspresji i stosownych sposobów do smutoutów. Co na to dama? Jej niedogodności tego typu, jak brak wiosny, też dają się we znaki, ale stara się nie urządzić z tego ceregieli. Robi, co może, żeby ugładzić szorstkich, rozmiękczyć stwardniałych. Przesadą byłoby stwierdzić, że byle co jej starcza, by się rozweselić, ale zasadniczo na widok innego człowieka woli wydawać melodyjne dźwięki niż jęki. → Ula Ryciak

77 Dużo ludzi nie wie, co robić z czasem – czas nie ma z ludźmi tego kłopotu. Magdalena Samozwaniec

Kociak tygodnia: Alek Morawski. 24 lata. Skończył Wydział Ilustracji na California College of Arts w San Francisco. Obecnie mieszka w Warszawie. Jego prace można oglądać na www.alekmorawski.com. Fot. Sonia Szostak



Bloomberg Businessweek

Polska

Biznes i gospodarka świata

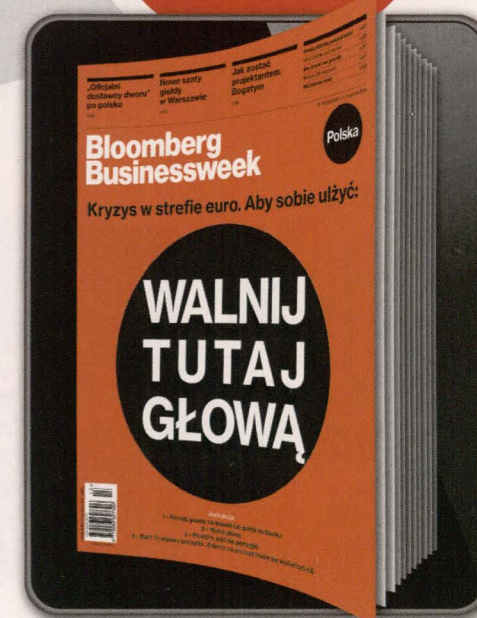
Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

ZAMIESZKAJ W APARTAMENCIE
W CENTRUM WARSZAWY
WYJĄTKOWA OFERTA RABATOWA

WIĘKSZE KUPUJESZ

WIĘCEJ ZYSKUJESZ

ZAPRASZAMY

NA DNI OTWARTE 6-7 KWIETNIA
SALON SPRZEDAŻY
UL. GRZYBOWSKA 80/82

DOSKONAŁA
INWESTYCJA
2012



adres salonu:
ul. Grzybowska 80/82, (róg ul. Towarowej)
Tel.: 22 777 90 40

adres inwestycji:
OXYGEN, ul. Wronia 45, Warszawa
www.oxygenwronia.pl

OXYGEN
FUTURE AHEAD

Warszawa - Białołęka

LEWANDÓW PARK



3 POKOJE
w cenie 2
od 4990
zł/m²



Zadzwoń i umów się. Przygotujemy ofertę specjalnie dla Ciebie!

22 777 90 00 | ul. Radzywińska 326 | 05-091 Ząbki | JWconstruction.pl

JW
CONSTRUCTION